

Marta Matosek

JUTRO SIANOKOSY

Wspomnienie z mazowieckiej wsi



Marta Matosek

JUTRO SIANOKOSY

Wspomnienie z mazowieckiej wsi

Celestynów 2020

Autorka:

Marta Matosek

© Copyright by Marta Matosek

Wydawca:

Stowarzyszenie Kultury Mazowsza



Redakcja tekstu:

Zbigniew D. Skoczek

Skład i łamanie:

Maciej Wakuliński

Druk:

„Poligrafia Greg” Grzegorz Sitek

ISBN:

978-83-927391-3-5

Okładka:

„Belarus. Haymaking” zdjęcie wykonane przez „Margo, just Margo”,
Flickr, licencja ©all rights reserved

Publikacja współfinansowana przez Gminę Celestynów



ŚP. Babci Geni
Za cichą, cierpliwą miłość do człowieka i natury
Wsi rodzinnej, Regutowi
Za dzieciństwo, bory sosnowe i zapach siana,
który czuję do dzisiaj.



Zbigniew D. Skoczek,
dziennikarz, b. Redaktor naczelny „Linii Otwockiej”

Ta książka przywróciła mi pamięć o dzieciństwie, wakacjach które spędzałem we wsi celestynowskiej - Pogorzeli Warszawskiej i miasteczku (wówczas) Karczew, którego mieszkańcy zajmowali się rolnictwem, handlem i rzemiosłem masarskim. W Karczewie mieszkałem, w Pogorzeli, u stryjostwa, spędzałem większość lata. Sianokosy, żniwa, młócka cepami, wykopki, zwózka płodów do zagrody, wyjazdy furmanką na podorywki, bronowanie roli, siew, pieczenie ziemniaków na polu, w łątach - ziemniaczanych badyłach - to były baśnie moich wczesnych lat. Dlatego książkę Marty połykałem łapczywie, jak wygłodniały pies. Zwłaszcza, że znalazłem w niej wątki historyczne z okresu wojny i czasów powojennych zupełnie mi nieznane, wręcz sensacyjne. "Jutro sianokosy", to świetnie napisana saga utrwalająca nie tylko pamięć o rodzinie Autorki i jej (tej rodziny), sąsiadach, ale, przede wszystkim, opisująca życie na wsi od przedwojnia po czasy współczesne. Polecam, jako lekturę obowiązkową nie tylko młodemu pokoleniu ziemi celestynowskiej, ale całego Mazowsza. Wartki język, liczne dialogi - nawet gwarą, sporo zdjęć - to wszystko sprawia, że „Jutro sianokosy” czyta się z ogromną przyjemnością.



Andrzej Kamiński, dziennikarz

Pomysł Marty Matosek napisania książki, której historia jej dziadka Józefa Celińskiego i jego rodziny pokazana jest na tle wydarzeń lokalnych i krajowych, bardzo mi się spodobał. Spędziliśmy długie godziny na omawianiu szczegółów tak historycznych, jak również techniki ujęcia tematu. To wszystko, połączone z niezwykłym talentem pisarskim Marty sprawił, że powstała wspaniała książka, która opisanymi faktami z Ponurzyca, Podbieli, Reguta i znaczącymi wydarzeniami krajowymi, wpisuje się, a raczej uzupełnia historię Gminy Celestynów. Jestem przekonany, że za kilka lat talent pisarski Marty sprawi, że wydawcy w kraju i za granicą będą ubiegać się o jej rękopisy reportaży literackich, w których obrazować będzie losy zwykłych, a przez to: niezwykłych ludzi.

PRZEDMOWA

Co przychodzi Ci na myśl, gdy myślisz o ostatnich stu latach historii Polski? Odzyskanie niepodległości? Wojna i Powstanie Warszawskie? Czy może komunizm i przemiana ustrojowa po 1989 r.?

Jeśli się nad tym zastanowimy, to zauważymy, że historia jest często opowiedziana z perspektywy stolicy i wielkich ośrodków miejskich. Wiemy tak wiele o życiu w okupowanej Warszawie, o walce w Powstaniu 1944 r., ale czy wiemy, z jakimi wyzwaniem w czasie wojny zmagali się prości mieszkańcy mazowieckich wsi? Czy wiemy o tym, że oprócz stawiania czoła okupacji niemieckiej, musieli oni chronić swoich posiadłości przed szerzącym się bandytyzmem? Czy wiemy jak wyglądała elektryfikacja wsi w momencie, gdy wielu wierzyło, że od prądu chata z drewna pójdzie z dymem?

Słuchając opowieści mojego dziadka, Józefa Celińskiego, zaczęłam zdawać sobie sprawę, jak my, pokolenie laptopa i smartfona, niewiele wiemy o zaprzesłym życiu na polskiej wsi. Tempo współczesnego życia na pewno nie sprzyja przesiadywaniu przy piecu i wsłuchiowaniu się w historie dziadków. O ile dziadkowie jeszcze żyją i chcą te historie opowiedzieć.

Postanowiłam więc spisać wspomnienia mojego dziadka jako rodzaj dziedzictwa tej zmęczonej, ale zawsze silnej społeczności wiejskiej. Jest to opowieść nie tylko o życiu danej rodziny na mazowieckiej wsi i o jej codziennych zmaganiach z losem, prawami natury i historii. Jest to również relacja o społeczności lokalnej, która niczym wątek w osnowę bieźnika, wplata swoją narrację w historię gminy, powiatu, kraju, świata.

Jest to opowieść o niezmożonej, choć szorstkiej miłości do drugiego człowieka, Boga i Ziemi - za jej płodność i cierpliwość w obdarowywaniu pracowitego chłopca tym, czego do życia mu trzeba. Jest to również uniwersalny przekaz o postępie i nieufności do niego, o konflikcie tradycji z nowoczesnością, o potrzebach starszych pokoleń oraz dążeniach i marzeniach tych młodszych.

Mam nadzieję, że książka ta pozwoli mieszkańcom wsi, choć w małym stopniu poznać lub odkrywać dziedzictwo kulturowe swoich przodków. Natomiast każdemu czytelnikowi, bez względu na pochodzenie, książka ta unaoczeni piękno kultury wsi polskiej, niedocenioną, a inspirującą siłę jej mieszkańców oraz zawilść i ulotność jej niepisanej historii.

OD AUTORKI

Książka ta jest napisana w formie reportażu literackiego na podstawie relacji ustnych Józefa Celińskiego, innych członków jego rodziny oraz interpretacji autorki. Niektóre drugoplanowe wydarzenia oraz imiona zostały zmienione z powodu braku dokładnych przekazów lub dla potrzeb narracji. Autorka dołożyła wszelkich starań by osoby i wydarzenia pierwszoplanowe zostały opisane rzetelnie, zgodnie z usłyszczanymi relacjami i dostępnymi materiałami. Niektóre wydarzenia mogły zostać odebrane odmiennie przez innych świadków i uczestników. Wszelkie błędy należą do autorki. Proszę o kontakt (marta.matos@wp.pl) w przypadku niezgodności faktograficznych, lub ogólnych komentarzy na temat książki. Ponieważ niektóre relacje odnoszą się do bardzo trudnych okoliczności życia w czasie wojny i po wojnie, przepraszam osoby, które z racji nazwiska lub jakiegokolwiek pokrewieństwa zostały treścią tej książki urażone i proszę o daleko idącą wyrozumiałość.

Wszystkie zdjęcia, które nie wskazują innego autorstwa, pochodzą z archiwów autorki oraz rodzin Matosków, Szostaków i Strzeżyszów.

PODZIĘKOWANIA

Ta książka nie zaistniałaby bez wsparcia, ciepła i konkretnej pomocy wspaniałych ludzi. Szczególne podziękowania ślę dla Andrzeja Kamińskiego: za merytoryczne wskazówki, uparte przypominanie bym nie marnowała pisarskiego talentu i pomoc w publikacji tej książki przy wsparciu organizacji Stowarzyszenie Kultury Mazowska.

Siostrze Agnieszce dziękuję za inspirację do napisania tej historii oraz praktyczne wsparcie na wielu etapach. Magdzie Sobieszczańskiej za entuzjazm i niezłomną pomoc w transkrypcjach nagrań wywiadów. Zbigniew Skoczek dokonał heraklejskiego wkładu w redakcję tekstu, ratując go od anglicyzmów. Historykom, Iwonię Skórze, Tomaszowi Skrzypkowskiemu i Bogdanowi Strzeżyszowi, (który jest również siostrzeńcem dziadka) zawdzięczam rzeczowe spojrzenie na aspekty historyczne. Dzięki Wam dowiedziałam się więcej o kwestiach militarnych i własnościowych Polski w XX w. niż kiedykolwiek bym miała w zamiarze. Dziękuję Wójtowi Gminy Cielstynów, Panu Witoldowi Kwiatkowskiemu, za ciepłe przyjęcie pomysłu publikacji tej książki.

Wreszcie szczególne podziękowania ślę dziadkowi, Józefowi Celińskiemu oraz członkom rodzin Matosków, Strzeżyszów, Rendaszków, Szostaków (w szczególności rodzicom Basi i Bogdanowi Matoskom, cioci Danucie i wujkowi Jerzemu Rendaszkom, cioci Wiesławie Szostak). Ich cenne informacje, wspomnienia i zdjęcia stanowią fundament tej książki.

Rozdział 1.

POŻEGNANIE DZIECIŃSTWA*Koniec sierpnia 1939, Ponurzyca*

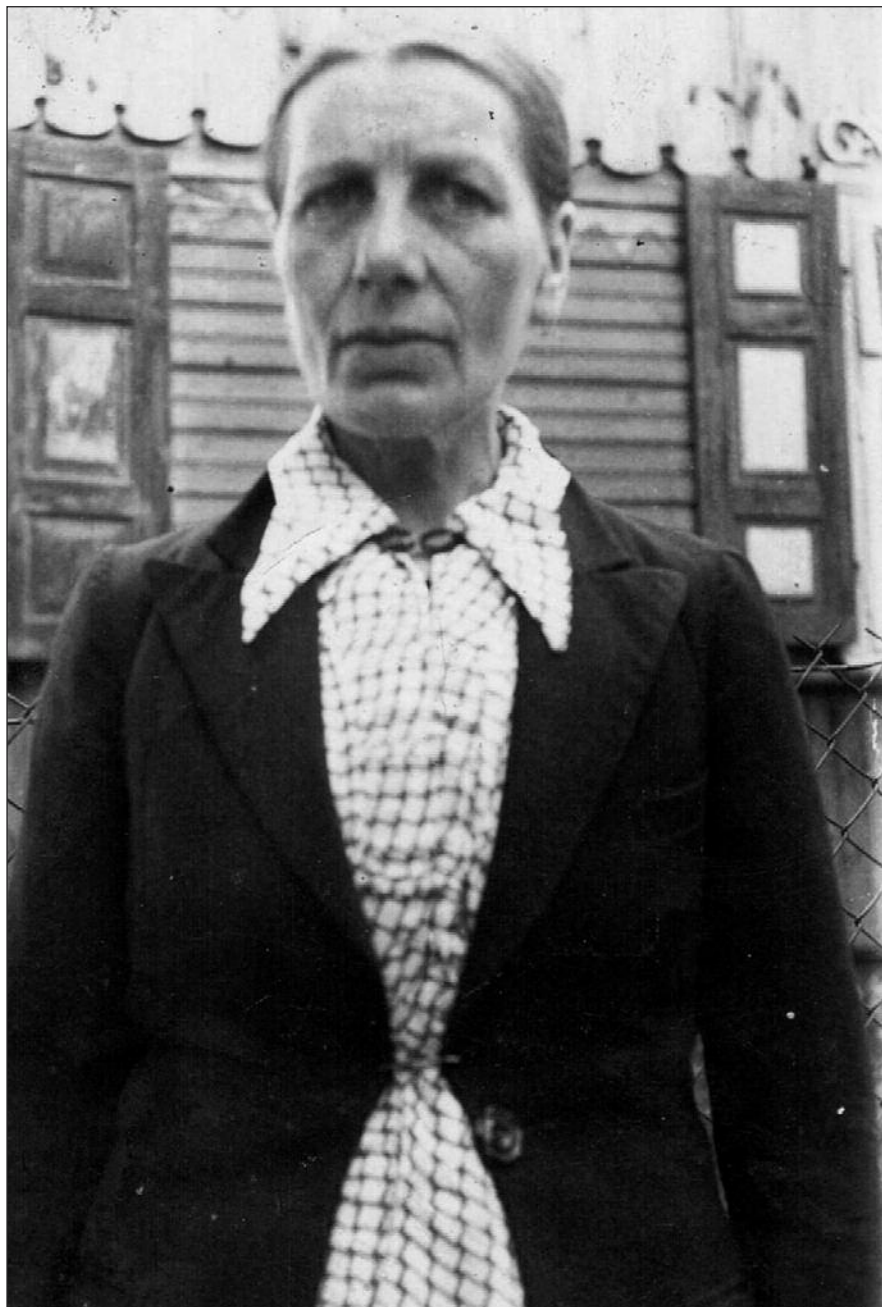
Dla wielu z nas koniec dzieciństwa i początek dorosłości są płynne jak rzeka. Ot tak, przewijają się one przez ileś tam naszych lat, w czasie których zatapiamy w pamięci dziecięcą naiwność, niewinność, marzenia. Jednocześnie dryfujemy w burzliwe nurty dorosłego życia, zastanawiając się tylko, co będzie dalej? Cóż los przyniesie?

Dla dziewięcioletniego Józefa Celińskiego, koniec dzieciństwa zaanonsowałomot w drzwi jego rodzinnego domu w wiosce Ponurzyca¹. Gwałtowne walenie, niezważające na to, że stare, dębowe drzwi trzymają się na zmiłuj się Boże we framugach drewnianej chatki pokrytej strzechą. Nie czekając na powitanie gospodarzy, do izby wtargnęli dwaj niecierpliwi goście. Byli to polscy wojskowi, umundurowani i poważni, na lewym ramieniu każdego z nich wisiał karabin.

Starszy rangą żołnierz wysunął się na przód i skierował w stronę gospodyni - matki Józefa. Kobieta w momencie wejścia gości zerwała się od stołu, gdzie siedziała z trójką dzieci, po czym stanęła naprzeciwko mundurowych. Niewiasta miała około trzydziestu sześciu lat. Była ubrana w skromną, szarą sukienkę. Jej popielate włosy były związane w ciasny kok, podkreślający jej szczupłą twarz, lekko zapadłe policzki i wąskie usta.

- *Pani Anna Celińska?* - zapytał surowym głosem dowodzący żołnierz - *Tak, to ja.* - wykrztusiła kobieta sparaliżowana nagłym najściem wojskowych. Żołnierz wyciągnął w jej stronę jakiś papier, poprawił broń na ramieniu i głośno oświadczył:

- *Z rozkazu Komendanta Rejonu Uzuppełnień jest pani aresztowana za ukrywanie męża, Józefa Celińskiego przed mobilizacją alarmową do piechoty²!* - Mężczyzna obejrzał się jeszcze po izbie i huknął z pogardą: - *Wojna z Niemcami idzie, a tu się zachciało męża chować za brokami w polu, zamiast ojczyzny bronić!?*



Anna Celińska, matka Józefa, na tle rodzinnego domu

Przed oczami wojskowego stała zdumiona, młoda kobieta, która momentalnie zdawała się postarzeć, o co najmniej dziesięć lat. Twarz jej poszarzała, nogi się pod nią ugięły, a jej dolna warga zaczęła drżeć. Obok niej stał Heniek, jej najstarszy, dwunastoletni syn. W momencie, gdy mundurowi weszli do izby, chłopak poderwał się, by stanąć w obronie matki. Lecz Heniek szybko zamarł w bezruchu, gdy młodszy żołnierz wymierzył w niego broń, ot tak na wszelki wypadek, żeby młodzik czegoś głupiego nie zrobił. Za Henkiem stał dziewięcioletni Józek, który kurczowo trzymał za rękę zatrwożoną siedmioletnią siostrę Halinkę. W momencie, gdy żołnierz wypowiedział te słowa, cała trójka dzieciak, niczym chór kościelny na znak organisty, zaniósła się przenikliwym płaczem.

W tym momencie, ich matka, Anna, zebrała w sobie siły i wykrztusiła: *- Panie wojskowy, miejcie litość! Toć to ja męża nieboszczyka pochowałam latoś na przedwiośniu! Na nerki zachorował. Lekarz zaradzić nie mógł. Teraz chcecie i matkę zabrać a sierotami te dziecięcia zostawić?*

Rysy twarzy starszego wojskowego na ułamek sekundy złagodniały. Spojrzał on jeszcze raz po ubogiej izdebce. Na przeciwległej ścianie stał wielki kafłowy piec z kuchenką. Na jednej fajerce gotowała się jakaś marchwianka. Przy piecu, obok drzwi do izby sypialnej stała drewniana ławeczka. Przy oknie, naprzeciwko pieca, stał stary drewniany stół, a nieopodal - mała komódka. Na ścianie nad komódką wisiały na gwoździkach ceramiczne kubki w kwiaty. Pomimo prostoty i ubogości wnętrza, odczuć można było dbałość i dyscyplinę jego mieszkańców.

Żołnierz zwrócił się do kobiety już nieco łagodniejszym tonem: *- A to nie mogła wdowa zgłosić do gminy w Osiecku, coby wiedzieli i głowy wojsku nie zawracali?*

- Tak panie, racja to, trzeba było zgłosić. – westchnęła kobieta, ukradkiem ocierając ręką łzę, która zaczęła jej spływać po policzku - *Ale jakem pogrzebała nieboszczyka, zaraz za orkę trzeba było się zabrać. To pszenicę i grykę posiać, coby później do garnka było co wrzucić. I tak wyleciało z głowy. Przepraszam za niepotrzebne zabieranie waszego czasu.*

- No nic. To niech natychmiast zgłosi to do gminy – powiedział żołnierz normalnym tonem, po czym spojrzał po raz ostatni na łkające dzieci i dodał: *- Bo matka tym dziatkom potrzebna!*

Mundurowy uklonił się, skinął ręką do swojego towarzysza i obaj goście wyszli zdecydowanym krokiem na zewnątrz.

- *A jeszcze dzisiaj wyślę synów do gminy* - odpowiedziała Anna - *Bo jutro będą sianokosy. Dziękuję komendancie i szczęść wam Boże!*

Żołnierz zasalutował. Następnie goście dosiedli koni, które do tej pory skubały trawę pod płotem i odjechali, pozostawiając za sobą głosy jeszcze z cicha łkających dzieci i tuman kurzu na piaszczystej drodze.

Jeszcze tego samego dnia Heniek i Józek udali się pośpiesznie do Osiecka, by dopełnić formalności w gminie. Dwaj bracia podążali w milczeniu gościńcem wiodącym przez sosnowy bór, łąki oraz rzyska pozostałe po udanych żniwach.

Symbol Osiecka – dwie iglice na wieżach neogotyckiego kościoła były widoczne już z oddali, wylaniały się znad łąk i wzgórz otaczających to spokojne, mazowieckie miasteczko. Parafia w tej średniowiecznej osadzie liczyła sobie setki lat, założona została około 1300 roku, za panowania księcia mazowieckiego Bolesława II, syna Siemowita. Choć przez stulecia kościółek w Osiecku przeszedł niejedną pożar i niejedną odbudowę, dopiero w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku Osieck zainwestował w budowę solidnego przybytku duszy – dużego, murowanego kościoła z czerwonej cegły. Józef pamiętał, że niegdyś jego dziadek, ojciec taty, pomagał w zbiorce pieniędzy na budowę tego kościoła i zawsze z dumą o tym przypominał.

Józef patrząc tak na kościół, próbował dotrzymać kroku zwawo maszerującemu bratu. Wtedy właśnie chłopca ogarnął taki dziwny smutek, tęsknota i zaduma. Ojciec już wprawdzie nie żył od pół roku, ale nadal ciężko było pogodzić się z jego stratą. Codzienne życie bez niego było bardzo trudne.

Przypomniał sobie Józek ten dzień na przedwiośniu, gdy ojciec zaniemógł w czasie bronowania³ pola. Mężczyzna nagle jęknął, skulił się i padł na ziemię, że aż ciągnący brony stary koń Kary obrócił się zatrwożony. Józek, widząc to, pognął pędem do domu, by zawołać Heńka i sąsiada do pomocy. Sąsiad Andrzej Szymczak wraz z Heńkiem przywlekli ojca do domu i położyli na łóżku.



Widok z okolicznych łąk na wieżę osieckiego kościoła

Józek pamiętał jak posłali po doktora aż do wsi Sobienie-Jeziory⁴ bo nigdzie indziej w okolicy lekarza nie było. Doktor trzy razy przyjeżdżał do domu. Zbadał chorego, zdiagnozował chorobę nerek, dał Annie dwa małe słoiczki proszku i poinstruował jak dawkować leki. Matka nie miała pieniędzy, więc kazała Heńkowi sprzedać krowę, by zapłacić lekarzowi za wizyty i medykamenty. Lekarzy na wsiach mazowieckich było jak na lekarstwo, a jak już jakiś się trafił, to cenili swoje usługi, że hej!

Józek przypomniał sobie, jak matka skrupulatnie wymierzała ojcu leki. Jednak bóle, gorączka i jęki ojca wcale nie ustawały. Aż do 8 marca 1939 roku. Wtedy to Józef Celiński zmarł w wieku 39 lat. Pozostawił żonę oraz trójkę dzieci. Widać ani krowa, ani doktor, ani medykamenty nie były w stanie odwrócić planów Boskich.

Pogrzeb ojca w kościele w Osiecku był bardzo skromny. Matce niewiele pieniędzy zostało po spłaceniu lekarza, resztę musiała pożyczyć od sąsiadów. Została z trójką dzieci i ciężką pracą na roli - w końcu to była wiosna. Trzeba było pola wybronować, zaorać, zboża nasiać, kartofli nasadzić.

Bez taty wszystko było trudniejsze. Jego silne, ojcowskie ręce mocno wbijały pług by zaorać ziemię, a potem spulchnić ją przed zasadzeniem kartofli. Józek opierał swoje dziewięcioletnie ręce o pług, napierał swoim chudym ciałem na rączki, ale pługowane bruzdy i tak wychodziły płytkie.

Józek spojrzął na swojego starszego brata, również pogrążonego w myślach. Obaj wiedzieli, że mimo młodego wieku muszą być dla matki podporą w trudach i znojach. Będą chronić siostrzyczkę, Halinkę. Będą doglądać krowy, Karego, świń i całego gospodarstwa tak, by ojciec z dumą spoglądał na nich z nieba. Dziewięcioletek wyprostował się, podniósł swoją złotowłosą głowę i zrównał krok z Heńkiem. Choć nie powiedzieli do siebie ani słowa, ich oczy i dusze spotkały się w tej chwili w cichym przymierzu.

Cień uśmiechu pojawił się na wargach Heńka. Józek poczuł mocny uścisk dłoni brata.

- *Damy radę, prawda Józek?* – zapytał Heniek.

- *Tak, damy radę* – odpowiedział Józek, patrząc pewnie przed siebie.

Rozdział 2.

IDZIE WOJNA

Sierpień-wrzesień 1939

Dawać radę oni wszyscy musieli, bowiem czasy robiły się coraz bardziej zamętne. Ponurzyca stawała się coraz cichsza, zamierając w oczekiwaniu na najgorsze. Latem 1939 roku groźba wojny wisiała w powietrzu jak ciężka chmura burzowa, która, zanim spuści krople wody na ulgę spieczonej ziemi, nadchodzi w całkowitej ciszy, by nagle huknąć gromem w przerażone, choć postawione na alarm sioło.

Najpierw, w „kartkowej mobilizacji” wojsko zarządziło wcielenie do służby zdrowszych i silnych chłopskich koni. Wielu gospodarzy ze wsi żegnało się z ciężkim sercem ze swoimi czworonożnymi towarzyszami doli i niedoli. Konie były przecież największą finansową inwestycją rodziny i najważniejszą siłą roboczą, zatrudnianą do wszelkich prac wokół gospodarstwa. Silny, wyuczony koń służył do ciągnięcia bron, pługów, zwożenia siana, zboża i ziemniaków, to znowu do przywożenia drzewa opałowego z lasu, bądź jako transport do kościoła, gminy czy na targ.

Wkrótce przyszedł czas na boleśniejsze pożegnania. Nastąpiła „cicha mobilizacja” mężczyzn od siedemnastego do sześćdziesiątego roku życia. W wyniku tego naboru, który nastąpił na kilka dni przed powszechną mobilizacją (ogłoszoną dopiero 31 sierpnia 1939 r.) wojsku polskiemu udało się zwerbować około 75% zasobów osobowych⁵.

W Ponurzycy wiele rodzin żegnało w płaczu swoich synów, mężów, ojców i braci. Wszyscy rozstawali się z poborowymi tak, jakby widzieli ich po raz ostatni. Kilku z nich istotnie miało już nigdy nie wrócić do rodzinnego domu.

Od tamtej pory życie w Ponurzycy jakby przymilkło. Już nie było na wsi słyhać żarcików młodzianów idących na sobotnią zabawę do pobliskiej szkoły. Nie słyhać było, tak częstego przedtem,



**Życie w Ponurzyce toczy się swoim własnym tokiem.
Na zdjęciu: jeden z wielu przydrożnych krzyży w Ponurzyce**

wesołego gwizdania chłopów przy robocie w polu, czy też głośniejszych rozmów sąsiedzkich przez płot, przyjacielskich kłótni, kiedy chłopci radzili o polityce, czy przechwałek o silniejszym koniu, lub lepszym wozie.

Potem nadszedł wrzesień 1939 r.

Miesiąc ten był wyjątkowo ciepły i słoneczny. Nitki babiego lata snuły się w powietrzu, po trawach i gałązkach krzaków wskazując, jak babki prawily, na wczesną i mroźną zimę. Nieopodal wsi dwaj chłopcy paśli krowy na łąkach, przy gościńcu wiodącym do Osiecka. Siedząc na miękkiej trawie strugali proce, pogwizdywali i śpiewali „Na wójtowej roli studzieneczka stoi...”. Pastuszkowie baczyli jednocześnie, by krowiny nie zboczyły w grzędy buraków pastewnych za miedzą sąsiada. Mieli przecież z ojcem za tydzień, w czwartek, jechać do Kołbieli by jedną z tych jałówek sprzedać na jarmarku.

Kilkaset metrów od tych chłopców leżeli sobie na trawie Józek, Halinka i najmłodszy syn sąsiadów, szesnastoletni Edek Szymczak. Obok leniwie żuły trawę ich krowy. Gdy tak dzieciaki patrzyły na błękitne, bezchmurne niebo, krowy zaczęły się dziwnie zachowywać, muczeć z niepokojem, jakby chciały obwieścić, że coś wisi w powietrzu, coś złego. Cała trójka dzieci zerwała się na równe nogi i zaczęła uważnie nasłuchiwać. Niski, podprogowy dźwięk dobiegał zza horyzontu, jakby pomruk zbliżającej się burzy. Błękitne niebo nagle pociemniało na chwilę od gęstej chmury, z której wyłonił się posępny kształt samolotu, za nim kolejny i następny. Patrzyli na to zjawisko nie zdając sobie sprawy z tego, że to niemieckie bombowce.

Samoloty niczym znak śmierci sunęły teraz z warkotem po niebie, napełniając paraliżującym strachem serduszka małych pastuszków. Nagle Edek złapał Józka za ramię i krzyknął:

- Patrzaj tam!

Jeden z samolotów zniżył lot i pruć powietrze nad łąkami lecąc

w kierunku Osiecka. Nagle zawarkotał głośniej i wypuł z siebie czarną bombę. Bomba spadała jakby w zwolnionym tempie nieopodal kościoła. Rozległ się huk i brzęk spadających na bruk kościelnych szyb, w powietrze wzbił się dym. Gdy opadł, oczom chłopców ukazały się dwie nietknięte wieże kościoła. Potem okazało się, że bomba trafiła w sąsiadujący z nim dom.

Nie zdążyli ochłonąć, gdy nagle usłyszeli ogłuszający warkot następnego samolotu i huk, który powalił ich na ziemię. Gdy wszystko ucichło, unieśli lękliwie głowy i zobaczyli, że bomba rozerwała w strzępy siedzących nieopodal dwóch pastuszków i cztery pasące się krowy. Czerwień krwi na soczyscie zielonej trawie niczym pieczęć wyznaczyła granicę między życiem, jakie wieś do tej pory znała, a nową rzeczywistością wojny, chaosu i biedy, jaka czekała za miedzą. Nadchodziła rzeczywistość, na którą tak naprawdę nikt nie był przygotowany.

Józef nie wiedział już, co się działo dalej. Pociemniał mu obraz przed oczami, dźwięki na chwilę zamilkły, wszystko spowolniło, każde uderzenie serca w jego chudej piersi oddzielała wieczność. Ocknął się, na krzyk i przejmujący szloch Halinki:

- O Jezuu, Jezuniu uciekajmy!

Niewiele myśląc, chłopiec złapał siostrę za rękę, drugą dłonią chwycił łańcuch krowy i pognął przed siebie. Po chwili Józef, Halinka, Edek i ich jałówki zniknęli w sosnowym borze.

Ten tragiczny dzień zapadł Józskowi głęboko w pamięci. Tak, bowiem, zaczęła się dla niego II wojna światowa⁶.

Rozdział 3.

ŚLADY PO WALCE*Wrzesień 1939*

Awięc wojna. Następane wrześniowe dni, choć nadal słoneczne i ciepłe, naznaczone były trwogą i niepewnością o przyszłość. Każdy był przygotowany na najgorsze, choć nikt nie miał pojęcia, co to najgorsze miało oznaczać. Na wszelki wypadek, pod domem Celińskich chłopcy wykopali małą ziemiankę i przykryli ją deskami, sosnowymi kolkami, ziemią i liśćmi. Zawsze to dobrze coś tam ukryć przed pożarem. Można też było się tam schować na wypadek gdyby Niemcy chcieli chałupinę zbombardować. Wątpliwe było, czy taka ziemianka uratowałaby mieszkańców domu od apokalipsy. Jednak już sam fakt jej istnienia dawał Annie i jej dzieciom poczucie względnego bezpieczeństwa.

Mieszkańcy Ponurzyicy z niepokojem nasłuchiwali wieści z okolicznych wsi. Zastanawiali się, kiedy żołnierze ze swastykami na mundurach, wykrzykujący coś w chrapliwym, niezrozumiałym języku dotrą do ich wioski? I kto ich obroni, gdy to się stanie? Wieści nasłuchiwali również przez małe radyjko słuchawkowe, detefon, które w Ponurzyicy mieli tylko bogaci gospodarze: Szymczakowie i Ćwiekowie. Takie radyjko było wyposażone w detektor kryształkowy i nie wymagało zasilania prądem. Zamiast głośnika, odbiornik miał słuchawki, które kładło się na talerzu, by wzmocnić wydobywający się dźwięk. Ten pomysłowy zabieg pozwalał większej grupie zebranych wokół talerzyka chłopów wysłuchać wieści z kraju. Ponurzycczanie wytężali uszy na głos spikera, który przekazywał komunikaty wojenne, słuchali o życiu walczącej Warszawy, słów otuchy i patriotycznych pieśni.

Jednak ani patriotyczne pieśni, ani zapewnienia spikerów, aby się nie lękać, nie mogły zaprzeczyć faktom: wojska niemieckie

systematycznie przełamywały polską obronę i nacierały coraz głębiej w kierunku stolicy. Niemcy mieli przewagę osobową, techniczną i strategiczną. Posiadali nowoczesną broń pancerną, lotnictwo, łączność, zmotoryzowane oddziały i ogromne zasoby ludzkie. Polska nie była przygotowana do tej wojny, ale miała mężnych żołnierzy gotowych bronić gołymi rękoma wolności swego dopiero co wyswobodzonego, niepodległego kraju. Warszawa padła w ręce Nazistów dopiero 28 września 1939, gdy już nie było amunicji, lekarstw, a szpitale nie mogły już przyjmować rannych. Dwa dni później ucichł głos spikera na antenie Polskiego Radia⁷.

Tymczasem w połowie września sytuacja na południe od Warszawy stawała się coraz bardziej niespokojna. Niemcy po kilku dniach dotarli na zachodni brzeg Wisły pod Górą Kalwarią. Wkrótce uchwycili oni przyczółek na prawym brzegu rzeki w okolicach Nadbrzeża skąd wojsko niemieckie zamierzało prowadzić dalsze operacje na wschodzie⁸. Po prawej stronie Wisły stacjonowały zdziesiątkowane oddziały armii „Lublin”: kilka batalionów piechoty i słabych szwadronów kawalerii, praktycznie, pozbawionych artylerii i łączności⁹.

W dniach 11 i 12 września trwały zacięte walki o przyczółek, w czasie których Niemcy przerzucili znaczną część piechoty i czołgów na wschodni brzeg. W tym również czasie rozpoczęły się niemieckie bombardowania miejscowości na linii Wisły. Po sforsowaniu rzeki, Niemcy przecięli szosę lubelską i rozpoczęli marsz na Garwolin, z zamiarem wyjścia na tył wojsk polskich w tamtym rejonie¹⁰.

To właśnie w czasie tej wzmożonej aktywności wojskowej na południe od Warszawy, we wrześniowe przedpołudnie, do domu Celińskich przybiegł zziębnięty Heniek. Chłopak oparł ręce o kolana i wysapał u progu:

- Matula, Józek! Pożoga w Regucie! A polskie wojsko idzie na Podbiel!

Anna, Józek i Halinka, którzy właśnie zajęci byli obłuskiwaniem grochu, zaczęli wypytywać o szczegóły. Heniek złapał nieco powietrza w płuca i kontynuował:

- Ludzie mówią, że Niemcy na Regut idą. A w Regucie stacjonowała kompania¹¹ polskiego wojska. Niemcy z lasu zaczęli strzelać z mauserów. Wiecie, z tego karabinu, co ma kule samozapalające. Już parę domów i stodół stoi w płomieniach!

Chłopak ciągnął dalej, że jeden gospodarz z Reguta, Bronisz się nazywał i cepem młócił żyto na klepisku w stodole, a jego żona, Broniszowa chleb piekła w domu. Nagle Niemcy podjechali na motocyklach i zaczęli strzelać z karabinów w stronę gospodarstw. Kilka minut później, drewniana stodoła Broniszów ze słomianą strzechą stała w ogniu, podobnie jak ich drewniany dom. Na szczęście, rodzina Broniszów wyratowała się z pożaru. Gospodarz wybiegł natychmiast ze stodoły, której dach trawiły już płomienie i wyprowadził krowę z palącej się obok obory. Broniszowa zdążyła wyprowadzić z izby piątkę przerażonych dzieci, ale wróciła do palącego się domu. W izbie w kolebce spało w najlepsze najmłodsze dziecko. Kobieta w ostatniej chwili złapała syna w powijakach i wybiegła z domu w momencie, gdy trawione ogniem drewniane bele stropu zaczęły spadać na podłogę.

- Omatko kochana, dobrze, że wszyscy się wyratowali! – wyszeptwała Anna.

- A co z polskim wojskiem? - zapytał z przejęciem Józek.

- Właśnie dowódca polskiej kompanii zarządził, że w Regucie nie będą walczyć z Niemcami. To byłaby tragedia dla wsi. W mig Regut by stanął w ogniu, jakby tak jedno i drugie wojsko miało strzelać do siebie. Więc wojsko polskie zaczęło się wycofywać. I właśnie teraz ciągną oni w stronę Podbieli. A nuż lada moment będą tutaj, w Ponurzyca!

W izbie zapanowała grobowa cisza, Anna przeżegnała się i zaczęła się modlić, wzywając niebiosą, by chroniły jej dzieci i dom. Józek wpatrywał się w Heńka w nadziei, że starszy brat na pewno coś wymyśli, by zaradzić tej całej sytuacji. Ale Heniek milczał, wpatrując się w okno, za którym kury spokojnie dziobały trawę, a topole szumiały przy drodze w rytm jesiennej bryzy. Halinka siedziała przy piecu i tuliła do piersi swoją szmacianą lalkę. Naraz Heniek wstał i ocierając spocone czoło rękawem koszuliny, zarządził:

- *No, koniec gadania. Józek, dawaj tutaj, zaraz zabezpieczymy obejście i wykopimy jeszcze jedną ziemiankę, żeby tam zboża i ziemniaków pochować.*

- *Dobrze Heniek mówisz - poparła pierworodnego Anna - A ja przygotowuję kufer z najważniejszymi rzeczami coby też w ziemiance zakopać! I chleba napiekę na tydzień lub dwa.*

Ponurzyca nie musiała długo czekać na dalszy rozwój sytuacji. 16-tego września polska kompania znalazła się pod Ponurzycą, gnana przez Niemców. Późnym popołudniem, obydwie wojska stanęły czoło w czoło na błoniach pomiędzy Podbielą a Ponurzycą. Co się działo później, zapisane jest jedynie w pamięci niektórych mieszkańców tych okolic.

Józef Celiński wspomniał, że walka ta była nierówna. To było spotkanie Dawida i Goliata. Szara polska piechota i kawaleria wyposażone były zaledwie w karabiny, szable i zmęczone konie, ale miały w sobie wielkie pragnienie obrony ojczyzny przed nieprzyjacielem. Niemiecki pododdział nie był liczebnie większy od polskiego, ale miał po swojej stronie nowoczesny sprzęt: motocykle i terenowe łaziki z karabinami maszynowymi.

Wkrótce kule latały po obu stronach łąki, a zakrwawione ciała żołnierzy, jeden po drugim opadały na zieloną trawę. Konie też padały, głośno przy tym rżąc i przygniatając swymi ciałami poranionych żołnierzy, którzy w bólach dokonywali swego krótkiego, wojennego żywota. Wkrótce poległ kpr. Władysław Piekarczyk. Zginął również por. artylerii Leszek Stecki¹². Trup ścielił się po obu stronach pola bitwy.

Słońce zaczęło powoli zachodzić za horyzontem odległego lasu, rzucając karminową poświatę na pole walki. Zmierzch zaczął ogarniać błonia, w polskich szeregach powstał zamęt. Dowódca nie żyje, morale żołnierzy osłabło, brakowało amunicji, wokół szanca leżały ciała rannych kompanów. Każda kolejna próba walki byłaby pewnym marszem ku śmierci. Z nastaniem mroku, szare mundury zaczęły po cichu rozpierzchać się w ciemnościach sosnowych lasów między Podbielą a Ponurzycą. Tym razem nie Dawid wygrał a Goliat.

Gdy w półmroku słyhać było jeszcze dogorywające konie, a strzały na błoniach jeszcze nie ucichły, na pobojowisku pojawiła się jakaś ponura, nocna mara. Łaziła po polu walki i pochylała się nad umierającymi końmi, jakby czegoś szukała. Czyżby to był duch zabitego żołnierza, który wrócił pożegnać się ze swoim koniem? Nie, to był Antoś, chłop z Ponurzyicy. Przemykał niczym ciemny upiór między końmi i gorączkowo zdejmował z nich siodła, cicho przy tym chichocząc. Wojna wojną, ale takie solidne, skórzane siodła można było sprzedać za niemałe grosze!

Właśnie wtedy, gdy tylko zmrok zapanował nad ponurzyckimi borami, ktoś zapukał do drzwi chaty Anny Celińskiej. Byli to trzej polscy szeregowcy, odziani w mundury zabrudzone ziemią i krwią. Ich czoła poorane były zmarszczkami - piętnami dramatu, jakie młodzieńcy właśnie przeżyli. Jeden z wojskowych, z niepewnością w głosie zapytał gospodynię, czy nie mogliby przespać przez noc w jej stodole.

Chwilę później, Józek naniósł parę snopków słomy do izby i położył je przy piecu. Na słomę żołnierze narzucili swoje koce, na których mieli się później ułożyć do snu. W izbie wyczuwało się atmosferę niepokoju i konspiracji. Przecież Niemcy mogli wpaść tu w każdej chwili i wszystkich rozstrzelać za ukrywanie żołnierzy!

Na stole tlił się słaby płomycek lampy naftowej, wokół niego usiedli goście i domownicy, rozmawiając szeptem. Od kiedy wojna nastąpiła, trzeba było oszczędnie obchodzić się z naftą, bo zrobiła się bardzo droga, a do tego dostępna była jedynie na targu w Otwocku. Anna cichutko krzątała się wokół kaflowego pieca, a po chwili postawiła na stole miskę parujących ziemniaków i zacierki na mleku. Do tego nakroiła kilka pajdek chleba, który upiekła niedawno w piecu opalonym drewnem. Trzej zgłodniaли młodzieńcy zaczęli pochłaniać jadło, co rusz podając ściszym głosem relacje z pola walki.

- *Nie mieliśmy szans z Niemcami* - rzekł jeden, zagryzając zacierki pajdą chleba. W jego głosie słyhać było złość, smutek i rozgoryczenie. - *Jako mięso armatnie byliśmy rzuceni do boju.*

- *No właśnie* - dodał drugi, kiwając głową między jednym kęsem ziemniaków a drugim – *myśmy słabe mieli wyposażenie, a dowódcy nie mogli nawiązać łączności z innymi oddziałami. Kazano nam wojować samym na głodniaka, bosaka i prawie bez amunicji. Pani do-brodziejko, myśmy to już od przedwczoraj nie mieli co do gęby włożyć, bo trzeba było koczować pod reguckim lasem.*

- *Niemców też paru padło* – dorzucił ten pierwszy, zamyślając się.
– *Ale oni nam zaraz dowódcę zabili. Taka strata! Może jakby oficerzy poddały się przed walką, to by się wszyscy uchowali...*

- *Jo bym se ne poddał!* – wzburzył się trzeci żołnierz, który do tej pory siedział w milczeniu. Uderzył pięścią w stół i dodał, zdradzając przy tym swój zabużański akcent i kozacki temperament:

- *Ja bym se zastrzelił, a bym se ne poddał!*

Kozak ciągnął dalej:

– *Ta, by se uchowali! Zabroliby nos wszyckich. Niehonorowo by było! Tak tośmy próbowali!*

Po czym dodał nieco ciszej, kierując oczy ku sklepieniu izby:

- *Pokój duszom naszych braci, co polegli w obronie Łojczyzny!*

- *Pokój duszom poległych braci!* - kiwnęli dwaj pierwsi żołnierze, po czym wszyscy w zadumie zmówili „Wieczny odpoczynek racz im dać Panie”.

Nazajutrz rano, trzech żołnierze odeszli w stronę Pilawy. Nie wiadomo, jak potoczyły się dalsze losy wojaków. Może zasilili oddziały wojskowe broniące środkowej Wisły w Maciejowicach lub w Dęblinie? A może udało im się dotrzeć tam, skąd przyszli, i uradować rodziców, żony i dzieci? Czy też może mieli oni mniej szczęścia, wpadli w łapska wroga i zostali zastrzeleni?

W Ponurzyicy nikt o nich już więcej nie słyszał. Rodziny co niektórych poległych dowiedziały się jakoś o śmierci bliskich i zabrały ich ciała do pochówku w rodzinnych stronach, prawdopodobnie gdzieś na Lubelszczyźnie. Natomiast zwłoki obydwu dowódców i jedenastu żołnierzy poległych w walce zostały pochowane na cmentarzu w Osiecku, gdzie znajdują się po dziś dzień.

A co się działo w Ponurzyicy po walce? Tak to już jest, że los czasem zsyła takie nieszczęścia i niedolę na ludzi, iż zdaje się, że już nic



**Grób żołnierzy zabitych w czasie bitwy pod Ponurzycą
16-17 września 1939 roku**



**Cmentarz w Osiecku. Widok na kaplicę p.w. św. Rocha,
na której tyłach znajduje się grób żołnierzy**

nie będzie w stanie odwrócić złego omenu. A kiedy nawet nadzieja na lepszy los zaczyna umierać, niebiosa naraz zsyłają wąły znak otuchy, aby tę naiwną siostrę nadzieję utrzymać przy życiu.

Gdy z rana Józek poszedł na łąkę za wieś paść krowę, napotkał właśnie takie wąłe znaki nadziei. Żarły one trawę i siano ze stogu, jakby pierwszy raz w życiu je widziały. Zupełnie przy tym nie zważały na krzyki chłopów i odpędzanie od stogu. Były to konie - zabiedzone, wygłodniałe i porzucone przez kawalerię po łąkach i w lasach. Wnet zbiegli się inni chłopci i zaczęli brać jednego konia za drugim. W tym całym nieszczęściu to chociaż Bóg konie do roboty zesłał!

Józek poparzył na jednego brązowego wałacha¹³. Koń stał sobie spokojnie i w najlepsze pochłaniał siano ze stogu. Po chwili zwrócił łeb w stronę gapiącego się chłopca. Józek zbliżył się do konia, poklepał go po szyi i uśmiechnął się do niego:

- *Chyba się nawzajem potrzebujemy. Witaj. Od dziś będziesz naszym Kasztanem.*

Tego dnia Kasztan dołączył do gospodarstwa rodziny Celińskich. Przez kolejne lata był on świadkiem, a nawet uczestnikiem niejednego ważnego wydarzenia w życiu tej rodziny.

Rozdział 4.

BYLE DO WIOSNY*Listopad 1939*

- *Co takiego? Pięćdziesiąt kilo żywca na rok? – Anna z niedowierzaniem patrzyła na rozporządzenie, które trzymał w rękach sołtys - I do tego jeszcze cztery metry pszenicy i cztery metry ziemniaków?*

- *Ano droga pani, Niemcy tyraz rzundzą. Jak każą tyle w kontyngencie dawać od waszych sześciu mórg, to tak trzeba płacić - mężczyzna na chwilę zerknął w swoje dokumenty i dodał - No nic, pierwsza zbiórka będzie w grudniu, a później raz na rok, w listopadzie. Więc szykujta tego żywca i ziarna zawczasu.*

Sołtys spojrział z zakłopotaniem w smutne oczy kobieciny. By usprawiedliwić nieco swą rolę posłańca okupanta, rozłożył bezradnie ręce i dodał:

- *Pani Anno, widzi pani sama. Ja tylko taki robaczek jestem, co polecenia przekazuje. Mnie wójt też gania o te kontyngenty, bo nad nim Niemcy w Garwolinie siedzą¹⁴. Ech, co to się narobiło. Wcześniej Ruskim, potem Polsce niepodległej, a teraz Niemcom wieś polska musi służyć. I za każdym razem coraz większe podatki i kontyngenty nakładają.*

Anna kiwnęła głową:

- *No cóż zrobić? Trzeba będzie sprzedać świniaka i dopłacić do żywca, który sąsiedzi oddadzą. Jeszcze nam prosiak i maciora zostaną. Byle do wiosny, to się maciorę puści i będzie trochę więcej żywca. No i ta jedna krowa została. To chociaż śmietany czy masła będzie można sprzedać, żeby na te wszystkie kontyngenty zarobić.*

Polska wieś, jak to miała w zwyczaju od wieków, musiała przyjąć z pochylonym czołem kolejną władzę i jej decyzje. Musiała przyzwyczaić się do nowej sytuacji, do okupacji. Gdy tylko bombardowania i walki kampanii wrześniowej ucichły, Niemcy podzielili się Polską z ZSRR, który najechał na nasz kraj 17 września

1939 r. i zagarnął ziemie wschodnie aż do Bugu. Część swojej strefy okupacyjnej Niemcy wcielili do III Rzeszy, a z reszty utworzyli Generalne Gubernatorstwo (GG) ze stolicą w Krakowie. Wkrótce potem zajęli się podporządkowaniem lub obstawianiem swoimi ludźmi wszystkich szczebli administracji; od stołecznych po wiejskie gminy.

III Rzesza potrzebowała pieniędzy i żywności, aby wykarmić swoich urzędników i żołnierzy. Dlatego jednym z pierwszych zarządzeń na lokalnych szczeblach było wytyczenie obowiązkowych, corocznych kontyngentów zboża i żywca na każde gospodarstwo rolne. Wysokość kontyngentów była ustalana przez generalnego gubernatora GG w porozumieniu z Berlinem. Następnie kwoty te rozdzielano pomiędzy powiaty oraz sołectwa. Żeby zmotywować tych bardziej niefrasobliwych chłopów, w dniu 30 września 1939 władze nazistowskie wydały rozporządzenie o obowiązku służby rolnej, robót ziemnych i polnych. Przewidywało ono nawet karę śmierci za uchylanie się od pracy oraz niedostarczanie kontyngentów.

Rodzina Celińskich, tak jak wiele innych rodzin wiejskich w Generalnym Gubernatorstwie, musiała teraz stawić czoła życiu pod czujnym okiem okupanta niemieckiego. Choć życie na wsi zdawało się wracać do swojego odwiecznego trybu dyktowanego zmiennością sezonów i kolejnością prac rolnych, od teraz powietrze nasycone było strachem i niepewnością jutra.

Wielu ludzi w okolicznych wsiach, a szczególnie w Osiecku, straciło dachy nad głową w wyniku bombardowań i pożarów. Teraz ci, którzy nie mieli domostwa, starali się wybudować coś naprędce, byle zdążyć przed nadchodzącą zimą. Niemcy dbali jednak o to, aby Polacy nie czuli się bezpiecznie za dnia ni w nocy. Niebezpieczeństwo śmierci lub aresztowania mogło dotknąć każdego. Za byle przewinienie kary były niewspółmiernie surowe. Do tego, głównie w miastach częste były tzw. Łapanki, czyli aresztowania przechodniów na ulicach, by wyłapać osoby zdolne do pracy, ale wymigujące się od niej i wywozić je na roboty przymusowe do Niemiec.

Po odejściu sołtysa z rozporządzeniem, Anna wróciła do swojej codziennej pracy. Był to przecież piątek, dzień targowy w Otwocku. Trzeba było naszykować produkty do sprzedania na targu – jaja, śmietanę, ser. Otwock był największym miastem na prawym brzegu Wisły na południe od Warszawy i miejscem, gdzie chłopi z okolic zjeżdżali się, by sprzedać produkty rolne i kupić naftę, sól, cukier czy inne niezbędne artykuły. Ponurzyce dzieliło od Otwocka około 18 kilometrów drogi gruntowej wiodącej po wertepach przez lasy i łąki. Gościniec ten łączył również inne okoliczne wsie takie jak Podbiel, Tabor, Lasek, Dąbrówka i Stara Wieś. Co piątek tym traktem podążały pielgrzymki z okolicznych wiosek: chłopi jadący na wozach, drepczące na piechotę kobiety i dzieci. Wieśniaczki kołysały się pod ciężarem koszy w rękach, w których misternie ułożone były chleby, nabiał, a czasami słonina czy kiełbasy. Miały one wkrótce wylądować na stołach otwoczczan. To był handel nielegalny, mięso i chleb oraz inne produkty spożywcze były towarem ściśle reglamentowanym. Też groziły za to kary, ale mimo aresztowań handel kwitł.

Życie w mieście w czasie okupacji nie było łatwe: przydziały żywnościowe były często przyznawane poniżej biologicznego minimum (551 kalorii na dzień na osobę dorosłą), brakowało pracy, a jak już była to ciężka i za marne grosze. To wszystko sprawiało, że wielu mieszkańców miast żyło w nędzy¹⁵. Poleganie na wyłącznie kartkowych produktach – „betonowym” chlebie, twardej marmoladzie buraczanej i margarynie o zapachu świecy - groziło śmiercią głodową.¹⁶ Targ piątkowy dawał ludności miasta możliwość nabycia świeżych produktów żywnościowych.

Anna zaczęła wkładać do koszyków jajka i twaróg, do bańki wlała kwaśną śmietanę. Często dzieciaki z cieknącą ślinką patrzyły na tę gęstą śmietanę, ale nie śmiały jej próbować – była przeznaczona na sprzedaż. Anna westchnęła spoglądając przez okno na podwórko, gdzie jej synowie szykowali Kasztana i wóz do wyjazdu. Młodziki jeszcze węża nie mieli, a już gospodarzyli niczemu sobie. Halinka

również była bardzo pomocna w domu. Chętnie uczyła się gotować, dziergać dywany, pomagała wokół domu i przy karmieniu zwierzyny, kur, kaczek i gęsi.

Od śmierci ojca oraz rozpoczęcia wojny dzieci szybko wydorosłały! Jednak smutek ogromny napełniał matkę. Bowiem, od kiedy zaczęła się wojna, szkoła podstawowa w Ponurzycy została zamknięta. Przed wojną Anna tak bardzo cieszyła się, gdy jej dzieci chodziły do szkoły. Jej świętej pamięci mąż, Józef, bardzo zachęcał dziatwę do nauki. W końcu, ojciec męża był kiedyś wójtem w rodzinnej wsi pod Osieckiem. Gdy nastąpiła wojna, nauczyciele uciekli i szkoła w Ponurzycy została zamknięta. Szkoły już nie było, ale za to zostało bardzo dużo pracy przy gospodarstwie.

Niełatwo na wsi było zarobić trochę grosza na życie i okupacyjne kontyngenty. Dlatego więc rodzina Celińskich produkowała i sprzedawała rolne produkty, a chłopcy czasem najmowali się do roboty u co majątniejszych gospodarzy. W czasie wiosny siało się na polach proso, grykę, jęczmień, pszenicę i sadziło ziemniaki. Jesienią, po spłaceniu kontyngentów pozostawało z pół metra każdego zboża i z metr czy dwa ziemniaków. Nie było to wiele, ale wystarczało dla skromnie żyjącej rodziny Celińskich, aby przetrwać zimę.

Późną jesienią Anna przygotowywała kasze. Kaszę gryczaną Anna wrzucała na duchówkę¹⁷ przy piecu kaflowym, aby się nieco przyprażyła i nabrała głębszego, palonego smaku. Potem taką kaszę gryczaną, bądź jaglaną Anna serwowała z odrobiną smalcu ze skwarkami. Kaszę jęczmienną dodawała zaś do zupy. Pszenicę Heniek zawoził do zmielenia do młyna. Starczało na zrobienie chleba co dwa tygodnie.

Przed wojną zdarzało się, że Anna kupiła na bazarku buciki do szkoły Halince, albo jakąś marynarkę dla synów, którą mogli nosić na zmianę. Ale od kiedy ojciec zmarł i nastąpiła wojna, dzieci musiały chodzić w takich butach i ubraniach, jakie miały. Obaj chłopcy szybko wyrastali ze swoich ubrań, więc Anna wygrzebywała łachy po mężu nieboszczyku. Halinka też skarżyła się, że jej stare, rozlatujące się buciki bardzo ją cisną w stopy.

Gdy matka miała trochę czasu na jesieni, tkala na warsztacie tkackim ubrania: parciane kalesony dla chłopaków, czy spódnicę dla Halinki. Sztuki tkackiej Anna nauczyła się od innych wiejskich gospodyń z Ponurzycy. Niektóre kobieciny potrafiły nawet farbować włókna naturalnymi, roślinnymi barwnikami. Później kobiety robiły na warsztatach tkackich ubranka dla dzieci, długie chodniki, dywany lub wełniane narzuty na łóżko. Co ładniejsze narzuty można było sprzedać na jarmarku w Otwocku. Za pieniądze za taki dywan czy narzuty można było kupić kurtkę albo buty dla dziecka.

Chociaż przed wojną chłopcom zdarzało się nieraz jechać z ojcem na bazar, za każdym razem, gdy teraz dzieci jechały do Otwocka same, Anna odczuwała niepokój. Od kiedy wojna się zaczęła, różni złodzieje poczęli grasować po okolicznych lasach i wsiach. Zdarzało się, że ci bandyci napadali na wozy jadące lub wracające z Otwocka. Za każdym razem, gdy Anna szykowała produkty na drogę, modliła się, by dzieci sprzedały je i bezpiecznie dotarły do domu.

- *No jak tam mamo, gotowe koszyki?* – krzyknął Józek już gotowy do drogi. – *My z Halinką już jesteśmy gotowi. Kasztan też.*

- *A tak, już gotowe* - uśmiechnęła się Anna, widząc jak córka zakłada stare buciki i dokładnie przeciera je szmatką. Dziewczynka była podekscytowana wycieczką do miasta.

Matka podała synowi koszyki oraz bańkę ze śmietaną, a na pożegnanie przypomniała:

- *Pamiętajcie, koszyk z zielonym sznureczkiem jest nasz, z niebieskim Kurowskich, a z czerwonym Szymczaków. Pieniądze za produkty trzeba rozdzielać by się z nimi później rozliczyć. Za tydzień za to Kurowscy zabiorą nasz koszyk, a za dwa - Szymczaki. Uważajcie, żeby jajek nie potłuc na wertepach na gościńcu, a na targu pilnujta wszystkiego, produktów, konia, dobrze pieniądze liczcie. I uważajcie na złodziei i naciągaczy.*

- *Tak, tak mamo, dobrze pamiętamy. Przecie nie raz już jeździliśmy na targ* – uśmiechnęła się córka siadając na wozie, na desce woźnicy i poprawiając sobie spódnicę.

- *Oj wiem córuś, ale teraz to bardziej niebezpiecznie się zrobiło.*

- *Obiecujemy, będziemy uważać!* - machnął ręką Józek wskakując na

wóz obok siostry. Po czym złapał za lejce i cmoknął na Kasztana – *Wio! Jedziemy!*

Dzieci pomachały na do widzenia matce i wóz ruszył nieśpiesznie, znikając po chwili za zakrętem.

Anna wróciła do izby i usiadła przy stole w zadumie. – *Dzieci, jakież one są podobne do ojca! Pełne odwagi i energii, pracowite i zdyscyplinowane* - pomyślała. Spojrzała przelotnie na zdjęcie ze ślubu jej i Józefa w 1926 r. i przypomniała sobie ich pierwsze lata małżeństwa.

Nowożeńcy zaczęli nową drogę życia skromnie. Rodzice Anny umarli bardzo wcześnie, gdy miała 10 czy 12 lat, dokładnie nie pamiętała. W owym czasie panowała po okolicach straszna, zaraźliwa choroba, którą ludzie nazywali boża-męka. Obydwoje rodzice zachorowali na tę epidemię i wkrótce umarli, osierocając pięcioro dzieci. Anna i jej rodzeństwo zostali rozdzieleni po rodzinie i wychowywani przez ciotki i wujków. Anna przed ślubem dostała w posagu trochę pieniędzy od brata, który spłacił jej część spadku pozostawionego przez rodziców. Józef też miał parę groszy i za to młode małżeństwo kupiło trochę ziemi w Ponurzycy.

Ponurzyca, położona około 5-6 km od Osiecka jest małą, małowniczą wioseczką. Założona została w końcu XVIII wieku lub na początku XIX wieku jako wieś czynszowa w starostwie osieckim, w posiadłościach Potockich. Wieś ta jest szczególnie, bowiem jej domostwa nie skupiają się wokół głównej drogi wiodącej przez całe sioło, tak jak na przykład w Podbieli. Nie ma też, tak jak królewska wieś Regut, głównego placu-ryнку, do którego wiodą główne ulice. Ponurzyca złożona jest z kilku domostw rozrzuconych w zgłębieniach malowniczych gór i wśród leśnych polan. Już sama nazwa wsi zdawała się wskazywać, że została założona u podnóża gór albo po norach śródleśnych. Gdy mąż Anny zobaczył tę ziemię i te pagórkowate tereny, aż się zachwycił. Powiedział wtedy do żony: - *Anno, tu jest nasze miejsce, tu zostaniemy.*

Mąż Anny, Józef, bardzo wdał się w swoją matkę, Katarzynę. To właśnie ona gospodarzyła na roli rodzinnej, podczas gdy teść, Stefan, imał się różnego rzemiosła, polityki i unikał pracy na roli jak ognia.



Halinka Celińska (z prawej) oraz jej kuzynka

Stefan przez jakiś czas był wójtem i bardzo angażował się w życie społeczne. Jednak dla jego żony te wszystkie inicjatywy społeczne zdawały się wyglądać bardziej jak wymówka od pracy przy roli. Na przykład, na początku 1900-tych lat Stefan był skarbnikiem parafialnym i zbierał datki na nowo budowany kościół w Osiecku. Czasami żona prosiła wtedy swego męża: 'Stefan, poszedłbyś krowę przewiązać na miedzy', po to by usłyszeć obruszony głos męża: - *Co? Krowę przewiązać? Ja za dupą kłępy¹⁸ chodził nie będę!*. Stefan nie chodził, lecz jego syn, Józef, owszem chodził. I to bardzo często.

Józef, najmłodszy syn z całej czwórki dzieci Katarzyny i Stefana, bardzo dużo pomagał matce przy gospodarce. Widać było, że miał dryg do roli i aż serce mu się krajało, gdy tak gospodarstwo ojców z roku na rok podupadało. Młody Józef marzył o tym, żeby kiedyś mieć swoje własne gospodarstwo. Ale takie porządne, zadbane, co ma gospodarza oddanego pracy na ziemi. W końcu gospodarstwo rodziców Józefa popadło w długi i podupadło.

Wtedy czworo dzieci Katarzyny i Stefana, Anna, Maria, Jasiek i Józef rozpiechli się szukając szczęścia w różnych rzemiosłach. Najstarsza siostra Józefa, Anna, była nauczycielką i jeszcze przed wojną przeprowadziła się do Warszawy. Od tamtej pory mieszkała na ulicy Żelaznej i całkiem nieźle wiodło się jej w stolicy. Nawet w czasie wojny dawała sobie radę, bo po Niemiecku umiała mówić. Młodsza siostra Józefa, Mańka, miała zawsze dryg kupiecki i zajmowała się handlem na bazarku w Otwocku. Jasiek z kolei poszedł na szewca a Józef zrobił szkołę rzeźniczą. Jednak bardziej Józefa ciągnęło w stronę rolnictwa, niż do masarni.

I tak po ślubie Józef i Anna ciężko pracowali, by spełnić swoje marzenie o gospodarstwie. Powolutku, własnymi siłami postawili drewniany domek, stodołę i obórkę. Dorobili się jeszcze paru świń i krów, a do tego Anna doglądała jeszcze kaczek, kur i gęsi. Stopniowo, Józef dokupował kolejne kawałki łąk i pól. Rodzina się również powiększała. W rok po ślubie, pojawił się Henio, potem w 1930 roku urodził się Józek, a w 1932 przyszła na świat Halinka.

W tym czasie matka Józefa zaczęła słabować, więc mąż obu rodziców sprowadził na Ponurzycę. Choć miejsca było mało, rodzina

czuła się w komplecie. Niestety, matka Józefa za jakiś czas umarła. Wkrótce potem, gdy obawa przed zbliżającą się wojną zaczęła stopniowo narastać, najstarsza siostra Józefa, Anna zabrała ojca do Warszawy. Tam Stefan mógł otrzymać lepszą opiekę, bo też słabował. Dostał również miejsce w jednej z pierwszych ławek w parafialnym kościele, gdy tylko proboszcz dowiedział się o działalności Stefana na rzecz budowy kościoła w Osiecku. A wkrótce potem sam Józef zasłabł na nerki i zmarł, pozostawiając Annę wdową z trójką dzieci.

Jednak Anna nie zamierzała użalać się nad swoim losem. Wiedziała jak wiele serca razem z Józefem włożyła w budowanie domu, pracę na roli oraz wychowywanie dzieci. Józef włożył tak wiele wysiłku w gospodarstwo z miłości do rodziny. Pragnął, aby zawsze było co włożyć do garnka w zimowy wieczór. Chciał, aby żyło im się lepiej i w mniejszej nędzy niż jemu na podupadającej roli ojca. Józef pragnął zakrzewić w dzieciach dyscyplinę i pracowitość, dzięki którym gospodarstwo będzie się rozwijać, a one będą kontynuować jego plan. Żonie zaś Józef chciał zapewnić własny dom, w którym to ona jest gospodynią, a nie osieroconą dziewczyną do pomocy.

Anna wiedziała, że Józef spogląda teraz z góry na te codzienne starania żony i dzieci. Pewnie kiwa z aprobatą głową, uśmiechając się przy tym z lekka, tak, jak uśmiechał się na ich ślubnym zdjęciu.

Gdy Józek i Halinka dotarli do Otwocka, na targu przy głównej ulicy miasta zaczynało się robić coraz bardziej gwarno. Na placu stały już furmanki. Konie niespiesznie żarły sieczkę z worków przyczepionych do ich uzd, podczas gdy chłopcy wyładowywali worki ziemniaków a kobiety rozsiadały się obok wozów prezentując kuszące zawartości swoich koszy.

Kupcy zaczęli się schodzić coraz liczniej: elegancko chodzą skromnie ubrane kobiety i panowie w kapeluszach, Żydzi w jarmułkach na głowach ubrani w długie chałaty, z charakterystycznymi pejsami przy uszach – ortodoksyjni chasydzi. Po targu kręcili się też nędzarze, biedacy i wygłodniałe dzieci wpatrujące się z zachwytem

i głodem w oczach w bochny chlebów i sery. Nie brakło też pospolitych złodziei, którzy w targowym harmidrze czyhali na okazję, żeby coś podwędzić nieuważnym kupującym, a także miejskich wyrostków, którzy dla draki usiłowali capnąć jajko czy garść ziemniaków handlarce zagadanej z klientką. Choć nie każdego stać było na zakupy, to zawsze można było przynajmniej nakarmić oczy widokiem jadła, spotkać się ze znajomymi i pocieszyć się widokiem ludzi, którzy, na co dzień, w strachu przemieszczali się po mieście.

Halinka rozłożyła koszyczki z zieloną, niebieską i czerwoną wstążką, podczas, gdy Józek zajął się przymocowywaniem worka z sieczką u pyska Kasztana i okrywaniem go derką. Był to, bowiem, chłodny, listopadowy dzień. Wokoło robiło się tłoczno. Kupcy podchodzili, spoglądali na smacznie wyglądający twaróg, na jajka, oraz na gęstą kwaśną śmietanę w baniuszce.

- *Po ile jajka, panienko?* – zapytała Halinkę pani w bereciku i czarnym płaszczu.

- *Jeden złoty za tuzin* – odpowiedziała z uśmiechem Halinka

- *To da mi panienska pół tuzina i do tego jeszcze tego twarogu mi nałóż tutaj do miski.*

Halinka zwinnie nałożyła pani w berecie jajka do koszyczka. Do osobnego pojemniczka nałożyła twarogu, po czym z zadowoleniem powiedziała:

- *To będzie razem jeden złoty dwadzieścia.*

Gdy pani w berecie wręczała dziewczynce monety, Halinka poczuła jakby jakieś wrogie oczy obserwowały każdy jej gest. Naraz kątem oka zauważyła dwóch dryblasów w kaszkietach na bakier, którzy stali w oddali i przypatrywali się jej złowrogo. Jeden szepnął coś drugiemu do ucha, ale Halina nie mogła ich usłyszeć w targowym hałasie. Dziewczyna schowała szybko monetki do kieszeni, gdy do gapiących się dryblasów dołączył trzeci. Spojrzał na nią przelotnie, po czym szturchnął chłopaków łokciem i zniżonym głosem zgromił ich: - *Ej, wy lepiej dajta se spokój z tą młodą, jest z mojej wsi.*

Halinka aż zmrużyła oczy z niedowierzania. To był Wacek Ch. Czasami Józek najmował się u jego ojca do pomocy przy sianokosach



**Józef Celiński u płotu na (byłej) rodzinnej posesji Celińskich
w Ponurzy. W tle stodoła sąsiadów, 2019 r.**

i żniwach. Trzej chłopcy momentalnie zniknęli w tłumie, gdy Halinka usłyszała znajomy głos za plecami.

- *Wszystko w porządku Halinka?* – zapytał Józef, wpatrując się w znikające w tłumie sylwetki trzech drabów.

- *Tak, dzięki Bogu* – odpowiedziała siostra - *ale ten Wacek to z dziwnymi typami się zadaje.*

- *Oj, podejrzanę z nich chłopaki, żeby oni kiedyś problemów innym i sobie nie narobili* – przytaknął Józef.

Serce Józefa łomotało, choć starał się nie pokazać przy siostrze zdenerwowania. Rzeczywiście Wacek od jakiegoś czasu zadawał się z szemranym towarzystwem z okolicznych wsi. Byli oni starsi i silniejsi od Józefa. Chłopiec czuł, że Wacek i jego spółka mogą w przyszłości przynieść większe tarapaty niż tylko łażenie i zglądanie po okolicznych targach.

Wkrótce to dziwne przecucie miało się zrealizować.

Rozdział 5.

WIEJSCY WŁADCY CIEMNOŚCI*Lata 1940-1944*

To była mroczna noc dla mieszkańców Ponurzyicy. A szczególnie dla gospodarza, Szkolmaka¹⁹, który mieszkał nieopodal Celińskich. Nie była to pierwsza ani ostatnia noc trwogi. Ujadanie psów niosło się po podwórkach, a ich echo rozbrzmiewało ponuro po okolicznych lasach i wzgórzach, dając złowrogi znak o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Pochowani po domach Ponurzyiczanie wiedzieli, co to oznacza: nadchodzą bandyci, władcy ciemności. Im głośniejsze i bliższe było ujadanie psów, tym mocniej biły serca chłopów. Z ciemnych okien ponurzyickich izb zdawał się dochodzić jedynie bezgłośny szepot modlitwy: „Boże, oby tylko do mnie nie przyszli! Byle tylko nie załomotali do moich drzwi! Byle sobie poszli! Na Boga, niech ta noc już minie!”

Nagle szczekanie psa nasiliło się właśnie u Szkolmaka. Rozległ się strzał z pistoletu i kula przeszła ciemność nocy i wnętrzaści wściekle ujadającego burka. Zwierzę przez chwilę zaskowityło i ucichło w konaniu. W tym momencie cała wieś, łącznie ze wszystkimi psami i mieszkańcami oniemiała w bezgłośnym wyczekiwaniu. Co nastąpi dalej? Czy usłyszą kolejny strzał?

W ciemnej głuszy słyhać było cichy szelest otwieranych wrót obory Szkolmaka. Z obory wydobywało się bezładne pochrząkiwanie świń w chlewiku, które rozbudziły psy i huk wystrzału. Za chwilę pochrząkiwanie zamieniło się w głośny kwik. Dorodny wieprzek nie chciał wyjść, gdy bandyci wypychali go z chlewika, co rusz przy tym przeklinając uparte zwierzę. Biedaczek zapierał się kopytami z całych sił, jakby chciał obronić się przed perspektywą nadchodzącej śmierci.

-Kurwa jego mać! – zaklął siarczyście jeden z dryblasów – trza go załatwić na amen.

Kolejny strzał. I następny. Kwik zaczął cichnąć. Jeszcze tylko słychać było postękiwania, gdy trzy męskie sylwetki wciągały cielsko wieprzka na wóz. Wkrótce odjechali, ale psy długo jeszcze pozostawały niespokojne, szczekały i wyły, jakby żegnały zabitego kamrata.

Nazajutrz rano chłopci ze wsi znaleźli go w lesie pod Ponurzą. Oderżnięty łeb świński, z oczami wylupionymi z przerażenia. Oblepiony krwią łeb zwierza oblaży już mrówki i tysiące much, które z byczajnym entuzjazmem zleciały się na tę wielką ucztę. Cała reszta żywca pewnie została sprzedana gdzieś w Karczewie, miasteczku nieopodal Otwocka, które znane było jako centrum potajemnego przerobu żywca. To Karczew zaopatrywał w mięso okupowaną Warszawę, oddaloną o zaledwie trzydzieści kilometrów. Głównym środkiem transportu była ciuchcia – kolejka wąskotorowa kursująca z Karczewa do stolicy, w której wagonikach było dość zakamarków, aby schować mięso i wędliny przed niemieckimi żandarmami, którzy kontrolowali pasażerów i rekwirowali kontrabandę²⁰.

Choć władcy ciemności zniknęli pod osłoną nocy, wszyscy wiedzieli, że oni wcale nie boją się dnia. Są oni częścią wsi, jej mieszkańcami. Były to dryblasy, które uchowały się jakoś przed naborem do wojska w 1939 r. Teraz tych kilku typów zdawało się całkiem dobrze funkcjonować w zamęcie okupacji. Zaczęli się wręcz zachłystywać władzą i siłą w czasie, kiedy prawo zginęło gdzieś na froncie, a praworządność przycupnęła cicho w kącie izby, niczym zastraszone dziewczę.

Czas wojny i chaosu to nie był czas maluczkich, słabych i bezbronnych. Należał on do młodych, silnych i śmiałych. Tych, którzy zagrabioną gdzieś bronią mogli egzekwować nowo zdobytą władzę. Okolicznej ludności bandyci wmawiali, że należą do partyzantki i że muszą pobierać datki oraz żywiec od bogatych gospodarzy, by utrzymać opór przeciw Niemcom. Ale prawda była taka, że od Niemców chowali się jak najgłębiej w ziemiankach, w sosnowych borach. Ich główną działalnością były grabieże okolicznych wsi, gdzie władza Niemców ograniczała się do corocznej zbiórki kontyngentów albo do rzadkich patroli kursujących czasami między Osieckiem a Garwolinem.

Lokalni rabusie traktowali wszystkich sprawiedliwie. Ograbiali domy i gospodarstwa zarówno bogatych, jak i biednych. Ich macki sięgały innych okolicznych wsi. Zdawało się, że bandyci wiedzą o wszystkich transakcjach i zmianach własności. Wiedzieli, kto co sprzedał, kto co kupił, komu się krowa ocieliła, czyja kobyłka się ożrebiła. Okradali z pieniędzy kobiety wracające gościńcem z otwockiego targu. Zabijali prosiaki i odbierali konie, które później sprzedawali w mieście. Jeśli ktoś wyrażał sprzeciw - tłukli go niemiłosiernie.

Pewnego razu naszli sąsiadów Józefa, Szymczaków. Andrzej Szymczak był jednym z najbogatszych gospodarzy we wsi, miał dużo ziemi. Bandyci naszli go w domu, ograbili z pieniędzy, zabrali prosiaka, buty i inne cenne rzeczy. Gdy gospodarz próbował się stawiać, rozbójnicy skatowali go tak, że biedak dochodził do siebie przez kilka miesięcy.

Jednym z bandytów był właśnie Wacek Ch. z Ponurzycy, którego Józef i Halina widzieli na otwockim targu tamtego listopadowego dnia. Dwudziestoparoletni dryblas z ponurą iskrą w oku wzbudzał niepokój w okolicach, ponieważ skumał się z kilkoma bandziorami z Podbieli, Celestynowa i innych wsi. Czasami Józef najmował się za parę drobniaków do roboty przy żniwach u ojca Wacka i miał okazję przyjrzeć się uważniej wyrostkowi. Wacek był raczej małomówny, pogrążony w swoich myślach, ale potrafił też być gwałtowny i zdecydowany. Jego wysoki wzrost i pewna postawa wzbudzały respekt u wielu ludzi.

Pewnego dnia, na początku 1941 roku, Józef zaniepokoił się nie bez powodu. Do rodziny Celińskich przyjechał właśnie kupiec koni z Karczewa. Chciał kupić od Celińskich ich kolejnego konia, Deresza. Koń był zdrowy i bardzo dobrze do tej pory wysłużył się rodzinie, więc można go było sprzedać za ładne pieniądze. Józef i karczewiak dobili targu, bo w zamian za Deresza, Józef otrzymał żrebaka Łyska i jeszcze trochę pieniędzy. Gdy kupiec dokonywał ostatecznego przeglądu konia, za płotem u sąsiadów mignęła postać Wacka Ch., który kątem oka obserwował Józefa i kupca. W rękach Wacek niósł gruby sweter, prawdopodobnie do sąsiadki Józefa, która umiała

szyc - do naprawy. Za chwilę dryblas zniknął w sieni domu sąsiadów. Gdy tylko Józef dostał od koniarza banknoty, schował je głęboko w kieszeń koszuliny, wbiegł do domu i zawołał do matki:

- Mamo, słuchaj! Mieliliśmy jutro kupić krowę od leśniczego Rusinka. Ale tak myślę, że lepiej będzie jak teraz do niego pójść. Nie ma co czekać do jutra z opłatą. Wiesz jak to jest, lepiej nie trzymać pieniędzy za pazuchą.

- Dobrze synu, idź – odpowiedziała matka. *- Tylko uważaj, żeby cię jacyś bandyci nie złapali w lesie.*

Józef niewiele myśląc puścił się w bieg po lesie, który znał przecież jak swoją własną, chłopięcą dłoń.

Nadleśniczy Rusinek mieszkał ze swoją rodziną w dużej gajówce na Czarcim Dole. Dzielił ją razem z leśniczym Warzyńskim i jego rodziną. Czarczi Dół to była mała polana w lesie ponurzyckim oraz wąwozowisko na jej skraju. Na krawędzi tego wąwozu znajdowała się właśnie gajówka, gdzie obaj leśniczy mieszkali, zatrudnieni na służbie majątku, który po śmierci hrabiego Jakuba Potockiego w 1934r. przeszedł na rzecz jego Fundacji²¹. Zadaniem leśniczych było strzeżenie i zarządzanie dobrami leśnymi Fundacji w tej okolicy. Gajowi i leśniczy w owych czasach mieli ręce pełne roboty, strzegąc lasów przed kłusownictwem, kradzieżą drewna i niedozwolonym zbieractwem, które powszechne były wśród biednych, bezrolnych chłopów²².

Czarczi Dół to było miejsce nader szczególne i nie bez powodu nosiło ono taką nazwę. Starzy ludzie opowiadali legendę o tym miejscu. Było tak, że diabeł zawarł pakt z samym Bogiem. Chciał wybudować w ponurzyckich lasach kościół dla swoich wyznawców. Tak prosił Boga i prosił, aż w końcu Wszzechmocny przystał na to czarcie skomlenie. Zgodził się na to pod warunkiem, że diabeł wybuduje ten kościół do świtu następnego dnia.

Podeksytowany Lucyfer wziął się od razu za robotę. Na skraju lasu wykopał wielki dół na fundamenty kościoła. Potem znosił kamienie z pobliskich lasów i pól, których tu w okolicy było wiele. Uwijał się jak mógł, a jego włochata twarz ociekała potem. Noc już szła i coraz mniej czasu pozostawało mu na postawienie ścian



Sosnowe bory na Czarcim Dole

i wieży swojego przybytku. Kamienie gromadziły się jeden na drugim i tworzyły ściany coraz to wyższe i wyższe. Zdyszany diabeł coraz szybciej ganiał z kamieniami, ale im dłużej trwała robota, coraz trudniej mu było te kamienie znajdować po okolicznych polach. Dyszał, parskął i stękał. Już strop budował, jeszcze tylko parę kamieni brakowało do skończenia pracy, jeszcze tylko jeden kamień ułoży i dzieło będzie gotowe. Zmęczony niemiłosiernie, Lucyfer już u kresu sił targał ten ostatni kamień, który miał położyć na suficie kościoła. Tak, za chwilę wypełni pakt zawarty z Bogiem! Już za chwilę!

Nagle jego ucho przeszył okrutny dźwięk. Pianie koguta obwieściło kolejny dzień, ciemność nocy ustępowała przed budzącym się nieśmiało świtem. W tym momencie, szatański kościół zaczął się trząść w posadach i rozpadać z hukiem. Kamienie spadały jeden po drugim na czuprynę czarta jak armatnie kule. Nie wiadomo, co się z diabłem stało. Ludzie mówią, że zginął pod lawiną kamieni swojej świątyni. Jedno jest pewne - nigdy więcej go już tu nie widziano. Pozostał wąwóz - Czarczi Dół po fundamentach diabelskiego kościoła i porozrzucane wokoło kamienie - znak pamięci i przestroga nie tylko dla diabłów, że próba przechytrzenia Wszechmogącego i Miłosiernego zawsze skończy się katastrofą.

Za to na łagodnym zboczu wąwozu Czarczi Dół zbudowano okazałą leśniczówkę. W okresie wojny mieszkańcami jej byli: nadleśniczy Rusinek i leśniczy Waryński z rodzinami. Niektórzy nawet wierzyli, że leśniczy chronili okoliczną ludność przed ponownym pojawieniem się czarta.

Józef dotarł do starej, drewnianej leśniczówki na polanie i zapukał do drzwi. Z ulgą odetchnął, gdy drzwi otworzył mu sam nadleśniczy Andrzej Rusinek. Chłopiec przekazał pieniądze leśniczemu i ustalił, że krowę odbierze następnego dnia. Akurat u leśnika siedział też kolega Józefa, więc się wszyscy trochę zagadali, dzieląc się wiadomościami z okolic. Robiło się już ciemno, gdy chłopcy zorientowali się, że czas wracać do domów.

Józef dotarł do rodzinnego domu grubo po zmroku. Zaniepokoił się, widząc z dala zapaloną lampę w izbie. O tej porze wszyscy



Nadrzewna kapliczka na Czarcim Dole

powinni przecież spać. Serce załomotało mu szybciej, gdy usłyszał jakieś męskie krzyki dobiegające z domu. Kiedy Józek doskoczył do drzwi wejściowych, zdawało mu się, że za rogiem domu czają się Wacek Ch. oraz Władek G. z Ponurzycy. Józef wbiegł do izby i stanął oko w oko z bandytami. To byli K. z Celestynowa, Bolek B. z Podbieli oraz J.. Matka stała naprzeciwko nich mocno poblądła. Na widok swojego syna całego i zdrowego, zdawała się odetchnąć z ulgą. Jednak najcięższe było dopiero przed nimi.

- *O, patrzcie! Wreszcie znalazła się zguba!* - krzyknął K. widząc wchodzącego Józefa. Zbój złapał chłopca mocno za ramię. Tak mocno, że jego twarde paluchy pozostawiły siniaki na chudych ramionach Józefa. Bandzior krzyknął chłopcu prosto w twarz:

- *Dawaj pieniądze gówniarzu! Na co czekasz?*

Matka zaoponowała, widząc jak chłopiec skręca się z bólu.

- *Nie mamy pieniędzy! Przecież mówiłam! Krowe dopiro co kupiłam od Rusinka. Józek właśnie piniundze zaniós Rusinkowi!*

Słyszac to, stojący obok K. Bolek B. stracił cierpliwość, a był bardzo temperamentny. Zamachnął się swoją żelazną dłońią i uderzył Józefa w policzek z taką siłą, że chłopiec powalił się na podłogę.

- *Do cholery, ja nie żartuję!* - Ryknął Bolek, że aż psy u sąsiadów zaczęły szczekać złowrogo. Rozwścieczony bandyta wyjął z kieszeni zapalniczki, zapalił jedną z nich i wysyczał - *Dawajta do diabła forszę, bo spale te chate!*

- *Ale ja przysięgam na Boga!* – zaklął się Józef leżący na podłodze.

Był przestraszony, ale patrzył prosto w oczy rzezimieszkowi, który w dłoni dzierżył palącą się zapalniczkę oraz los chłopca i jego rodziny – *Rusinkowi pieniądze zaniósłem. Nic nie mam. Przysięgam!*

Bandyta spojrział na chłopca leżącego na podłodze, który związał się z bólu. Zerknął jeszcze na matkę chłopca oraz na przerażoną siostrę Halinę, która schowała się w kącie pod piecem. Po czym zdmuchnął zapalniczkę, rzucił ją na podłogę i odwracając się w stronę drzwi burknął:

- *A niech to szlag! Idziem do Rusinka. Ale jak on tych piniędzy nie ma to przysięgam, że tu wrócim! W cholerę te chate puścim z dymem!*

Po chwili Bolek B, jego wspólnicy i wyłaniający się z ciemności Wacek Ch. i Władek G. zniknęli za płotem. Wokół domu zapanowała znów nocna cisza, tak jakby nic się nie stało. Ale tej nocy Józek nie zmrzążył oka ani na minutę. Rozmyślał, co będzie, jeśli bandyci napadną Rusinka? Co, jak mu gajówkę spalą? Te wszystkie myśli targają nim i nie dawały chłopcu zasnąć. Matka to widziała i wiedziała jakie myśli targają synem. Usiadła przy jego łóżku, pogładziła ręką po czole i złotych włosach chłopca, oraz szepnęła mu do ucha: *- Dziś w noc już nic nie zrobim synu. Jutro rano polecisz do Rusinków i ostrzeżesz ich przed tymi bandytami.*

Nazajutrz, skoro tylko kogut obwieścił nastanie świtu, Józef zerwał się z łóżka, zawiązał gołe stopy w onucki²³, założył swoje rozlatujące się buty, zarzucił koszulinę, porcięta oraz kurtkę i pobiegł drogą leśną prosto na Czarci Dół. Dzięki Bogu, dom leśnika stał w całej okazałości, tak samo jak stał wczoraj. Zdawało się, że nic przez noc się nie wydarzyło. Gdy tylko leśniczy Andrzej Rusinek otworzył mu drzwi, zdyszany chłopiec z przejęciem wyjaśnił, co zaszło zeszłej nocy i zapytał, czy nikt leśnika nie nachodził.

Mężczyzna uważnie wysłuchał historię marszcząc czoło i gładząc wąsy. Gdy chłopiec skończył, leśnik położył Józefowi rękę na ramieniu i powiedział z nonszalanckim uśmiechem:

- Dzięki Józefie, że mi to wszystko mówisz. Bardzo dzielny z siebie chłopak. Nie, nikt nas tutaj nie nachodził. A niechby tylko spróbowali! Zaraz bym wziął w użytek dubeltówkę na dziki! – Po czym dodał jakby sam do siebie, pod nosem. *- O właśnie, na wszelki wypadek wezmę ją naoliwić i przygotuję! Draństwu się zachciało rozbójnictwa!*

Bandyci również dobrze wiedzieli, że leśniczy ma dubeltówkę, i że słynie z celnego oka. W końcu, nie jednego dzika w lesie położył. Nikt więc Andrzeja nie nachodził po tym ekscesie w domu Celińskich.

Jednak pobliskie wsie długo jeszcze nie mogły zaznać spokoju. Im dłużej trwała wojna, tym bardziej bandyci czuli się bezkarni. Nikt nie był w stanie ochronić ludności. Chociaż Bataliony Chłopskie, które się zaczęły formować w okolicy, starały się rozprawić z tym problemem, w większości przypadków ludzie byli zdani sami na siebie.

Wacek Ch., K., Bolek B. i spółka grasowali więc po okolicach, jak to mieli do tej pory w zwyczaju. Jednak w pewnym momencie, jak to mówią, przyszła kryska na Matyska. Pewnego dnia Wacek zaczął szabrować po wsi Lasek pod Celestynowem. Chciał się właśnie włamać do domu Czesława P. Tym razem jednak miał mniej szczęścia. Dostał w głowę z Czesiowej dubeltówki. Bandzior jeszcze wybiegł z domu krzyżąc - „Szwagier! Ratuj!„ - bowiem jego szwagier mieszkał w tej miejscowości, ale zaraz padł na ziemię i ani jego szwagier, ani nikt inny nie przyszedł mu na pomoc. Zmarł w kałuży krwi, a jego ciało wkrótce zabrała rodzina i pogrzebała na cmentarzu w Osiecku.

Józef nadal dorabiał u ojca zmarłego Wacka przy sianie i żniwach. Ale ojciec zabitego już nie był taki sam, taki pewny siebie i dumny jak wcześniej. Nie raz Józef widział, jak stary Ch., grabiąc siano czy układając stogi, popłakiwał szczerze na wspomnienie swojego drogiego syna.

Niebawem Bolek B. zginął w czasie kolejnych rozbojów gdzieś pod Osieckiem. K. też został zabity. Od tamtej pory wsie okoliczne nieco odetchnęły. Liczba napadów i grabieży w okolicach się zmniejszyła i coraz rzadziej łby prosięce kusiły muchy do uczty po pobliskich lasach. Jednak grabieże się nie skończyły, bowiem nadal po wsiach grasował bandyta jeszcze okrutniejszy, silniejszy i bardziej niebezpieczny niż Wacek. Był to Jan Rybacki. Postrach Mazowsza południowego. Dopiero później miała nadejść na niego pora.

Rozdział 6.

OBLAWA NA RYBACKIEGO²⁴

7 Maja 1944, niedziela (data szacunkowa)

Gdy Anna usłyszała tupot nadbiegających stóp u progu izby i przenikliwy płacz chłopców, serce jej zadrżało. Wiedziała, że musiało wydarzyć się coś strasznego. Były to dzieciaki z sąsiedztwa, Edek Szymczak i Józiek Fic, z którymi rano Józek poszedł wypasać nowego konia Łyska i krowy.

- *Gdzie Józek!?* – krzyknęła zatrwożona matka, czując jak jej serce łomocze. Zdyszani chłopcy mieli czerwone od biegu policzki i łzy w oczach. Wysapali jeden przez drugiego, że Niemcy zabrali konia Józkwowi, a on sam za nimi pobiegł. Niedługo potem z miejsca, gdzie się udali Niemcy i Józek słyhać było strzały. Zabili go!

Kiedy parę godzin później Anna opłakiwała wciąż śmierć swego najmłodszego syna, zmartwychwstały Józek wraz z Łyskiem ukazali się u płota. Czy to duch dziecięcia zaczął ją już nachodzić? Matka podbiegła, złapała syna w ramiona i przytuliła go mocno do serca, aby się upewnić, że to jej dziecko z krwi i kości. Chłopiec był cały i zdrowy.

- *O rany, Józek!* - zaszlochała matula ze szczęścia - *Ty żyjesz! Chwała Bogu i Najświętszej Paniencie! Jużśmy myśleli, że ciebie zabili tam w lesie!*

- *Nie tam, mnie nie zabili, mamo! Ale strzelanina była u Jedyneków! Chyba kilku innych podziurawili!* – dumnie odpowiedział syn.

Chłopiec nie był jeszcze wtedy świadomy, że niemalże przed jego oczami odbyła się egzekucja największego bandyty na południe od Warszawy – Jana Rybackiego.

Nazwisko Rybackiego wzbudzało popłoch w okolicznych wsiach i miasteczkach. Był on dowódcą bandy nazwanej od jego nazwiska. Jan Rybacki urodził się w Augustówce koło Pilawy w 1914 roku. Był przystojnym, choć nieco krępy brunetem średniego wzrostu. Janek dość wcześnie dał się poznać jako młodzie-

niec obdarzony charyzmą, bystrością umysłu i zdolnościami przywódczymi. Czynną służbę wojskową w latach 1934-35 ukończył w stopniu plutonowego. Potem brał udział w kampanii wrześniowej, a następnie rozpoczął konspirację przeciw okupacji niemieckiej. Niemcy jednak szybko wywęszyli, że mają do czynienia z nie lada młodzikim i zaczęli go ścigać. Wtedy właśnie Jan zorganizował oddział partyzancki.

Choć okupanci nigdy nie byli w stanie pojmać Rybackiego, zrobili coś gorszego. Być może właśnie te wydarzenia doprowadziły do przemiany wewnętrznej, jaką wkrótce potem przeszedł ten mężczyzna. Jesienią 1942 roku Niemcy spalili wiatrak i dom rodziny Rybackich, oraz pojmali jego żonę, Marię, matkę jego czworga dzieci. Po kilkumiesięcznym przetrzymywaniu w areszcie, Niemcy zastrzelili kobietę w styczniu 1943 roku pod wsią Podbiel.

Zrozpaczony i osamotniony Jan, teraz, jak nigdy wcześniej, pragnął zemsty. Zdawało się, że tylko spalenie całego świata mogło zrekompensować mu ból po utracie ukochanej żony. Choć początkowo Rybacki mścił się na Niemcach, wkrótce napady zaczął kierować na ludność wiejską. Szczególnie na tych, którzy posiadali jakikolwiek majątek. Atakował młynarzy, gospodarzy i sołtysów, ograbiał ich posiadłości lub nakładał kontrybucje. Rabuś tłumaczył okradanym chłopom, że pieniądze i żywność są mu niezbędne na utrzymanie partyzantki. Niekiedy wydawał nawet kwity nabazgrane szybko na świstkach papieru, zapewniając, że będą uprawniały do obniżonych podatków po wojnie.

Równie szybko z Janosika, Jan zmienił się w bezwzględnego i okrutnego oprawcę. Najmniejsze nieposłuszeństwo karał biciem, znieważaniem, a czasem nawet śmiercią. Na przykład ponoć we wsi Kopki (wówczas w gm. Glinianka) zgwałcił i zamordował córkę młynarza Rydzewskiego, oraz gospodynię. Jesienią 1942 śmiertelnie pobił Annę Gawryjołek ze Starogrodu²⁵. W lutym 1943 zaś z zemsty osobistej dokonał bandyckiego napadu na wieś Dąbrówka (gm. Celestynów), w czasie którego zamordował 13 osób i spalił 5 zagród²⁶.

Rybacki, posiadając sieć informatorów i współpracowników, poszerzał zasięg swoich niecznych poczynań na południowym Ma-

zowszu. Postrach się w rejonie Kołbieli, Pilawy, Karczewa, Osiecka a nawet Wiązowny. Jednak głównie operował na obszarach, gdzie miał swoje bazy, czyli we wsiach: Kalonka, Żelazna, Goćław, Starogród, Sufczyn, Zabieżki, Lubice, Człekówka, Ponurzyca i Osieck. W Ponurzycy, Rybacki bazował głównie w gospodarstwie Jedynaków.

Od jesieni 1943 roku jednak banda ograniczyła napady do minimum, bowiem w tym czasie odbywała się wzmożona rekrutacja do Batalionów Chłopskich w Garwolinie. Po wsiach chodziły słuchy, że grupa Jana Rybackiego miała być włączona do ich struktur. Choć przywódca szajki i jego współpracownicy zorganizowali w tym czasie rekrutację młodych chłopców i werbunek wozów konnych do Batalionów, Niemcy nie zaznali zbyt znaczących strat w wyniku jego działań. To ludność cywilna była celem ataków zgrupowania, na co komenda Armii Krajowej w Mińsku Mazowieckim postanowiła zareagować. Rozpoczęła się akcja rozpoznawcza członków bandy.

Co działo się później owiane jest tajemnicą. Nie do końca wiadomo, kto był odpowiedzialny za egzekucję Rybackiego. Według analizy Franciszka Zwierzyńskiego²⁷, likwidacji Rybackiego i jego bandy dokonała „...jakaś partia a jej wykonawcy pochodzili prawdopodobnie z Karczewa. W okresie okupacji karczewiacy byli znanymi kupcami żywca i to na terenie działalności grupy Rybackiego...”

Jednak według relacji Józefa Celińskiego, punktem zwrotnym było zabicie przez Rybackiego (lub jego ludzi) oficera Armii Krajowej w Zabieżkach. Wojskowy miał się rzekomo wypytywać o Rybackiego po wsi. Nie wiadomo, czy pytał o Rybackiego w sprawie werbunku do Batalionów, czy raczej po to, by rozpoznać i zlikwidować grupę. Po tym morderstwie, członkowie AK wysłędzili jedną z kwater Rybackiego w Ponurzycy. Egzekucji mieli ponoć dokonać AK-owcy przebrani dla niepoznaki w niemieckie mundury wojskowe.

Właśnie w ten pogodny poranek 7 maja 1944 r. Józek Celiński, Edek Szymczak i Józiek Fic zagnali swoje krowy i konia na łąki pod Ponurzycą. Podczas, gdy zwierzęta rozpoczęły swoją codzienną



Pejzaż z okolic Ponurzyca

rutynę żucia świeżutkiej trawy, chłopcy usiedli pod dziką jabłonią na ugorze. Jej kwiaty pięknie rozkwitły i kusily stada pszczół swoją wonią. Wokół rozbrzmiewała symfonia natury. W oddali, korony dębów, brzoźek i sosen szumiały sobie czesane wiosennym wietrzykiem. Trawy i młode kłosa zbóż falowały przy akompaniamencie bzyczenia much, pszczół i trzmieli. Ptaki wyrażały w śpiewie radość z nadchodzącego lata.

Natura nie robiła sobie nic z faktu, że wokoło ssaki ludzkiego rodzaju prowadzą ze sobą już czwarty rok krwawej jatki, którą nazwali II wojną światową. W ciągu sześciu lat tego konfliktu życie miało stracić około 60 milionów ludzi, co było najobfitszym żniwem wojennej śmierci w historii ludzkości²⁸. Sama Polska miała stracić około 6 milionów ludzi, co stanowiło 17% populacji Polaków sprzed wojny. Do tego czasu, Niemcy założyli na terenie Polski obozy kon-

centracyjne w Oświęcimiu, Brzezince, Treblince, Bełżcu, Sobiborze, Chełmie i Lublinie, w których do końca wojny władze nazistowskie dokonały eksterminacji około 3 milionów ludzi. Ofiarami byli głównie Żydzi oraz grupy społeczne i etniczne, uznane przez nazistów za gorsze rasowo, politycznie lub społecznie. Do eksterminowanych należeli również etniczni Polacy, społeczności Romów, niepełnosprawni fizycznie i intelektualnie, homoseksualiści, duchowni i komuniści.

Nawet mała wioska Ponurzyca odczuła tragiczne skutki eksterminacji Żydów z Otwocka, które było znaczącym ośrodkiem życia społeczności żydowskiej. Wraz z postępem wojny, władze okupacyjne zaczęły prześladować ludność żydowską i masowo ją eksterminować, czego apogeum zostało osiągnięte w 1942 r.²⁹ Józef pamiętał, że wielu Żydów skrywało się w tym czasie po okolicznych lasach i gospodarstwach. Nie raz matka dawała Józefowi ziemniaki, by zaniósł żydowskim dzieciom. Niektóre rodziny z Ponurzyca zapłaciły najwyższą cenę za ukrywanie Żydów i ich członkowie zostali rozstrzelani przez okupanta.³⁰

Od początku wojny siła Niemców zdawała się być nie do powstrzymania. Po zdobyciu Polski, wojska hitlerowskie przeszły do ofensywy na zachodnim froncie Europy. Od 1941 r. uwagę zwróciły z powrotem na wschód i przełamały linię graniczną swojego uprzedniego sojusznika, Związku Radzieckiego. Do początku 1943 r. nic nie było w stanie zatrzymać ofensywy Niemiec. Miasto za miastem, wieś za wsią padały pod naporem dobrze wyposażonych i dowodzonych wojsk Hitlera, które docierały już do Stalingradu. Był to punkt kulminacyjny ofensywy Rzeszy. Żołnierze niemieccy byli nieprzygotowani na mroźną, kontynentalną zimę, cierpieli na braki w dostawach żywności, broni i sprzętu. Oblężenie Stalingradu zakończyło się klęską wojsk Hitlera w styczniu 1943 r. Od tamtej pory, Sowietci przeszli do kontrataku, odpychając wojska Hitlerowskie na zachód. W styczniu 1944 roku sowietci przekroczyli dawną wschodnią granicę Polski. Chociaż na wiosnę tego roku tereny na południowym Mazowszu znajdowały się jeszcze pod kontrolą Nazistów, dni okupacji hitlerowskiej były już policzone.

Ale na ten moment, na tej łące pod Ponurzycą, to wszystko było odległe, jakby na innej planecie. Chłopcy leżeli na plecach pod kwitnącą jabłonią, wdychali majowe powietrze i wsłuchiwali się w koncert łąk i lasów. Edek, odczuł zew muzyczny i naraz wyciągnął z kieszeni ręcznie zrobioną, drewnianą harmonijkę ustną. Przyłożył ją do warg i zaczął grać. Wiedział, że matka nie pozwalała mu na niej grywać, gdy był gdzieś na łąkach. Jej dźwięk rozchodził się daleko i obijał się echem o ścianę lasu. Matka nie chciała, żeby Edek tym graniem zwracał na siebie uwagę. Wiadomo, w czasach wojny lepiej było siedzieć cicho i się nie wychylać. A nuż złe ucho to usłyszy i przyniesie tarapaty, a nuż jakichś bandytów albo Niemców to zwabi. Jak już trzeba było chłopu wychodzić z izby na pole czy łąki, to lepiej było zrobić to, co trzeba, a potem jak najszybciej i najciszej wrócić do chałupy.

Edek jednak był młodzieńcem niepokornym, i nie lubił chodzić jak cień. Szanował słowa matki, ale jak nie było jej w pobliżu, wyciągał harmonijkę i sobie grał. To był jego młodzieńczy bunt, ale też sposób na zapomnienie o ciężkiej codzienności. Tak właśnie zrobił i teraz.

Gdy tak Edek grał na harmonijce we wtórze ptaków i pszczoł, dwaj Józkwie leżeli z zamkniętymi oczami i zagryzali żdźbła trawy. Nagle, do tej muzyki dołączył jakiś niespokojny odgłos kroków: pośpieszny, zdecydowany i obcy. Józek Celiński otworzył oczy, po czym zerwał się na równe nogi przebudzając z zasłuchania pozostałych kolegów. Przed trójką chłopców stali dwaj żołnierze. Byli ubrani w niemieckie mundury i w długie płaszcze wojskowe, szynele. - *Halt!* - zakrzyknął jeden, podczas gdy drugi sięgnął rękę do pasa po pistolet.

Choć żaden z chłopców nie znał niemieckiego, nie było to wcale problemem. Młodzieńcy momentalnie znieruchomieli. Prawie przestali oddychać, na wypadek gdyby ruch zatrzymanej klatki piersiowej przy wdechu wzięty był za nieposłuszeństwo. Żołnierz z palcem na spuście pistoletu stanął naprzeciwko chłopców, podczas gdy drugi skierował się w stronę pasącego się nieopodal konia Józefa. Mundurowy

popatrzył na Łyska, złapał za lejce, sprawdził, czy uzda dobrze jest zamocowana do pyska.

Józek z przerażeniem patrzył na tę całą operację. Niemcy zabierają jego Łyska! Po chwili żołnierz dosiadł czworonoga i podjechał do swojego towarzysza z dłonią na pistolecie. Tamten równie zwinnie dołączył na grzbiet konia. Znieruchomieli chłopcy tylko usłyszeli *Danke Schen!* A po chwili widzieli tylko kurz unoszący się za jeźdźcami.

Józek Celiński niewiele myśląc rzucił się w bieg za kłusującymi żołnierzami. Przecież nie mógł tak po prostu pozwolić komuś zabrać jego konia – najcenniejszy dorobek rodziny! Jak on mógłby wrócić do domu bez Łyska? Co by matka powiedziała? Co by Heniek powiedział?

Chłopiec biegł tak za koniem z całych sił, a strach przed jego utratą dodawał mu mocy w nogach. Jeźdźcy w pewnym momencie zwolnili. Józef dogonił ich i kurczowo złapał za ogon Łyska, próbując mu dotrzymać tempa. W końcu żołnierze przystanęli na drodze wiodącej do domu Jedynaków, który znajdował się za zakrętem.

Żołnierze zsiadli z Łyska. Spojrzeli z politowaniem na zziąjanego chłopca przy zadzie konia, kurczowo trzymającego się jego ogona jak ostatniej deski ratunku.

- *Du bist ein mutiger Junger*³¹! - Powiedział jeden z wojaków

Mężczyzna kiwnął głową na Józka i dał mu znać, że chce go podsadzić na grzbiet wałacha. Józek podniósł drżącą nogę, oparł ją na dłoniach żołnierza i zwinnie wskoczył na grzbiet Łyska. Po chwili żołnierze udali się na piechotę w stronę gospodarstwa Jedynaków. Józek zaś ruszył pędem do domu, jeszcze nie mogąc sobie w głowie ułożyć wszystkiego, co się właśnie wydarzyło. Drzewa szumiały tak samo jak wcześniej i ptaki też śpiewały jak miały w zwyczaju, gdy Józek kłusował na oklep z sercem na ramieniu. Nagle szum drzew zagłuszył przeszywający świst strzału z pistoletu. Józef pochylił się i objął rękoma szyję Łyska. Nie chciał już nic więcej słyszeć.

Po rozstaniu z Józefem, dwaj żołnierze zbliżyli się do zagrody, przy której w zaroślach przyczaili się ich towarzysze. W chacie Jedy-

naków można było usłyszeć męskie rozmowy dobiegające z jednej części domu.

Była to izba, w której rodzina Jedynaków gościła Sroczyńskich. Przez okolicznych mieszkańców goście nazywani byli „wygnańcami”. Pochodzili ponoć spod Poznania, skąd wyjechali za zgodą okupanta i zamieszkali pod Warszawą. Dostali też od władz niemieckich pozwolenie na handel. Mieli wódkę, kiełbasę i dobrze im się wiodło. Do tego mówili po niemiecku bo pochodzili przecież z terenów byłego zaboru pruskiego. Choć mieszkańcy nic nie mieli ani do Jedynaków, ani do przybyszów spod Poznania, to chodziły głosy, że ci Sroczyńscy mogli być szpiegami pracującymi dla Niemców. Bądź, co bądź, Jan Sroczyński całkiem dobre relacje miał również z Janem Rybackim. Na tyle dobre, że dom Jedynaków stał się jedną z jego kwater. To tutaj Rybacki wraz ze swoimi zaufanymi kompanami zwyczajowo przyjeżdżał na niedzielny obiad.

Zbliżało się południe, gospodarze domu dopiero co pojechali na niedzielną mszę do Osiecka.

Rybacki siedział właśnie ze swoim współnikiem i Sroczyńskim w izbie, gdy do drzwi domu zaczął ktoś łomotać. Wspólnik poprawił sobie broń przy pasku i skierował się w stronę drzwi. Zanim zdążył je do końca otworzyć, jego ciało padło na ganek, przedziurawione kulami. Rybacki, niewiele myśląc rzucił się na podłogę i doczołgał do drugiego pokoju. Kątem oka widział przez okno kilku mężczyzn w niemieckich strojach wojskowych z wycelowanymi pistoletami w stronę domu. Rybacki rzucił się w kierunku uchylonego okna, wyskoczył na podwórze i ruszył pędem w stronę łąk za zagrodą. Strzał. Krwawa plama pojawiła się na plecach uciekiniera i zaczęła rozlewać się po jego koszuli. Rybacki potknął się, zachwiał i upadł na ziemię. Za chwilę otoczyło go pięciu mężczyzn. Jeden z nich jeszcze raz strzelił zbójowi w głowę, która w ostatnich drgawkach uniosła się i upadła bezwładnie na ziemię.

Tak skończył żywot Jan Rybacki, największy bandyta wojenny na południu od Warszawy. Dwie rasy wystrzelone przez jednego z członków akcji oznajmiły światu, że akcja została zakończona

pomyślnie. Po chwili pięciu mężczyzn znikło w lesie i już nikt ich więcej nie widział w tej okolicy.

Sam Jan Sroczyński zbiegł z miejsca wydarzenia ale został pojmany przez okoliczną ludność i zastrzelony na obrzeżu Ponurzyca, około 3 km ode wsi. Zabici zostali pochowani pod lasem. Jednak po kilkunastu dniach, zwłoki współnika i Sroczyńskiego zostały ekshumowane przez rodziny i przeniesione na cmentarz w Osiecku. Nie wiadomo, natomiast, co stało się z ciałem Rybackiego.

Od tamtej pory ucichły pobojujowiska i bandytyzm stopniowo zanikał w okolicy. Banda po stracie charyzmatycznego przywódcy rozpadła się. Po tym wydarzeniu, rodzina Jedynaków, ani też mieszkańcy Ponurzyca nie doświadczyli żadnych przykrości. Nie było dochodzeń, jakby nic się nie stało.

Nękana ludność okolicznych wsi mogła odetchnąć z ulgą. Jednak nie na długo. Bowiem wkrótce Ponurzyca miała przywitać kolejnych gości. Tym razem ich przybycie zwiastowało długotrwałe i znaczące zmiany w Polsce, zarówno w mieście, jak i na wsi.

Rozdział 7.

**WIATRY NIESPOKOJNE,
IDZIE KONIEC WOJNY***Przełom 1944-1945 r.*

Leśniczy Andrzej Rusinek siedział przy stole w izbie Celińskich i popijał kawę zbożową, co rusz mieszając łyżeczką w porcelanowym kubku w kwieciste wzory. Gospodyni domu miała w zwyczaju zdobić takimi kubeczkami ścianę kuchennej izby nieopodal stołu.

Andrzej rozejrzał się po izbie. Wyglądała tak samo, jak zawsze: uboga, prosta, zadbana. Naprzeciwko przy dębowym stole siedziała Anna, obok niej syn Heniek. Józef siedział przy piecu i strugał drzazgi na rozpałkę. Dni były chłodne, więc trzeba było więcej palić w piecu, który ogrzewał izbę i sąsiadujący z nią pokój sypialny rodziny. W izbie panowała cisza. Słyszał tylko stukot okiennic, którymi telepał grudniowy wiatr oraz tykanie zegara stojącego na kredensie.

Andrzej pokiwał głową obserwując dorastające dzieci Anny. Młodzieńcy zmężnieli przez lata wojny: urosli, nabrali tężyzny, puściły im się wąsy. Heniek był już w zasadzie dorosły. Zawitało mu siedemnaście wiosen, był wysoki i przystojny. Zanim się człowiek obejrzy, a młodzik będzie o żeniactwie myślał. Czternastoletni Józek był szczupłym młodzieńcem, ale miał krzepę i się rwał do roboty. Nie raz chodził do Andrzeja, żeby zarobić parę groszy przy zwożeniu drzewa z lasu. Najmłodsza pociecha Anny, Halinka była już porządną gospodynią. Lubiła gotować, doglądała ptactwa i zwierzyny w gospodarstwie, uprawiała warzywniak.

Leśniczy Rusinek przez lata służby na Czarcim Dole bardzo się zaprzyjaźnił z tą pocziwą rodziną. Tym razem w domu Celińskich wyczuwało się aurę zaniepokojenia. Wszyscy wiedzieli, że wkrótce coś się zmieni. Od wschodu przyszło nowe. Jakie ono będzie? Leśniczy przełknął haust gorzkiej, czarnej kawy, odstawił kubek na stół i zwrócił się do gospodyni:



**Halina Celińska, w tle dom rodzinny.
Zdjęcie prawdopodobnie zrobione w latach 50-tych XX w.**

- Ależ Pani Anno, ja pani mówię: bierze pani parę hektarów lasów dla siebie! Komuniści przyszli, ogłosili reformę rolną i zawłaszczyli na skarb państwa dawne własności dziedzica Potockiego³². Sama pani widzi, co się dzieje. Ja do tej pory byłem na zatrudnieniu u dziedzica. Ale teraz ziemię i lasy konfiskuje nowy rząd. Nowego leśniczego już na Czarcim Dole obsadzili, więc nic tu po mnie. Zamierzam przenieść się z rodziną na zachód Polski, na Ziemię Odzyskane. Pani tu zostaje z dziećmi a wiadomo, ziemi nigdy za wiele. Jak dają las z reformy, to trzeba brać. Nie weźmie pani, weźmie kto inny.

Anna oraz jej synowie zastygli w bezruchu. Leśniczy kontynuował:
- Jak odjadę, to pójdzie pani Anna do gminy i poprosi o przydzielenie pani hektara czy pół lasu. Inni ze wsi okolicznych też będą o to chodzić, więc co ma pani stracić!

- Nie ma mowy, toć to niehonorowo! - zachnęła się Anna. – Tyle co z wami dobrze żyliśmy, Panie Rusinek, przez tyle trudów śmy przeszli w czasie wojny, to ja teraz po wasze lasy będę sięgać swoją ręką?

- Pani Anno, ale i tak te lasy są scedowane³³ państwu. Nowe rządy nastąpiły, PKWN³⁴ teraz rzundzi na tych terenach. I tak zarzundziło. Lasy i ziemię dziedzica będą teraz własnością państwa³⁵. Część tych ziem będzie przekazana małym gospodarstwom chłopskim, więc czemu pani Anna by nie skorzystała? Jak reforma, to reforma!

Po czym dodał, pochylając się nad stołem - Ja pani pomogę napisać podanie, żeby chociaż tego pół hektara lasu mogła pani dostać.
- Ja rozumiem - ale i tak nieładnie sięgać po tę ziemię. Bardzo nieładnie. Tak nam pan Rusinek drzewa dawał, pomagał ścinać, tak pilnował wiśni, obił na zimę słomą, żeby nie przemarzły, a to krowę dobrą sprzedał. Nie, nie, ja na las nie łasa. Najważniejsze to żeby zawsze do końca honor i godność zachować.

Gruba podłużna zmarszczka na czole leśnika wygładziła się, gdy słuchał Anny. Rusinek spojrział uważnie na kobietę. Szczupła, pociągła twarz gospodyni często wydawała się być surowa i pełna rezerwy. Jednak dla dzieci Anna była opoką, a dla wielu kobiet ze wsi symbolem kobiecej siły. Anna emanowała mocą skromności, uczciwości i konsekwencji. Te wartości przyświecały Annie na co dzień, bez względu na otaczającą ją rzeczywistość. Ani czasy chaosu

wojennego, ani politycznych batalii po jej zakończeniu, które spowodowane były męską rządzią władzy i podporządkowywania sobie innych, nie były w stanie zepsuć cichej siły Anny.

Rusinek odłożył kubek i podniósł się z krzesła.

- No nic, chyba pani nie przekonam. Ale powiem tak – będę się modlił do najświętszego Jezusa coby miał panią Annę i ten cały dom w swojej opiece. W tych czasach ludzi takich, jak pani, to ze świeczką szukać!

A czasy te były szczególne. Nie było trudno zatracić w nich konsekwencję umysłu i duszy. To, co wczoraj było codziennością wojny, teraz było już tylko ponurym wspomnieniem. Ci, którzy byli najeźdźcami na początku wojny, teraz stali się wyzwolicielami godnymi chwały. Ci, którzy walczyli przeciwko najeźdźcom, nagle okazywali się „reakcyjnymi bandami, zaplutymi karłami reakcji”. Białe stawało się czarne, czarne splotało się z białym, a wszystko powoli pokrywał jedynie słuszny kolor czerwony.

Rok 1944 był dla Polaków przełomem, który nakreślił zupełnie nowe cele i nadzieje. Po kilku latach okupacji niemieckiej, na wschodnim froncie nastąpił przełom. Od czasu klęski Niemców pod Stalingradem, Armia Radziecka nabrała animuszu i przeszła do konrofensywy. Posuwała się konsekwentnie jak burza po stepie, spychając Niemców coraz to bardziej na zachód. Wojska sowieckie dotarły na tereny Polski na początku 1944 i kierowały się w stronę okupowanej przez Niemców Warszawy.

Józef pamiętał dobrze ten moment, kiedy usłyszał w Szymczakowym radiu ogłoszenie, że wojsko sowieckie i Wojsko Polskie sformowane na wschodzie przekroczyły Bug i idą w kierunku Lublina i Warszawy. 22 lipca 1944 r. zajęli pierwsze miasto na terenie Lubelszczyzny - Chełm. Wkrótce podano, że tego dnia powstał Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN), który ogłosił Manifest do Narodu Polskiego. Ten marionetkowy komitet kierowany ręką Stalina miał stanowić załążek przyszłego rządu ludowego w Polsce. Potem 29 lipca 1944 roku oddziały radzieckie przełamały opór niemiecki w Kołbieli i Karczewie. Wkrótce Sowietci dotarli również do Ponurzycy. Jednak im bliżej podchodziły pod Warszawę, tym większy opór stawiali okupujący ją Niemcy. W momencie wybuchu

Powstania Warszawskiego dnia, 1 sierpnia 1944, front rosyjski został zatrzymany na przedpolach Warszawy przez jednostki pancerne Niemców. Front zamął na ponad miesiąc, gdyż Armia Czerwona musiała uzupełnić zaopatrzenie. Podczas gdy stolica wykrwawiała się w powstaniu przeciwko Niemcom, na jej obrzeżach nastąpił tymczasowy impas.

W tym czasie oddziały armii sowieckiej przycupnęły po okolicznych wsiach na prawym brzegu Wisły, a PKWN rozpoczął podporządkowywanie sobie administracji na 'wyzwolonych' terenach okrojonej o kresy wschodnie Polski.

Jedną z ważniejszych decyzji PKWN-u było ogłoszenie 6 września 1944 roku reformy rolnej. Zakładała ona parcelację bez odszkodowania wielkich majątków ziemskich. Ziemie te miały zostać przekazane chłopom małorolnym lub bezrolnym a także przeznaczone na późniejsze państwowe gospodarstwa rolne (PGR-y)³⁶.

Tak więc teraz, ludność wsi umęczona latami okupacji, bandytyzmem i niepokojem, dostrzegła cień nadziei na lepsze jutro. Przyszedł czas, kiedy państwo miało docenić trud maluczkich: chłopów i robotników. Chociaż reforma rolna napawała okolicznych rolników nadzieją, wiedzieli oni jednak, że nikomu nie można do końca ufać. Przez stulecia obiecywano chłopstwu reformy, więcej praw, a jak przyszło co do czego, chłop zawsze był zostawiony sam sobie, na pastwę natury, polityki i ołowiu. Dlatego okoliczna ludność z podejrzliwością obserwowała to wszystko, co nadciągnęło wraz z Armią Czerwoną.

Józef szacuje, że pod samą Ponurzą i Regutem pod koniec lata 1944 r. stacjonowało około 3 tysięcy żołnierzy oraz około tysiąc koni. Sowieccy oficerowie ulokowali się w domach, natomiast piechota i kawaleria usadowiła się w okolicznych lasach. W podosieckich wsiach Ruscy robili, co chcieli. Mieszkańcy bezsilnie znosili panoszenie się krasnoarmiejców. Sowieccy żołnierze wkrótce poczuli wycinać w pień chojaki w lesie, które im posłużyły do budowy ziemianek dla siebie i wiat dla swoich czterokopytnych towarzyszy. Mieli się tam schować przed chłodem i deszczem nadchodzącej jesieni. Gdy ziemianki zostały wybudowane, sowieci

przycupnęli w nich na kolejne kilka miesięcy, czekając rozkazu, żeby wejść do Warszawy.

Bardzo szybko zapasy jedzenia „wyzwoliciele” się skończyły i Ponurzycczanie po raz kolejny byli zobowiązani oddawać przydziały żywności i żywca na obce wojsko. Czerwonoarmiści nie zamierzali jednak polegać tylko na przydziałach. Często były przypadki okradania gospodarstw z ziemniaków, zboża, drobiu, żywca czy paszy. Do tego mieli w zwyczajcu domagać się wódki.

Pewnego razu Rosyjscy oficerowie zajadali się kolacją u Celińskich w domu, a tymczasem ich żołnierze podkradli się do stodoły, otworzyli wierzeje i wykradli siano dla koni. Gdy po wykryciu incydentu Anna poskarżyła się oficerowi, ten zaraz zaklął:

- o jebut, ja im skoro pokażu!

Oficer pokrzyczał, pokrzyczał, ale za bardzo nie zganił swoich żołnierzy. W końcu musieli oni coś włożyć koniom do pysków, żeby miały siłę iść na Warszawę jak przyjdzie rozkaz.

Innym razem, pewien Olek z Ponurzyicy chciał uchronić opasty stóg siana przed zgłodniałym wzrokiem bolszewickich koni. Pomyślał, podumał, co tu zrobić i obłożył stóg brzydką, zatęchłą słomą, która się jeszcze uchowała z poprzedniego roku. Mocno się przy tym nagimnastykował, bo stóg siana był bardzo duży. Pożyczył od sąsiada drabinę i wspiał się aż na sam szczyt stogu, okrywając słomą każdy centymetr jego powierzchni. Olek pracował zacięcie całą sobotę. Gdy skończył, aż zagwizdał z zadowolenia nad swoim dziełem.

- Stóg słomy, jak nic! – powiedział do siebie pod wąsem, po czym poszedł do chałupy, bo żona właśnie wołała na kapuśniak z kartoflami.

Następnego dnia, gdy Olek wrócił z rodziną z kościoła, jego synowie pobiegli za stodołę do wychodka za potrzebą. Po chwili jednak wrócili z krzykiem. Stóg siana zniknął! Cała praca biednego Olka poszła na marne. Żołnierze rosyjscy i ich konie wyczuli chyba przekręt w tym zabawnym stogu słomy. Zabrali wszystko siano, pozostawiając po sobie tylko niedbale porozrzucaną zgniłą słomę.

Rada nie rada, ludność wsi, cierpliwie znosiła grabieże z nadzieją, że może kiedyś te niespokojne wiatry ucichną. Wkrótce nastąpiła sroga zima. Pod koniec roku Rosjanie dostali rozkaz wymarszu na Warszawę. Porzucili więc swoje ziemiankowe kwatery pod Ponurzcą i ruszyli na północ, w kierunku stolicy. Warszawa została zajęta przez armię sowiecką w dniu 17 stycznia 1945 r.

W tym czasie reformy zapoczątkowane przez PKWN zaczęły już zmieniać struktury polityczne i gospodarcze. U jednych wzbudzały obawy i oburzenie, u innych zasiewały nadzieje na lepszy los. Reformy rolne, przesiedlenia oraz migracje społeczne nie pominęły nawet tej małej wioseczki Ponurzycy, która ukrywała się cicho wśród wzgórz i lasów mazowieckich.

Jedną z tych widocznych zmian było właśnie upaństwowienie lasów i ziemi oraz wyjazd leśniczego Rusinka na zachód. Ponurzyczanie ze smutkiem żegnali byłego leśniczego, choć wielu już zacierało ręce na możliwy przydział lasu czy ziemi z upaństwowionych dóbr.

Wkrótce nadszedł dzień pożegnania z Rusinkiem i jego rodziną. Józef dobrze zapamiętał słowa, jakie wtedy Andrzej powiedział do swojego następcy, Tomasza Połoczańskiego: „Józef to dobry chłopak, a jego rodzina jest bardzo zacna. Dobrze z nimi współpracujcie.”

Wkrótce okazało się, że Tomasz Połoczański, nowy leśniczy na Czarcim Dole też może być równy chłop. Pochodził „zza Bugowia” (zza rzeki Bug) i miał wyraźny, wschodni akcent. Jak na ironię losu, te same wiatry zmian, które wygnały Rusinka na zachód, sprowadziły Połoczańskiego ze wschodu na Czarci Dół. Ziemie wschodnie w czasie wojny stały się szachownicą, na której początkowo Związek Sowiecki i Niemcy rozgrywali partię, której stawką był podział Polski. Jak to bywa w historii, autorytarne rządy Hitlera i Stalina oraz represje wobec ludności zamieszkującej okupowane tereny, rozpałyłły tłące się zarzewie ruchów narodowościowych i etnicznych.

Sowieci przejęli wschodnie ziemie polskie jesienią 1939 i przez dwa lata zaprowadzali porządek wedle stalinowskiej modły: kolektywizowali rolnictwo, rozkułaczali własności ziemskie, deportowali

ludność na roboty przymusowe w głąb Związku Radzieckiego, dokonywali licznych aresztowań i inwigilacji społecznej³⁷. W 1941 roku tereny te opanowali hitlerowcy. Jednak od 1943 roku, Niemcy zaczęli być wypychani stąd przez Armię Czerwoną. Już na przełomie listopada i grudnia 1943 r. w Teheranie Stalin, Roosevelt i Churchill opowiedzieli się za polską granicą wschodnią na tzw. Linii Curzona, co oznaczało oddanie polskich ziem na wschód od Bugu Rosjanom. W lutym 1945 r. w Jałcie potwierdzono ten układ. Rekompensatą dla Polski były tereny niemieckie do Odry i Nysy. To spowodowało falę migracji dobrowolnych i przymusowych. Na tzw. Ziemiach Odzyskanych przesiedlano Polaków ze wschodu.

To właśnie wtedy Tomasz Połoczański zdał sobie sprawę, że pozostanie dłużej na ziemiach rodzinnych nie ma sensu. Wiedział, że wkrótce utraci ziemię, która ulegnie kolektywizacji a jemu samemu pozostanie życie pod batogiem Stalina w stałej obawie o życie swoje i rodziny. Pewnej nocy podjął decyzję: trzeba uciekać na zachód. Nad Wisłę Tomasz udał się sam, najpierw jechał pociągiem do Lwowa, później przedzierał się przez zrujnowany wojną kraj, spał w lasach, podróżował na furmankach przejeżdżających chłopów. Bał się by go nikt nie aresztował. Po ciężkich dniach wędrówki, wybiedzony i zagłodzony dotarł do Garwolina, gdzie zgłosił się do odpowiednich władz. Miał wykształcenie leśnicze, więc od razu wysłano go na Czarczi Dół. Zamieszkał wtedy w leśniczówce razem z rodziną Rusinka, która zaczynała szykować się do wyjazdu na zachód.

Przez pierwsze miesiące po odejście Rusinka, Połoczański z pomocą dobrych ludzi ze wsi przygotowywał mieszkanie na przyjazd rodziny. Sam leśnik przyjechał prawie że z niczym, ale nie zawiódł się na gościnności tutejszych ludzi. Razem z Józkiem i z innymi chłopakami ze wsi, leśnik wyrąbał parę drzew, które zawieziono do tartaku do obróbki. Z tych bali zrobiono łóżka, stół, inne meble. Kobiety ze wsi zeszyły się i uszyły ciepłe pierzyny z gęśiego puchu, bo zima już była za pasem.

Tuż przed ostatkami, leśnicy i Józek pojechali wozem do Pilawy. W jednym z wagonów towarowych miała przyjechać rodzina

Tomasza: jego żona, dwaj synowie, Nusiek i Michałek, oraz jego ojciec i matka.

Rodzina Połoczańskiego była uboga, ale oprócz kilku walizek z gratami i ubraniami, przywiozła największy skarb: trzy krowy i konia. Józek uśmiechnął się do siebie widząc tę całą karawanę. Jedni leśniczy odchodzili, drudzy przychodzili, ale to co było u nich niezmiennie to miłość do lasów, natury i zwierząt. Leśniczy byli rzućani na służbę z leśniczówki do leśniczówki. Krowy i konie wiernie towarzyszyły im w tych pielgrzymkach. Były jedyną oznaką bezpieczeństwa i stałości finansowej w tych burzliwych czasach.

Po radosnych powitaniach i zapakowaniu bagaży, wszyscy usadowili się na wozie. Obok wozu wlokły się niespiesznie krowy i koń, nieco zaskoczone i otumanione widokiem obcego miasteczka i obcych ludzi. Dwaj nastoletni synowie leśnika, Nusiek i Michał usiedli na desce obok Józefa i z ciekawością oglądali mijane po drodze wsie i pola. Zastanawiali się jak wygląda ta leśniczówka na Czarcim Dole, która wkrótce stanie się ich domem. Józef zapytał chłopców jak wyglądał ich dom w rodzinnych stronach. Jeden przez drugiego zaczęli opisywać ubogą chatkę, słoneczniki pod okiennicami, błotnistą drogę wiodącą do leśniczówki, wielkie połacie łąk, płodne gleby pól oraz wzgórze ciągnące się wzdłuż Bugu.

Józefowi bardzo podobał się ich wschodni akcent i opowieści o dalekich krainach. Od czasu do czasu młodzieńcy wrzucali do rozmowy jakieś rosyjskie słowa. W końcu musieli się nauczyć tego języka w czasie lat urzędowania sowieckich wojsk na tamtych terenach. Józef pomyślał sobie wtedy, że też chciałby nauczyć się tego tęsknego, słowiańskiego języka. Zapragnął zobaczyć kiedyś te piękne zabużańskie wzgórza i pola, które chłopcy tak ciepło wspominali.

Kilka lat później, obydwaj życzenia miały się ziścić Józefowi w szczególnych okolicznościach.

Rozdział 8.

STRAŻNICA 164

1951-1953

Zima 1944/1945 r. była mroźna, ale przyniosła wyzwolenie z okupacji niemieckiej i nadzieję na pokój i normalność. W Polsce miały miejsce polityczne przetasowania. Wykluwał się nowy, komunistyczny rząd. Tymczasem maleńka Ponurzyca, oddalona zaledwie o 50 kilometrów od znękaney wojną stolicy, która powoli wracała do życia, odetchnęła z ulgą słysząc, że wojna się kończy. Nowy rząd miał wreszcie docenić ciężką pracę chłopstwa i robotników. Na znak tego, że masy rządzą w 1952 r. nazwę kraju z Rzeczypospolitej Polskiej zmieniono nową konstytucją na Polska Rzeczpospolita Ludowa.

Wieś polska była już wyczerpana wojną, bandytyzmem, surowymi kontyngentami i falami wojsk niemieckich i sowieckich przelewających się przez mazowieckie pola. Zakwitła nadzieja, że przyszedł wreszcie czas, aby cierpienia lat wojny wyrzucić z duszy jak na wiosnę wyrzuca się stare, podgniłe ziemniaki z piwnicy. Przyszedł czas, by położyć bukiet bzów pod starym, brzożowym krzyżem, a następnie udać się na pole, którego gleba stęskniła się za pługiem i bronami.

Ponurzyca ożyła również z innego powodu: oto szkoła w Osiecku wznowiła nabór. Teraz młodzi i starsi, którym lata wojny zabrały możliwość nauki, mogli tę stratę zrekompensować. Józef był jednym z uczniów, którzy po wojnie z powrotem przysiedli za pulpitemi szkolnych ławek. Przed wojną Józef skończył cztery klasy szkoły powszechnej w Ponurzycy. Ponieważ teraz nie było już dla niego miejsca w piątej klasie w Osiecku, został przyjęty od razu do szóstej klasy.

– *Chłopak wygląda na bystrego to sobie poradzi* - pokwitowała decyzję kierowniczka szkoły, wpisując go na listę o klasę wyżej.

Rzeczywiście, Józef sobie dobrze radził, szczególnie z językiem polskim i historią, które go bardzo interesowały. Zawsze, gdy trzeba



**Marianna, żona Henryka Celińskiego z dzieckiem,
prawdopodobnie zdjęcie z lat 1950-tych**



Henryk Celiński w mundurze wojskowym, przełom lat 40. i 50. XX w.

było jakiegoś wiersza na pamięć się nauczyć, Józef był pierwszy do recytowania. Po drugiej zwrotce nauczyciel przerywał mu, by dać szansę innym uczniom. Muzykę też Józef bardzo lubił, a miał mocny głos.

Zmiany następowały również w rodzinie. Heniek kilka lat po wojnie wziął ślub z Marianną Jedynak. W domu u Jedynaków było siedem córek i jeden syn. Najstarsze córki i syn byli już pożenieni i na swoim. Została tylko Marianna i jej dwie młodsze siostry. Po ślubie, Heniek poszedł na gospodarstwo do Jedynaków, a w domu pozostała Anna z dorastającymi Józefem i Haliną.

Lata szkolne minęły Józefowi jak z bata strzelił. Zanim się chłopiec obejrzał, stuknęło mu 21 wiosen i kolejny obywatelski obowiązek czekał za rogiem: służba wojskowa. Na początku 1951 r. Józef został wezwany na Wojskową Komisję Lekarską. Wkrótce potem, otrzymał rozkaz zameldowania się na obowiązkową, 2-letnią służbę wojskową. Został skierowany do służby w Wojsku Ochrony Pogranicza, a jego jednostka stacjonowała w Przemyślu.

Stacja w Dęblinie, marzec 1951 rok

Wiatr huczał i deszcz smagał po peronach stacji w Dęblinie w ten ponury, mroźny dzień. Pani kasjerka leniwie piła herbatę za kasą, gdy około południa na stację w Dęblinie zajechał wóz wojskowy. Drzwi furgonetki otworzyły się i wyszła z niego grupa młodzieńców, około dziesięciu. Za chwilę z samochodu wyszli kierowca i komendant. Wręczyli chłopcom bilety oraz książeczki wojskowe. Komendant szybko wytłumaczył, że mają wsiąść do pociągu do Rzeszowa, a następnie przesiąść się w Przeworsku na pociąg do Przemyśla. W Przemyślu mają się stawić w jednostce wojskowej przy ulicy Słowackiego. Tam rekruci zostaną zakoszarowani.

Komendant jeszcze tylko raz rzucił okiem na wpatrzone w niego dziesięć par oczu. Chłopcy bali się by nie umknął im jakichś szczegółów, który tę drogę do koszar mógłby zagmatwać.

– *Aha*, - dodał Komendant – *pilnujcie swoich książeczek wojskowych jak oka w głowie! Pociąg do Rzeszowa powinien być za godzinę.*

Chwilę później wojskowy urzędnik zniknął za drzwiami furgonetki, która odjechała spod stacji. Minęły dwie godziny, a pociąg do Rzeszowa się nie zjawił. Kasjerka powiedziała, że jest jakieś opóźnienie w Warszawie i kazała czekać. Chłopcy więc siedzieli cierpliwie na metalowych ławkach. Czekali zabijając czas rozmowami. W końcu pociąg przyjechał przeładowany tak, że z trudem wepchnęli się do wagonu.

Razem z Józefem Celińskim do wojaka jechali: Maniek Jałocha, Stasiek Starosz z Goławia, Porowski z Sobieni i Władek Szopa z Maciejowic. Choć młodzieńcy pochodzili z różnych miejscowości, wkrótce mieli stać się zażyłymi kompanami służby.

Na przykład Władek Szopa był wysokim, przystojnym blondynem. Choć z natury był wesoły, nie za bardzo zachwycony był perspektywą spędzenia dwóch lat w koszarach. W Maciejowicach pomagał swojemu ojcu w budowie wału nadwiślańskiego i całkiem nieźle miał z tego pieniędzy. Lecz nie za wałami najbardziej tęsknił a za błękitnymi oczami przepięknej Krysi³⁸. Był z nią zaręczony i zaraz po powrocie z wojska miał wziąć z nią ślub. Pragnął tylko przetrwać rozłąkę i jak najszybciej wrócić do ukochanej w Maciejowicach.

Z kolei Porowski z Sobieni był bardzo zafascynowany służbą. Chociaż bardziej oczy młodziana rozświeślały się na widok broni palnej niż na samą myśl o wojskowej dyscyplinie. Gdy świeży poborowi przechodzili przez półroczne przeszkolenie wojskowe, on zawsze chciał więcej. Jak przyszedł czas na bieganie po polanach i wzgórzach z bronią, on już czekał aż zacznie się szkolenie z używania tej broni na strzelnicy. Kiedy zaczęły się szkolenia z KBK (krótki bojowy karabin) albo KBKS (krótki bojowy karabin sportowy), Porowski migiem nauczył się strzelać i rzucał zazdrośnie okiem na starszych kolegów strzelających z RKM (ręczny karabin maszynowy). Gdy przyszła pora na szkolenie z RKM, Porowski z zapałem chłonał te umiejętności i z tęsknotą wypatrywał szkolenia z CKM (ciężki karabin maszynowy).



Żołnierze WOP, Kwaszenina. Józef Celiński w dolnym rzędzie, drugi od prawej

Na koniec sześciomiesięcznego szkolenia, rekruci zostali przydzieleni do określonych strażnic, które rozrzucone były wzdłuż granicy wschodniej. Jedna strażnica była w Przemyślu, inna w Hermanowicach, jeszcze kolejna, na południe we wsi Kwaszenina. Józef został wysłany właśnie do Kwaszeniny (dziś w gminie Ustrzyki Dolne), na 164-tą strażnicę, wtedy jeszcze, Rzeczypospolitej Polskiej.

Choć strażnica w Kwaszeninie była schowana pośród malowniczych gór i dolin bieszczadzkich, wcale nie była rajem na Ziemi. W owych czasach dochodziło tu do masowych przesiedleń ludności polskiej z terenów utraconych po wojnie (tzw. Kresy Wschodnie) na rzecz nowo utworzonej Ukrainy oraz przesiedleń Ukraińców z Polski na Ukrainę. Jeszcze w czasie wojny tereny te były świadkami akcji represyjnych i mordów dokonywanych na ludności polskiej przez narodowościowe zgrupowanie UPA³⁹ (Ukraińska Powstańcza Armia). Po wojnie up-



Portret Józefa Celińskiego w wojskowym mundurze

owcy nie uznawali granic polsko-ukraińskich ustalonych na konferencji w Teheranie i w Jałcie. Prowadzili swoje akcje również w okolicach Kwaszeniny a nawet mieli tam swój sztab. Józef wspomniał, że w czasie jego służby z rąk bandy zginęło dwóch jego kolegów.

Pomimo trudów i niebezpieczeństw, dla Józefa służba wojskowa była czymś więcej niż tylko obowiązkiem obywatelskim. Młodzieńcowi przywykłemu do ciężkiej pracy na roli niestraszne były ani

ćwiczenia z bronią, ani bieganie po zabłoconych wzgórzach, ani też nocne patrole granicy. Józef przykładał się więc do wszystkiego co robił. Służbę wojskową wykonywał skrupulatnie do tego stopnia, że został wkrótce awansowany do stopnia kaprała.

Józef czasami wykonywał patrol przygraniczny konno. Siedząc na wojskowym koniu, w lekkim letnim mundurze, z rękawami podwiniętymi do łokci i z ręcznym karabinem maszynowym zawieszonym na prawym ramieniu, Józef wdychał świeże, podbieszczadzkie powietrze. Twarz pod wojskową czapką wystawiał ku słońcu. Takie momenty, jak ten, dawały mu energię i radość. Młodziak czuł się częścią czegoś wielkiego i ważnego. Po latach ciężkiego dzieciństwa na okupowanej wsi, dopiero teraz Józef odczuwał coś, co było mu tak obce w dzieciństwie: to ulotne, a jakże wyzwalające poczucie wolności.

Obowiązkowa służba zleciała Józefowi jak z bicia trzaską. Latem 1953 roku Józef szykował się już do wyjścia z wojska, gdy jego Komendant wezwał go do Przemyśla. Gdy Józef zjawił się w biurze, komendant spojrzął na dokumenty leżące na biurku, potem na Józefa i powiedział.

-Dobrze się kapralu Celiński spisywałeś do tej pory na strażnicy 164.

- A dziękuję obywatelu komendancie. To mój obowiązek.

-Tak, właśnie. Chodzi o to, że obywatele Polski cały czas potrzebują was. Jak wiecie, ostatnio nasz wielki przyjaciel i wódz ZSRR towarzysz Józef Stalin odszedł na zawsze. Bardzo dużo smutku i niepokoju wywołało to nieszczęśliwe wydarzenie po obu stronach granicy. Dlatego Komenda jednostki zdecydowała, że wasza służba zostanie przedłużona o kolejne sześć miesięcy. Możliwe, że już w listopadzie 1953 r. będziecie mogli opuścić koszary. Jako rekompensatę dostaniecie w przyszłym miesiącu tygodniową przepustkę.

- Tak jest obywatelu komendancie! – odpowiedział dziarsko Józef strzelając obcasami w pozycji baczność.

Józef wyszedł jednak z pokoju komendanta nieco przygarbiony perspektywą jeszcze półrocznej służby. Nie bardzo mu ta decyzja była na rękę. Właśnie niedawno dostał list z domu. Matka zaanonowała, że jego siostra, Halina ostatnio poznała na zabawie sobot-

niej we wsi miłego młodzieńca z Podbieli, Józefa Strzeżysza. Obydwie rodziny już się zmówiły, ślub był zaplanowany na jesień tego roku. Matka liczyła, że syn wyjdzie wkrótce z wojska i będzie mógł złapać jakąś robociznę, żeby zarobić grosz na wesele siostry.

Ale siła wyższa, śmierć Józefa Stalina 5 marca 1953 roku wymagała specjalnych poświęceń od społeczeństw radzieckich i państw sojuszniczych. Zwłaszcza, że zaczęła się w Moskwie walka o władzę między Berią a Chruszczowem, co wstrząsnęło partiami komunistycznymi w demoludach, w tym w Polsce. Sytuacja wymagała, aby imiennik wodza, Józef Celiński pozostał na strażnicy granicznej, a jego rodzina opóźniła plany matrymonialne. W ostateczności, ślub Haliny przełożono na luty 1954 r.

Józek pozostał w strażnicy przez kilka kolejnych miesięcy, aż wreszcie nadszedł wyczekiwany listopad i czas służby dobiegł końca. Po wyjściu z wojska Józef nie był już tym samym chłopakiem, który przyjechał do Przemyśla dwa i pół roku temu. Twarz mu zmężniała, kości policzkowe się wyostrzyły i nadały licu Józefa powagi. Stał się mężczyzną, któremu lata wojska dodały krzepy, nauczyły dyscypliny i pewności siebie.

Usiadłszy już w przedziale pociągu relacji Przemyśl-Rzeszów, Józef przypomniał sobie, że cały czas w dłoni coś trzymał. Było to czarno-białe zdjęcie przedstawiające grupę uśmiechniętych kompanów broni siedzących na trawie na bieszczadzkiem wzgórzu. Każdego z tych młodych żołnierzy Wojsko Ochrony Pogranicza odmieniło.

Na lewo siedział wysoki, przystojny blondyn, który zdawał się być pogrążony w myślach. Był to Władek Szopa z Maciejowic, ten sam, który liczył dni do cywila, by ożenić się ze swoją przepiękną Krysią. Na zdjęciu był jeszcze cały i zdrowy. Nie wiedział, że wkrótce miała go spotkać tragedia. Pewnego razu na strażnicy w Hermanowicach Władek kontrolował wagony. Nagle podeszła do niego grupa żołnierzy ukraińskich i zaczęła go o coś zaczepiać. Za chwilę doszło do szarpaniny i minutę później Władek wylądował na ziemi. Jego ręka nieszczęśliwie znalazła się na torze w momencie, gdy pociąg stojący na nim gwałtownie ruszył.

Józef ostatni raz widział Władka w szpitalu wojskowym w Przemysłu. Młodzieniec stracił rękę i radość życia. Gdy Józef oglądał swojego współtowarzysza służby w cierpieniu, sam nie mógł opanować łez. Obiecał Władkowi, że się spotkają w cywilu, gdy Władek wydobrzeje i wróci do rodzinnych Maciejowic. Jednak zrzędzeniem losu mężczyźni nigdy już się nie spotkali, nie było okazji. Józef po latach dowiedział się, że Władek wrócił z wojska do Maciejowic, został kierownikiem budowy wału nadwiślańskiego, ożenił się też ze swoją ukochaną Krysią i miał z nią dzieci.

Natomiast Józef po parudziesięciu latach spotkał Porowskiego z Sobieni-Jezior. Na zdjęciu chłopiec siedział po turecku z zawadiacką miną. W ręce miał „tetetkę” (pistolet TT) wycelowany prosto w niebo. To on tak chętnie rzucał się do obsługi broni. Po wojsku mężczyzna nadal miał ciągotę do broni, więc kupił sobie strzelbę myśliwską. Polował na dziki, sarny i inną dziczyznę po okolicznych lasach. Zapał do polowań miał taki, że któregoś razu, Porowski został złapany przez milicję na uboju dziczyzny bez pozwolenia. Za karę groziło mu więzienie. Milicjant z komendy rejonowej w Sobieniach, Jan Rendaszek, dostał polecenie dowiezienia Porowskiego radiowozem do aresztu w Siedlcach. Gdy jechali trasą grójecką w kierunku Mińska Mazowieckiego, aresztowany nagle sobie coś przypomniał. Drapiąc się po brodzie wspomniął do milicjanta:

- A wiecie, panie władzo, ja kiedyś służbę wojskową odbywałem z niejakim Józefem Celińskim, zdaję się, że był ze wsi Ponurzyca. Niedaleko stąd jest ta wieś chyba.

Milicjant spojrział na siedzącego z tyłu aresztanta, zmarszczył brew i otworzył szerzej oko upewniając się, czy przez pomyłkę nie wiezie z tyłu kosmity:

- Józef Celiński? Przecie to teść mojego brata! Tak, pochodzi z Ponurzyca, ale teraz mieszka w Regucie, gdzie się ożenił.

Po czym pan władza dodał:

- A zresztą, możemy do niego zajechać. Mieszka rzut beretem stąd, a i tak po drodze do Siedlec.

Wielkie było zdziwienie tego dnia, gdy Józef, obierając przed domem ziemniaki ze swoją żoną, zobaczył przed furtką zatrzymu-

jący się wóz milicyjny. Wyłonił się z niego Jan Rendaszek i ... towarzysz z czasów wojska - Porowski. Jednak tym razem Porowski zamiast broni w rękę, miał kajdanki na nadgarstkach. Dwaj mężczyźni przywitali się radośnie, usiedli, wypili po kieliszku czystej i powspominali z nostalgią lata służby wojskowej. Józef starał się nie widzieć kajdanek na rękach kolegi. Po półgodzinie aresztant z milicjantem wsiedli do radiowozu i odjechali w stronę Siedlec. Józef, z nieukrywanym zdziwieniem, zabrał się z powrotem za obieranie ziemniaków.

Na zdjęciu w samym środku siedział Józef. Miał w rękach harmonię, ale bardziej zabrał ją do ozdoby, bo nie umiał na niej grać. Okazało się, że żaden z chłopaków ze strażnicy 164 nie umiał grać na harmonosce. Polscy wojskowi z lekką zazdrością patrzyli na ukraińskich żołnierzy. Tamci to dopiero umieli pogrywać i śpiewać tęskne słowiańskie melodie. Jednak było coś, czego Józef się nauczył od owych ukraińskich towarzyszy: języka rosyjskiego. Bardzo szybko załapał ten dźwięczny język a po dwuipółrocznej służbie na granicy, całkiem dobrze nim władał.

Józef uśmiechnął się do siebie chowając zdjęcie do kieszeni koszuli. Wielu jego kolegów już wyszło z wojska i zaczęło sobie układać życie cywilne. Teraz przyszła kolej na niego. Choć przez ostatnie lata Józef nosił na głowie żołnierski beret, a na plecach mundur, już wkrótce miał je zamienić z powrotem na chłopskie szaty i kaszkiet. Józef cieszył się na powrót do rodzinnego domu, na macierzystą ziemię. Cieszył się też na ślub ukochanej siostry. Halina nie była już tą małą dziewczynką – teraz stała się urodziwą panną z rumianymi policzkami. Wkrótce stanie się ona mężatką.

A co będzie pisane w kartach dla Józefa? Kiedy Józef pozna dobrą dziewczynę, z którą będzie chciał iść przez życie w trudach dnia codziennego i w radości dnia świątecznego? Tego Józef nie wiedział. Jednak wiedział jedno: że jest już gotowy tego doświadczyć.

Rozdział 9.

JÓZEF SZUKA ŻONY

1 maja 1954

Wiosna rozkwitła na dobre. Po okolicznych łąkach mały się kwiaty dziurawca, kaczeńców i mleczy. Przy płocie Celińskich zakwitły liliowe bzy, które dzieciaki z sąsiedztwa zrywały i wstawiały do wazonika pod przydrożną kapliczką. Las dźwięczał głosami ptaków, a z wysoka, spod pierzastych chmurek rozświetlonych słońcem dobiegało dzwonienie skowronków. Wtedy właśnie Józef postanowił, że nadszedł czas, by znaleźć sobie żonę. Jak zdecydował, tak zrobił. Ponad miesiąc później, Józef był już żonaty. A wszystko zaczęło się w dniu Święta Pracy.

Święto Pracy, 1 Maja było jednym z ważniejszych świąt w PRL. Wielkie miasta, ale też powiatowe i pomniejsze miasteczka, jak i niektóre wsie gminne organizowały z tej okazji uroczyste pochody. Był to dzień, kiedy praca robotnika i chłopa oraz tzw. inteligencji pracującej, była hucznie celebrowana. Był to dzień, kiedy i miasto i wieś mogły zaprezentować postęp technologiczny Polski Ludowej, krzepę chłoporobotników i ciężką pracę członków partii. W końcu to oni swym codziennym wysiłkiem przyczyniali się do realizacji ambitnego planu sześcioletniego (1950-1955). Plan ten miał na celu zwiększenie uprzemysłowienia PRL na wzór radziecki. Nacisk planu był położony na rozwój przemysłu metalowego i ciężkiego, w rolnictwie zaś na rozwój państwowych gospodarstw rolnych i kolektywizację większych gospodarstw indywidualnych.

Tego roku miejscowość gminna Celestynów zorganizowała pochód pierwszomajowy. Celestynów jeszcze dwadzieścia lat wcześniej był małą osadą letniskową na szlaku Kolei Nadwiślańskiej, łączącej Chełm, Lublin, Dęblin, Warszawę i Mławę. W czasie wojny, Celestynów liczył niewielu mieszkańców, lecz sławy przysporzył mu wyczyn partyzantów Armii Krajowej zwany „Akcją pod Celestynowem”⁴⁰.

Po wojnie ta senna osada stała się siedzibą gminy obejmującej okoliczne wsie, między innymi Regut, Lasek, Dąbrówkę, Dyzin i Jatne. Szkoła podstawowa funkcjonowała tam, a we wrześniu 1944 r. utworzono gimnazjum i liceum. Prawie dekadę po zakończeniu wojny, ówczesny przewodniczący Gminnej Rady Narodowej Celestynowa, Stanisław Andrzejczak, chciał pochwalić się osadą i zorganizował w 1954 r. marsz pierwszomajowy,

Józef przyjechał na uroczystość pociągiem z Zabieżek i udał się na główną ulicę Celestynowa, Świerczewskiego (obecnie Św. Kazimierza). Ulicą ciągnęli mieszkańcy gminy niosący sztandary narodowe, czerwone chorągwie i liczne transparenty z hasłami propagandowymi.

Marsz otwierali: przewodniczący, przedstawiciele partii oraz przodownicy pracy z szarfami, na których wypisane mieli procenty, o jakie przekroczyli normy produkcyjne. Za nimi szli przedstawiciele różnych grup zawodowych – nauczyciele, strażacy, milicjanci, robotnicy z gminnych zakładów produkcyjnych, oraz młodzi aktywiści Związku Młodzieży Polskiej, radośnie wymachujący czerwonymi flagami - szturmówkami oraz transparentami.⁴¹ Pochód zamykali reprezentanci rolników z okolicznych Spółdzielni i Kółek Rolniczych, jadący na traktorach firmy Ursus, których jednocylindrowe silniki niemiłosiernie hałasowały, ale były symbolem nowoczesności w rolnictwie, chlubą PGR-ów i SKR-ów⁴².

Gdy pochód zatrzymał się, przedstawiciel Gminnej Rady Narodowej zaczął mówić przez megafon o znaczeniu święta. Przypominał, że robotnicy, chłopci, rzemieślnicy, nauczyciele oraz dzieci i młodzież szkolna świętowali tego dnia na ulicach Celestynowa nie tylko Święto Pracy, ale i święto solidarności narodowej oraz międzynarodowej, łącząc się z reprezentacjami demokracji ludowych na całym świecie. Potem przedstawiciel PZPR, komunistycznej partii nadającej kierunek wszelkim zmianom, zwrócił się do stojących nieopodal szeregów uczniów gminnych szkół, ubranych w biało-czerwone mundurki i życzył im, aby przodowali w nauce, a następnie w pracy. Po czym mała Henia wysunęła się na przód i wręczyła przedstawicielowi partii bukiet kwiatów polnych. Mężczyzna po-

dziękował za uroczą, barwną wiązanekę i wzniósł okrzyk: - *Niech się święci 1 Maja!*, co zebrani nagrodzili rześzystymi brawami. A potem przy wtórze strażackiej orkiestry tłum na cały głos zaśpiewał:

*„Przyśpieszmy kroku, chłopcy i dziewczęta,
i niech piosenka obiega świat.
W pochodzie ptak ją nuci, szumią drzewa
i z nami śpiewa słoneczny wiatr!
Brzmi zgodny śpiew pokoju budowniczych.
Tak wielu, że nas w marszu nie policzysz!
Idziemy, niech pogodę śpiew kołysz,
my towarzysze zwycięskich lat!
I górnicy, i hutnicy,
i murarze, kolejarze,
i rolnicy, ogrodnicy,
krawcy, tkacze, i spawacze,
i cywile, i żołnierze.
Wróg nam pieśni nie odbierze!
Tara bam, tara bam,
wróg nie wydrze pieśni nam!”*

Po oficjalnej części zaczęła się zabawa na deskach przed budynkiem gminy przy akompaniamencie strażackiej orkiestry. Wtedy Józef przypomniał sobie, że ma przecież misję do spełnienia.

Młodzian wspomniał sobie słowa sąsiada, starego Andrzeja Szymczaka, który pewnego dnia przy sianokosach zagadnął Józefa przez miedzę:

- *No dorodne łąki tej wiosny.*

- *Ano tak, dorodne. Tylko ciężko tak samemu to wszystko obrabiać.*

- *Właśnie, mój syn Edek mówił, że chcesz się żenić?*

- *A widzicie, sąsiedzie. Halina dopiro co wydana za mąż, w domu zostanie. Z mężem Józefem ziemi matczynej doglądać będzie. Ja z wojska wróciłem i żenić bym się chciał. Najlepiej z jakąś dziewczyną z gospodarstwem. Nie będę przecież tak siedział w domu.*

- *Słusznie rzeczesz – przytaknął stary sąsiad - W końcu masz już*



**Halina i jej mąż Józef Strzeżysz z synem,
Bogdanem, połowa lat 1950-tych**

odpowiednie lata. A mężczyźni kobita potrzebna jak koniu sieczka.

Po czym Andrzej zamyślił się na chwilę i zaraz dodał:

– A poczekaj, zaraz cię tutaj nastreczę. Chyba jest taka, co mogłaby ci odpowiadać. Z Reguta. Żołądkówna, z Cyganów. Są dwie takie biedne siostry. Nie tyle biedne klepią, bo ziemię jakaś tam mają. Ale one, bidulki, są sierotami. Rodziców straciły w czasie wojny. Brat ich matki, Stasiiek Cygan i jego żona tak ich doglądają. Ta starsza ma chyba na imię Genia i już do zamążpójcia gotowa. Opiekuje się młodszą siostrą, bo tamta jeszcze do szkoły chodzi.

- Ooo, a gdzie uni mieszkają? To sie wywiem co i jak – oczy Józefa zaiskrzyły na moment na te dobre wieści.

- Ano, nie wim dokładnie, ale zapytoj się kogoś tam w Regucie, o tego co ma jałówkę do sprzedania - zażartował sobie Andrzej.

- A dobrze, tak się zapytom! Dzięki sąsiedzie!

To wizyta w Regucie była głównym celem Józefa tego dnia. Młodzian nie zważając już na grajków, muzykę i tłumy, udał się piaszczystą drogą w stronę Reguta.

Kawaler obejrzał się po sobie. Miał lepszą koszulinę w kratkę, a na nogach granatowe porcięta, które w miarę dobrze na nim leżały. Na głowie miał kaszkiet. Na czoło Józefa opadały kosmyki ciemnych blond włosów, które zdążyły odrosnąć od czasów wojska i pociemnieć od czasów dzieciństwa. W wojsku Józef wydorósł i zmężniał, nabrał trochę wagi, a jego mięśnie stwardniały. Twarz, choć szczupła i z pozoru surowa, rozświetlona była żywym spojrzeniem błękitnych oczu. Zadowolony z oględzin, Józef maszerował żwawym, choć nieco nerwowym krokiem.

W myślach zastanawiał jak zrobić wrażenie na rodzinie Gieni. Młodzieniec trochę pożałował, że nie miał dziś ze sobą roweru, który kazał matce sprzedać, gdy był w wojsku. Matka pytała w liście czy był potrzebny ten rower, bo można było go spieniężyć na przygotowania do wesela Halinki. Józef odpisał, że niepotrzebny, to i go sprzedali. Pomyślał sobie Józef, że teraz dobrze byłoby takim rowerem zajechać pod izbę. Ale cóż, są chęci i dobre intencje. A co dalej będzie, Bóg pokaże.

Wkrótce Józef dotarł do Reguta, jednej z najstarszych wsi w okolicy. Założony w XVI wieku, Regut był wsią królewską. Sama nazwa siola pochodziła od łacińskiego *regalis* i oznaczała dobra królewskie. Domy w Regucie były drewniane, skromne, chociaż niegdyś była to jedna z zamożniejszych miejscowości w okolicy. Piaszczysta droga z Celestynowa zawiodła Józefa na sam ryneček, gdzie spotykały się cztery uliczki. Na środku ryneczku stał drewniany budynek - remiza Ochotniczej Straży Pożarnej.

Na placu Józef dostrzegł jakiegoś chłopca, więc wedle instrukcji zapytał o niejakiego Cygana, co to ma jałóweczkę do sprzedania. Twarz tubylca rozjaśniła się uśmiechem:

- Ooo, jest taki jeden! Pójdziecie młodzieńcze tutaj w prawo za remizą strażacką i tak jeszcze dalej z kilkaset metrów. Zobaczycie mały, czarny, drewniany domek z trzema topolami na podwórzu. To tam. Pytajcie o Stanisława Cygana.

- A dziękuję. Szczęść Boże!

Młodzian żwawym krokiem skierował się w wyznaczonym kierunku. Znalazł ten drewniany domek z topolami na podwórku. Przy okiennicach domu rosły krzewy fioletowego bzu, których zapach Józef poczuł już z dala od domu. Opodal chaty stały obórka i stodoła. Obie były bardzo stare, kryte grubymi słomianymi strzechami, szerniały sosnowe deski ścian świadczyły, że służą już paru pokoleniom.

Józef zapukał do drzwi chatki. Po chwili otworzyła mu całkiem młoda kobieta z dzieckiem na ręku. To była Maria, żona Stanisława Cygana. Przy stole siedziała dziewczynka w wieku ośmiu lat. Po drugiej stronie stołu siedział Piotr Cygan, leciwy ojciec Stanisława.

Po krótkich powitaniach i uprzejmościach Piotr zapytał młodzieńca, co sprowadza go w skromne progi jego domostwa. Józef przeszedł do rzeczy:

- Wiecie panie, ja słyszałem, że macie dwie jałówki i jedną możecie odsprzedać.

Cyganowa i teść spojrzeli po sobie, po czym kobieta mrugnęła na dziewczynkę.

- *Choć no tu Ania, panowie będą sobie rozmawiać. Idźże, zawołaj po Genię. Chyba siedzi u Staśki.*

Maria skierowała się do sąsiedniej izby, podczas gdy dziewczynka jak torpeda wybiegła z domu i zniknęła za furtką. Wiedziała, co to za interesy mają być ubijane. W końcu to nie była żadna tajemnica, że jej siostra do zamążpójścia była gotowa. Nawet ostatnio paru interesantów przychodziło pytać o Genię. Ania zadyszana dobiegła do domu Staśki, koleżanki Geni. Już u progu izby skonstataowała tryumfalnie:

- *Genia, chodź no do domu. Kolejny kawaler przyszedł się o ciebie pytać! A jaki urodziwy i wysoki!*

Geni aż serce mocniej zabiło z niepokoju i z nadziei. Poprawiła sobie warkoczyk spleciony z cienkich, popielatych włosów, wygładziła sukienkę w wielkie kwiaty. Wstała spokojnie z krzesła i nieco szybszym niż zawsze krokiem wyszła z izby. Za nią sznureczkiem podążyły Ania i Staśka. Rzecz jasna, koleżanka też była ciekawa co to za młodzian przyszedł do Geni w konkury.

Genia przeczuwała, że czas jej panieństwa dobiega końca. Wujek, Stasiek Cygan już od jakiegoś czasu chciał ją wydać za mąż. Miał już ze swoją żoną Marią trójkę dzieci i dużo roboty na roli. Było to za dużo na jednego mężczyznę w sile wieku, bo jego ojciec, Piotr, już ledwo chodził. Na mus trzeba więc było znaleźć kawalera dla Geni.

Przychodzili tu niejedni konkurenci, ale za każdym razem coś nie odpowiadało. Raz przyszedł do Staśka Cygana taki jeden z Ponurzyca. Nie był on zbyt szpetny, ale zaledwie usiadł, a już zaczął się wymądrzać. A to, że dużo ziemi ma, a to, że on bardzo poważany we wsi jest. Geni bardzo się ten mądrała nie spodobał. Dziewczyna z natury była powściągliwa, więc nie miała odwagi, by wyrazić dezaprobatę. A ten kawaler trajkotał i trajkotał o swoich krowach, ziemi i poważaniu. W końcu Genia cichutko wstała, ukloniła się i wybąkała, że musi masło zanieść sąsiadom bo na bazarek będą jechać, po czym znikła za drzwiami. Fatygant trochę się speszył, rozmowa ze Stanisławem już się tak nie kleiła. Po dziesięciu minutach, gdy Genia nie wracała, rozczarowany kawaler stwierdził:

- *No widzę, że nic z tego nie będzie.*

- *Ano, chyba i nic z tego nie będzie* – przytaknął Stasiek.

Innym razem przyszedł taki jeden z Taboru. Ale on pijaczyna był i nikomu nie było na rękę w rodzinę go wprowadzać. Przyszedł jeszcze taki jeden z Celestynowa, porządny człowiek. Jednak do roli się nie garnął, bo jakąś tam pracę miał w Otwocku, więc Cyganowi nie odpowiadał. Genia wiedziała, że czas nie jest po jej stronie i coraz ciężiej będzie jej odmówić i sprzeciwić się wujkowi. A Stasiek chciał rychło z kimś podzielić ciężar pracy na ziemi i odpowiedzialność za dwie sieroty po jego zmarłej siostrze, Broni. Wizyta tego konkurenta mogła być ostatnią.

Dziewczęta doszły zwawym krokiem pod izbę, i nie ukrywając ciekawości, zajrzały dyskretnie przez okno do środka. W izbie siedział Piotr i Józef. Gość żywo rozmawiał o czymś z dziadkiem Geni. Był do tego całkiem przystojny. Staśka pokiwała głową z aprobatą, zerkając na zdenerwowaną Genię:

- *Łojoj, chyba przed tym to już nie bedziesz ucikać!*

Genia uśmiechnęła się niepewnie. Gdy naciskała klamkę drzwi, czuła, jak serce zaczyna jej łomotać. Po chwili znikła za drzwiami izby. W środku dwaj mężczyźni rozmawiali po rosyjsku. Piotr, widząc Genię, przywołał ją bliżej.

- *Geniu powitaj tu kawalera, Józef Celiński z Ponurzyicy. Popatrz, Józef po rosyjsku biegle mówi, bo na granicy wschodniej dopiero co wojsko odszłużył.*

Widać było, że młodzian już przypadł do gustu Piotrowi Cyganowi. Spędził on bowiem siedem lat w wojsku carskim, jeszcze przed 1917 rokiem, kiedy to rewolucja cara zdetronizowała. Piotr chętnie rozmawiał w tym języku, choć nie za wielu w tych okolicach mogło mu dotrzymać towarzystwa w tej przyjemności.

Ale nie to zrobiło na Geni wrażenie, a raczej skromność kawalera i dobre maniere. Młodzieniec, uklonił się ładnie panience. Był miły i rozmowny. Młodzi rozmawiali chwilę o wojsku, o ślubie Haliny. Józef pytał też o Anię, o szkołę, do której klasy chodzi.

Widać było, że się młodzi mają ku sobie, więc po krótkiej wymianie zdań między nimi, Piotr wrócił do konkretów:

- *Więc Józefie widzę, że dobijemy tutaj jakiegoś targu, ale dzisiaj nie ma syna, Staśka. Trzeba żebyś z nim szczegóły dogadywał. Przyjedź za tydzień w niedzielę i z nim pogadaj. Bo Stasiak chce, żeby ślub był jak najszybciej.*

Tydzień później, Józef przyjechał jeszcze raz. Stasiak mówił konkretnie i zdecydowanie:

- *Słuchajta Józefie. Sprawa jest taka: jeśli jesteście zdecydowani, to ślub się musi odbyć natychmiast. Najlepiej jesce przede żniwy, wczesnym latem. Roboty jest dużo i wtedy można by było podzielić ziemię, tak, żeby każda rodzina zajęła się swoim.*

Józef aż tak nagłego rozwoju sprawy się nie spodziewał:

- *Wiecie Stanisławie, nie za bardzo mi taka rychłość odpowiada. Niedawno wydałem siostrę za mąż. Marnie tyraz z piniędzmi, cuś chciałbym odłożyć na wesele bez ten czas.*

- *U nas tyż skąpo, zapewnił Cygan – ale, jak mówie, chcemy jak najszybciej. Wesele się zrobi takie, na jakie nas będzie stać. W tej izbie wesele możem zrobić. U sąsiadów jadło się będzie gotować. Wiesz Józefie, ja tu po drugiej stronie ulicy postawiłem dom dla swojej rodziny i chcę się rychło przeprowadzić. W tej chałupie pozostaną tylko Genia, Ania i tatuś. Bedziesz się mógł wprowadzić zaraz po ślubie. A w posagu dla Geni dam krowę.*

- *No to jak tak rzeczesz, Stanisławie, to tak trzeba zrobić. Weźmiem ślub jak najrychlej.*

Za tydzień w niedzielę Józef przywiózł matkę do Reguta i zaaranżowano oficjalne zrękowiny. Anna, chociaż szybkością ślubu też była zaskoczona, to polubiła tę skromną, pracowitą dziewczynę, która krzątała się wokół gości. Podała smaczne strawy i widać było, że cieszy się na ślub. Umówili się, że matka Józefa da młodym konia, żeby Józef chociaż żniwa miał jak obrobić. Zmówili się też w sprawie roli i Cygan podzielił pola, lasy i łąki jakie miał pod swoją pieczę między dwie rodziny. Ślub ustalili na 6 czerwca, za trzy tygodnie.

Od tej pory Józef miał pełne ręce roboty. Jeszcze przez jakiś czas jeździł do pracy na Sadybie w Warszawie, gdzie pracował jako smolarz drewnianych bali przy budowie domów. Na robocie się znał i dobrze mu za to płacili. Ale zaraz przed ślubem musiał zrezygnować z pracy bo trzeba było wesele przygotować, a zaraz potem

wziąć się za żniwa w nowym gospodarstwie. Niemniej jednak dobrze zarobił przez ten czas w Warszawie.

A pieniędzy trzeba było. Zaraz po zrękowinach, Józef poszedł do proboszcza w Osiecku, żeby na zapowiedzi dać, 'do pacierza'. Proboszcz zaśpiewał mu 150 złotych! Józef przełknął ślinę wręczając banknoty i zaczął się zastanawiać, ile go będzie opłata za zapowiedzi kosztować w parafii Celestynów, gdzie miał się odbyć ślub.

Na szczęście, proboszcz w Celestynowie okazał się mieć bardziej elastyczne podejście do opłat kościelnych. Powiedział 'co łaska', więc Józef wyciągnął 100 złotych. Proboszcz widząc banknoty, zdecydowanym gestem ręki zareagował:

- Nie, to za dużo, ja znam rodzinę Cyganów i siostry Żołądkówny. To ubodzy, a poczciwi ludzie. Dajcie 50 złotych i będzie dobrze.

Przygotowania szły też pełną parą w gospodarstwie Cyganów. Za niedługo, spod ich obory słyhać było pisk i kwiczenie wieprzka. Następnie spod stodoły zaczął się unosić dym jałowcowy. Przy wędzarni zrobionej z metalowej beczki Stach i Piotr Cyganowie oraz rzeźnik wędzili wędliny własnego wyrobu. Genia i wujenka Maria w domu czyściły jelita na kaszankę, smażyły wątróbkę i topiły smalec z cebulką i ziarnami jałowca. Wszyscy jak mrówki uwijali się przy przygotowaniach do wesela.

W powietrzu wyczuwało się atmosferę niecierpliwego oczekiwania, choć było pewnym, że każdy członek rodziny wyczekiwał czegoś innego. Na przykład Maria uwijała się przenosząc swoje rzeczy, garnki i graty do nowego domu. Myślała, którą narzutą przykryje łóżka, jak kuchnię oporządzi, jak komódki w pokojach ustawi.

Stasiek też się niecierpliwił. Rad był, że rola została podzielona, i że od teraz doglądać będzie tylko swojego gospodarstwa i swojej rodziny. Że już odpowiedzialność za córki siostry nieboszczki i opieka nad ojcem przejdzie na kogoś innego.

Ania też się cieszyła, bo ciasno było w domu z dziadkiem Piotrem, Genią, wyjem Staśkiem, wujenką Marią i ich trzema brzdącami, Jankiem, Felkiem i Alką. Rodzina Cyganów zajmowała izbę z kuchnią i pokój po prawej stronie sieni. Genia z Anią i dziadkiem Piotrem urzędowali po lewej stronie w kuchni i pokoju. Teraz Ania miała się

przenieść z dziadkiem do izb wujków, a Genia z mężem mieli pozostać po lewej stronie. Poza tym, Ania życzliwie patrzyła na narzeczonego Geni. Wydawał się miły i nawet czasem przywiózł jej cukierki, którego kupił w cukierni w Warszawie.

Ale to Geni wyczekiwanie i obawy były najbardziej intensywne. Genia wkrótce zostanie mężatką, ze wszystkimi radościami i smutkami, z całą odpowiedzialnością i trudem, jakie małżeństwo ze sobą niesie. Czy ten miły i skromny młodzian też taki będzie po ślubie? Czy będzie ją szanował i dobrze traktował? Czy ze wszystkim podołają? Jak o tym myślała to nieśmiały uśmiech pojawiał się na jej twarzy. Tak, podołają. Widać, że Józef jest gospodarny i pracy się nie boi. Pracuje w Warszawie, ale obrabia też rolę matki. Tak, pomyślała sobie Genia, dadzą radę. Będzie już tylko lepiej.

W końcu, lata dziewczęce Geni wcale nie należały do beztrudnych. Jej ojciec, Staszek Żołądek, zmarł w 1942 roku na jakąś chorobę. Ciężko było po śmierci ojca, ale dawali radę, bo wujek Stanisław był już młodym mężczyzną, a babcia Katarzyna i mama Bronia świetnie gospodarstwo prowadziły. Ale potem wszystko się zmieniło. Rok później matka i babka zostały zastrzelone w tragicznych okolicznościach. Do dnia dzisiejszego Genia nie mogła z pamięci wytrzeć wspomnienia tej tragicznej nocy. Po śmierci mamy i babci już nic nie było takie samo...

Piotr Cygan, choć w wojsku carskim spędził wiele lat, nigdy się nie pozbierał po śmierci żony Katarzyny i podupadł na zdrowiu. To Katarzyna, bowiem, zarządzała wiele lat gospodarstwem, kiedy on służył w Rosji. Córka Bronia była od dzieciństwa wsparciem i podporą matki. Jej brat, Staszek, przyszedł na świat 15 lat później, gdy Piotr wrócił z wojska. Bronia przez ten czas wyrosła na silną i pracowitą dziewczynę. Wyszła za mąż za Staszka Żołądka. Wkrótce na świat przyszła Genia a parę lat później Ania.

Na rok po śmierci Katarzyny i Broni, Stasiak Cygan wziął sobie za żonę Marię Broniszównę. Nowożeńcy mieszkali cały czas w jednej izbie domu Piotra Cygana. W międzyczasie, rodzina Cyganów się powiększała. Najpierw urodził się Felek, a później Janek i Alka. Genia była już wtedy dojrzewającą dziewczyną, a w domu roboty miała w bród. Nikt

za bardzo nie przejmował się jej edukacją. Skończyła tylko parę klas szkoły podstawowej. To wystarczyło, bo w domu pracy miała aż nadmiar. Musiała przecież pracować brudne pieluchy berbeci wujostwa na starzej, miedzianej tarze nad pobliskim strumykiem, szorować podłogi, gotować. Do tego, oczywiście, była praca na roli, dogłądanie krów, prosiaków i kur. A ponadto opieka nad małą Anią. Dzięki Bogu, przynajmniej mała nie pamiętała tego strasznego wydarzenia.

Genia była sierotą od dziewiątego roku życia. I chociaż ludzie czasami nad tym biadolili, na co dzień nikt się za bardzo losem sieroty nie przejmował. Nikt nie pytał o jej marzenia, pragnienia czy lęki. Genia spjrzała na swoje szczupłe, nieco zniszczone ciężką pracą dłonie i pomyślała: ale teraz, może się to zmieni. Pojawił się ten młodzian, który pytał właśnie o nią, który jej losem i losem jej siostry się rozczulił. On teraz jest gotowy wkroczyć w jej życie i jak oziminę na przednówku, zasiać w jej sercu nadzieję na lepsze jutro.

Z zamyślenia rozbudziła ją Ania. Dziewczynka już od kilku minut stała obok i wpatrywała się z ciekawością w swoją zadumaną siostrę. Mała podbiegła bliżej do Geni, uśmiechnęła się z lekka i bardzo mocno objęła starszą siostrę w pasie.

- *Geniu, a myślisz, że Józek jest trochę podobny do taty?*

- *Z zachowania trochę tak. Pracowity jest. I ma trochę jaśniejsze włosy*

- *Dziewczyzna pogładziła swą ukochaną siostrzyczkę po głowie i poprawiła kołnierzyk przy jej starej, poszarzałej sukieneczce.*

- *Genia, a pamiętasz tę piosenkę o sośnie?*- zapytała Ania. - *Nie? Nie? Nie? To zaśpiewam ci!*

Niewinny, tęskny głosik Ani zaczął wnet wyśpiewywać starą, ludową dumkę:

*„Tam na boru sosna, Tak bujnie wyrosła
Wydała mnie moja mama, jescem nie urosła*

*Jescem nie urosła, W domu nie nabyła
Wydała mnie w łobce struny, zrzekła się rodzina*

*Bo ta łobca struna, wiatrem łobmieciuna
Męza matki to sumsiadki, nie to co rodzina...”⁴³*

Rozdział 10.

JAK WESELE, TO WESELE!*6 czerwca 1954 rok*

Zanim się Józef i Genia obejrzeni, trzy niedziele minęły. Proboszczowie w każdej parafii ogłosili trzy zapowiedzi z ambony, a wieprzek został przerobiony na mięsa i wędliny. Nadeszła niedziela, dzień ślubu. Od rana w domu Cyganów słychać było brzęk sztućców, krzątanie się domowników i głośne dokazywanie kucharek-gospodyń. Kucharki u sąsiadów przygotowywały posiłki, które później miały być przeniesione do Cyganowej izby służącej za salę weselną.

Przed bramą podwórka zrobił się ruch. Kilku młodzików z sąsiedztwa stanęło we wjeździe trzymając w rękach olbrzymią słomianą chochoł-babę. Chocholica miała pasiasty fartuch, starą koszulinę i obfity biust. Nie stała tam od parady – razem z młodzikami nasłuchiwała stukotu końskich kopyt. Wkrótce strażnicy bramy usłyszeli rzenie konia, po czym ich oczom ukazała się pięknie przystrojona furmanka. Jechali na niej nie kto inny a sam pan młody i jego świadek Bolek Skolmowski z Ponurzyca. Na tylnej ławce wozu siedzieli trzej muzykanci przygrywający na harmonii, skrzypcach i bębenku. Za nimi jechały dwa wozy z gośćmi pana młodego: jego matka, siostra z mężem, brat z żoną i dziećmi, dalsza rodzina oraz sąsiedzi.

Pan młody, Józef, był nadzwyczaj wygalantowany. Miał na sobie najlepszy granatowy garnitur, najbielszą, wykrochmaloną koszulę i równie białą muszkę. Grajkowie przygrywali ślubne śpiewki, gdy furmanka zatrzymała się przed bramą podwórka panny młodej. Chocholica tarasowała wjazd na posesję.

- *Witaj panie młody. A po cóż to w te skromne progi przyjeżdżacie?*
- *spytał najwyższy ze stojących na straży młodzików.*
- *Witajcie, po pannę młodą przyjechałem, wpuście mnie.*
- *Nie wpuszczę cię dopóki nie dostaniem dwóch butelek wódki!*
- *Mamy tylko jedną butelkę – zawołał świadek Bolek rozkładając ręce*
- *wpuście nas!*

- *Za jedną wódkę to damy wam tylko tę słomianą babę!* – odskrzyknął wysoki - *dawajcie dwie za pannę młodą. Bo przecie pinkna jest jako kwiat jaśminu!*

Po kilku minutach targów, młodzieńcom przy bramce ukazały się przed oczami dwie butelki wódki. Zadowoleni wartownicy przyjęli ten podatek, babę-chochoła usunęli i brama została szeroko otwarta. Pan młody i jego orszak wjechali na podwórko.

Józef, trochę zdenerwowany, zeskoczył z wozu, poprawił sobie białą muszkę przy kołnierzu i strzepnął kurz z marynarki, co osiadł na ramionach po przeprawie przez piaszczysty dukt w Ponurzyca. Skierował się do tego samego domku z drewnianymi okiennicami, którego progi po raz pierwszy przekroczył kilka tygodni temu.

Gdy otworzył drzwi do izby, jego oczom ukazała się siedząca na stołku Genia. Na jej głowie kwiecił się biały wianek, do którego przy-mocowany był długi, tiulowy welon. Delikatne włosy panny młodej spięte były misternie w koczek, podkreślając jej gładką twarz, szare oczy i nieśmiały uśmiech. Suknia Geni była skromna, ale szykowna, w eleganckim kolorze przykurzonej bieli. Miała długie, bufiaste rękawy z wąskim mankietikiem oraz wysoko postawiony kołnierz. Przez prawe ramię spływała szarfa ze źdźbeł pszenicy symbolizujących dobrobyt.

Józef wpatrzył się tak w swoją przyszłą żonę, jak w święty obraz i po raz pierwszy nie wiedział co powiedzieć. Poczul pot na dłoniach i łomot serca w klatce piersiowej. Na szczęście jego świadek wyratował go z opresji i przywitał się ze wszystkimi, rzucając żartami na prawo i lewo. Świadkowa Lodzia jeszcze dopinała ostatnie źdźbła pszenicy do dolnej części sukni ślubnej, a Ania wygładzała welon, bacząc co rusz by się nie pobrudził albo o coś nie zaczął.

Gdy panna młoda już była gotowa, nastąpiło błogosławieństwo rodziców. Od wieków był to bardzo ważny element ślubu. Rodzice córki, często oddając ją pod opiekę męża i jego rodziny, błogosławili i żegnali się z nią, podczas gdy rodzice pana młodego witali przyszłą małżonkę ich syna. Osieroconej Geni błogosławił na nową drogę dziadek Piotr. Choć w wojsku walczył przez wiele lat, nie mógł ze wzruszenia powstrzymać łez. Po stracie swojej żony i córki, Genia była jego największą radością i podporą. Tak bardzo pragnął jej



Józef i Genowefa – portret ślubny, 1954 r.

szczęścia, że aż się zaczął jąkać. Od strony Józefa państwu młodemu błogosławiła jego matka. Anna głowę miała obwiązaną w odświętną chustkę, a jej wąskie usta wymawiały słowa życzliwości, jej dłonie naznaczały znak krzyża na czole syna i jego wybranki. Najbliżsi i młodzi zaczęli ukradkiem ocierać oczy komentując, że ta topola bardzo pyli. Wnet Maria Cyganowa zakrzyknęła: - *Ale co my tu tak będziemy stać. Zapraszamy do środka na lekką przegryzkę!* Wszyscy wyraźnie się pobudzili na ten pomysł i udali do domu by zakąsić nieco chleba i kiełbasy przed wyjazdem na mszę ślubną do kościoła w Celestynowie. Jak tradycja każe, państwo młodzi do ślubu jechali w oddzielnych wozach. Dopiero po ślubie mieli wracać razem, już jako małżeństwo.



Zdjęcie ślubne Geni i Józefa z gośćmi przed kościołem parafialnym p.w. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Celestynowie, 1954 r.

Ślub był piękny, a młodzi małżonkowie już zdążyli się nieco przyzwyczać do swojej obecności, ramię przy ramieniu. Najpierw ksiądz pobłogosławił nowożeńcom w ich rodzimym języku, po czym odwrócił się twarzą do ołtarza i rozpoczął mszę po łacinie. Wierni, tak jak od wieków mieli w zwyczaju, tylko przesuwali palcami po różańcu, każdy modląc się po swojemu i zastanawiając się, co tam ksiądz mówi w tym dostojnym, acz obcym języku.⁴⁴ Po mszy było jeszcze pamiątkowe zdjęcie zrobione przed wrotami ceglanego kościółka. Chwilę potem wozy konne wraz z gośćmi udały się w rytmie przygrywek muzykantów w stronę domu młodej.

U progu izby stała starościna wesela z okrągłym chlebem w dłoniach. Widząc zbliżającą się parę młodą, starościna zapytała: - Panno młoda. Co wybierasz: ten chleb, sól czy pana młodego? Na to Genia odpowiedziała: - Biorę chleb, sól i pana

młodego, żeby pracował na niego. Po chwili Józef przeniósł przez próg izby swą żonę, a w jej dłoniach spoczywały chleb i sól – symbole dobrobytu.

W kuchni i pokoju porozstawiane były stoły i ławki pożyczone od sąsiadów. Na stołach przykrytych białymi obrusami, stały misy i wazy z parującymi strawami: rosołem, ziemniakami i kaszanką. Obok stały półmiski z krojonymi wędlinami, pętami kiełbas i ogórkami kwaszonymi. Goście zaczęli się rozsiadać na ławkach przykrytych kolorowymi kilimami. Dzielili się chlebem weselnym, co rusz spoglądając na urodziwą parę młodą. Na ścianie, za państwem młodym, wisiał zdobiony wstążkami kolorowy kobierzec z owczej wełny oraz obraz Matki Boskiej Karmiącej.

Wokoło stołów krzątały się sąsiadki-kucharki, starościna i Maria Cygan, donosząc kolejne miski stawy od sąsiadów. Stasiak Cygan z kolei stawiał na stołach butelki wódki i domowego bimberku. Izba Cyganów szybko zapełniała się kolejnymi gośćmi, a było ich około pięćdziesięciu.

Przy jednym ze stołów rozsiadły się jeszcze niezamężne koleżanki i sąsiadki Józefa. Co i rusz zerkwały na młodzieńców od strony panny młodej, którzy przysiedli się przy stole nieopodal.

- *Oj, jaka piękna para z tego Józka i Geni!* – zachwycała się taka jedna Maryśka⁴⁵, nalewając sobie rosołu do porcelanowego talerzyka

- *Oj będzie wesele radosne!*

- *O tak* - przytaknęła Janka Skolmowska, siostra drużby Bolka. – *A ilu młodzieńców z Reguta i Podbieli się zeszło!*

Po czym ściszyła nieco głos, jakby chciała jakąś tajemnicę zdradzić: - *A widzieliście jaki sumsiad Geni galanty?*

- *Ej dziewuchy, cicho, świadkowa będzie przemowę głosić* – szturchnęła je siedząca nieopodal ciotka.

Wnet wszyscy ucichli, a na środek izby wyszła świadkowa Lodzia, wygłaszając swym dźwięcznym głosem tradycyjną przemowę⁴⁶:

- *Prose o cise, panowie i panie,
Bo tu nad wjunkiem bedzie psemawianie.
Zbliza sie chwila smutna i wesola,*

Kto zechce posłuchać, niech przyjdzie do stoła.
 Słysałaś, panno młoda, jak łorgany grały,
 A tobie łyż z oców jak perły leciały,
 I oby był ci świat wspanialsy, weselsy,
 Łoddaj ten wjunek, panno młoda, prose cie po raz pierwszy.
 Czy łoddajes, panno młoda, ten wjunek ruciany,
 Cały srebrem łobsypany?
 - Nie łoddaje!

- Łoj siasta, siasta, dziewczyna z miasta,
 Daj się namówić, bedzies niewiasta.
 Zwracom się do ciebie po roz drugi, panno młoda,
 Juz nie bańdzies nosiła wjunecka na głowie
 Będą cię łomijać kawalerowie.

I ty, panie młody, jak ksienzyc na niebie,
 Już zadno panienka nie spojzy na ciebie,
 Ze jesteś zonaty, wiedzu ło tym wsendzie,
 Teraz ona za zone twojom bendzie.
 Cy łoddajes, panno młoda, ten wjunek ruciany
 cały złotem łobsypany?
 - Nie łoddaje!

- Łoj co ji, co ji, dziewczynie moji,
 Zgubiła wjunek, chodzi po roli,
 Jeden zgubiła, drugi uwiła,
 Jesce we wjunku bandzie chodziła.
 Łoddaj ten wjunek, panno młoda,
 Serdecnie cie prosię,
 Niechaj tego zalu dłuzyj juz nie znose,
 Bo jeśli nie łoddos, bardzo sie zasmuce,
 Wyjade nad morze, i wjencyj nie wróce.
 Zycę wom, państwo młodzi,
 zdrowia, scynścia, powodzenia,
 Nich wom słońko jasno świeci.

*A ty łoddaj wjunek, panno młoda,
Proszę cie już po raz tseci.
Cy łoddajes, panno młoda, ten wjunek ruciany?
- Łoddaje!*

*- Łoj w sieni, w sieni, między beckami,
Stoji łózecko z poduseckami,
Na tym łózecku bjołe nakrycie,
Juz się skuńcyło panieńskie zycie.
A teraz łod najmłodsego do najstarsego
Zycmy im wsystkiego najlepego!*

Po przemowie nastąpiło wręczanie prezentów i pieniędzy parze młodej oraz poczęstunek. Muzykanci wnet zaczęli przygotowywać swoje instrumenty w pokoju po drugiej stronie sieni. Tam właśnie miały się odbywać tańce. Młodzi i starsi zaczęli rychło ruszać w tany. Panienki przy stole jeszcze delektowały się świeżutkimi pasztetami, salcesonem i kiełbaską.

- *Ale trzeba powiedzieć* – Maryśka uśmiechnęła się do koleżanek z iszirką w oku – *że Józek szybko się uwinął z tym ślubem. Słyszaliście o Elce⁴⁷ z Podbieli? Ten jej kawaler do niej przychodził i przychodził. A ich łojce nie mogli się zgadać ile ziemi młodzi mają dostać.*

- *Tak było!* – dodała Janka, kątem oka spoglądając na sąsiada Geni, Janka Piętkę - *ojciec Elki chciał dać tylko jedną morgę, bo wołał reszta zostawić na pozostałe czworo dzieci. A ojciec młodego się upierał, że nie, że muszą dostać w posagu najmniej półtorej morgi! Ło!*

- *Oj długo tak chodzili te ojce i negocjowali* – westchnęła jeszcze inna Heńka⁴⁸ - *a bidne młode do żeniaczki już chciały iść. I tak młodzi chyba z rok czekali na ślub, nie?*

- *Oj tak! A ile razy młody chodził z zapowiedziami do księdza?!* – dodała Janka przegryzając kiełbasę - *Zapowiedzi ważne były 2-3 miesiunce a ślubu ani widu ani słychu. Proboszczowi to na początku pasowało. Ale chyba po piuntej zapowiedzi huknął ojcu młodego, że takie odkładanie to nie po bożemu. Taki ambaras!*

- *Dobrze, że się nie rozmyślili* – zaśmiała się Heńka – *Ale młody był*

całkiem ładny, więc i młodej warto było czekać. W końcu łojcu młodego przemówili do rozsundku i przystał na jedną morgę.

- *Ech, ciekawe ile my jeszcze będziemy czekać na pinknych młudzieńców* – westchnęła do siebie Janka, zagryzając ze smakiem kiełbasę i kwaszonego ogórka.

Ledwo to powiedziała, gdy przed oczami Janki ukazał się nie kto inny, a sam Janek Piętka z pytaniem: - *Czy mogę panienkę poprosić do tańca?*

Dziewczyna zarumieniła się. Resztką ogórka, którego właśnie kierowała do ust, bezwiednie wylądowała na talerzyku. Jej usta chciały coś powiedzieć, ale nie mogły, bo właśnie gryzła i przełykała ostatni kęs kiełbasy. Janka tylko skinęła głową, otarła dłonie o lnianą serwetkę i z drżącym sercem podążyła za Janem do izby tańców. Muzykanci właśnie przygrywali radosnego obereczka. Chwilę później Janka i Janek wirowali już na deskach izby z takim zapałem, że cały ten świat wokół przestał dla nich istnieć.

Kilka miesięcy później ksiądz w kościele ogłosił zapowiedź ślubu Janki Skolmowskiej i Janka Piętki.

Tymczasem młodzi i starzy, rodzina i przyjaciele popijali za zdrowie pary młodej, podjadali co na stole stało, tańcowali i śpiewali w rytm przygrywek kapeli. Jednak około północy goście zaczęli się powoli zbierać do domów. Następnego dnia rano weselnicy zeszli się ponownie. Tym razem przyszli na oczepiny, czyli nałożenie na głowę panny młodej czepka - symbolu zamążpójścia kobiety. Nie obyło się też bez zwyczaju zbierania pieniędzy na kucharki. Nagle przy stołach pojawiły się dwie sąsiadki-kucharki. Jedna kucharka dzierżyła w ręku durszlak, który podstawiła gościom pod oczy. Po chwili w durszłaku lądowały różne banknoty, rzadziej monety. Druga kucharka trzymała drewnianą łychę, którą uderzała po głowach gości mniej skorych do płacenia. Ponieważ kucharki spisały się wyśmienicie, goście chętnie sięgali do swoich skromnych portfelików. Śpiewy i zabawy trwały do wieczora, z nadejściem szarówki goście jeden po drugim zaczęli powoli znikać. Wkrótce w domu pozostali tylko państwo młodzi: Genia i Józef. I tak mieli trwać razem u swojego boku, w doli i w niedoli, przez kolejne pięćdziesiąt osiem lat.



Zwyczaj zbierania pieniędzy dla kucharek. Tym razem to Józef zbiera pieniądze w durszlak. Poniżej Genowefa Celińska, lata 70-te lub 80-te XX w.

Wesele minęło a zanim się kto obejżał, nastał czwartek. Był powszechnie znany jako „dzień dyszla”, czyli dzień targowy w Kołbieli, miasteczku oddalonym od Reguta o 7 km i położonym⁴⁹ na skrzyżowaniu dwóch ważnych szlaków handlowych: ciągnącego się z południa na północ traktu Lublin - Warszawa i biegnącego ze wschodu na zachód traktu Mińsk Mazowiecki - Góra Kalwaria. Ponad 400 lat temu Zygmunt I Stary nadał wsi Kołbieli status miasta i przywilej organizowania jarmarków. Od tamtej pory do dnia dzisiejszego co czwartek ściągają do Kołbieli rzesze sprzedawców i kupców chcących nabyć to, co ziemia kołbielska splotdziła i co chłopskie ręce wyhodowały i wykonały.

O czwartkowym świcie, piaszczysto-gliniany plac targu kołbielskiego wypełniał się szybko kupcami i sprzedawcami. Wokoło gwaro było od pozdrowień, wymiany nowinek z pobliskich i dalszych wsi, komentarzy na temat cen żywca i płodów ziemi. Wszędzie słyhać było zamaszczyste głosy targujących się sprzedawców i kupców. I jedni, i drudzy przyjechali tu na furmankach i okazałych wozach towarowych. Ci pierwsi chcieli opróżnić zawartość swoich furek a wypełnić kieszenie banknotami. Ci drudzy chcieli czegoś zupełnie przeciwnego: wypełnić wozy bez nadmiernego opustoszenia kieszeni.

Szczególny rwetes panował na targu głowaczny.

- *Po ile te jałówki?* – pyta jegomość w czapce maciejówce, próbując przekrzyknąć zgiełk targujących się mężczyzn, śmiech dzieci oglądających brykającego cielaczka i beczenie stadka owiec.

- *Tysiunc złotych* – odkrzykuje handlarz, przytrzymując zębami ćmiącego się papierosa – *patrz jaka wypasiona i galanta! Będzie mleczna jak ta lala!*

- *Panie, coś pan! W Karczewiu za taką biorą siedemset złotych!*

- *To kup pan w Karczewiu...*

Genia i Józef przeciskali się przez tłum, mijając pertraktujących handlarzy jałówkami. Tylko na chwilę zatrzymali się przy tłumku zebranym przy gniadym koniu, o którego targowali się kupiec i sprzedający.

- *Ładny koń* – stwierdził znawczo Józef – *ale nie dałbym więcej niż siedem tysięcy.*

Po czym udali się w kierunku, skąd dochodziło wyraźne chrząkanie prosiaków i nos drażniła chlewikowa woń.

- *No* - zastanowił się Józef - *wczoraj zamówiłem łóżko u stolarza Gasa z Ponurzyca. Dobry interes z tego wyszedł. Zostało jeszcze z wiunka trochę pieniędzy. To kupimy se dwa prosiaki. O tak.*

- *A starcyłoby jeszcze na maciorkę?*

- *A tak, prawda, maciorka musi być, to będzie więcej prosiaków. A chcesz Geniu kurki jakieś?*

- *O tak, kurki i kogut by się też przydały* – uśmiechnęła się Genia. Bardzo lubiła zajmować się ptactwem domowym - *bo wszystkie*

poszły na rosół weselny. Jak będą jajka, to do Otwocka na bazarek będę wywozić.

Młode małżeństwo już znalazło się obok handlarza prosiakami. Wieprzki nastawiały nosy jakby wywąchały jakiś skarb w błocie. Ale jednak nie śmiały poryć w brązowej papce. Miały bowiem zadrutowane nosy i wiedziały, że rycie byłoby bardzo bolesnym przedsięwzięciem.

Genia złapała delikatnie Józka za mankiet, jakby sobie coś przypomniwała:

- Józek, myślisz, że zostanie jeszcze trochę pieniędzy z tego wianka?

- No, jak się dobrze wytargujemy na prosiakach, to może tak. A czemu?

- Bo tak sobie myślę, że my w chałupie prawie garnków nie mamy. Wszystkie niemal wzięła wujenka Maria do swojego nowego domu. Może pojedziemy w piątek na bazar do Otwocka parę garnków kupić?

- No, w takim razie bedziem się dobrze targować.

Około południa plac targowy zaczynał pustoszeć. Początkowo zaczynało milknąć gdakanie kur, krzyki dzieci, beczenie owiec, chrząkanie świniaków. Na końcu ucichło przekrzykiwanie się kobietin sprzedających chustki i korale oraz przeklinanie chłopów sprzedających kartofle. Gdzeniegdzie pozostała tylko jakaś kobięcina z jajkami po dwadzieścia groszy sztuka i haftowanymi serwetkami. Genia i Józef wsiedli na furmankę z nowymi pasażerami: dwoma prosiakami, jedną maciorą, czterema kurami i jednym kogutem. W Józefa kieszeni było jeszcze dwieście złotych z wianka. Całkiem niezły bilans czwartkowego „dnia dyszla” w Kołbieli.

Rozdział 11.

WIDMA PRZESZŁOŚCI*Rok 1957 (oraz wrzesień 1943)*

Poletko za Brzeziną pod Regutem splotdziło dużo, dużo kapusty. Zielone, kapuściane głowy wystawiają się na wrześniowe słońce. Nagle słońce zakrywają ciężkie, brunatne chmury, robi się ciemno i posępnie. Mała dziewczynka podbiega zziajana do miedzy. Rozgląda się po polu zdenerwowana. Szuka kogoś. Zaczyna wołać: „Mamusiu! Babciu! Gdzie jesteście? Pomóc wam w pieleniu?”. Na polu jednak nie ma ani żywej duszy. Dziewczynka wbiega na pole i dalej woła. Naraz czuje wilgoć w rozlatujących się bucikach, więc na chwilę zatrzymuje się i spogląda w dół. Jej stare buciki zalewa kałuża krwi wydobywająca się spod grządy. Krew leje się teraz strumieniami i zalewa kapuściane pole. Głoby pochłaniają tę krew i jeden po drugim, zamieniają się w zakrwawione, martwe ludzkie głowy.

- Mamuś, babcia! Niiieee!

Genia zerwała się ze snu cała zalana zimnym potem i drżąca z przerażenia. W izbie było ciemno, jej mąż Józef również się zerwał słysząc te krzyki:

- Jezus Maria! Genia, co się stało? Zara tym krzykiem Danke w kolibce łobudzisz!

Na szczęście ich dwuletnia córka Danusia spała sobie w najlepsze w kącie izby. Józef usiadł na łóżku przy żonie, wziął ją za rękę i dodał nieco łagodniej - *Znowu ci się śnią koszmary o matce i babce?*

- Ano tak. Jakoś nie może mi to wyjść z głowy – wyszeptła drżącym głosem Genia i ścisnęła mocniej silną dłoń męża. Wzięta głęboki oddech, a następnie zaczęła opowiadać półgłosem historię, którą Józef słyszał już nie raz. Była ona opowiadana rzadko, zawsze szeptem, nigdy w obecności dzieci. To się wydarzyło we wrześniu 1943 roku, w czasie wojny. Genia zaczęła tak, jak zawsze miała w zwyczaju:

- Tego dnia żeśmy poszły z babcią Katarzyną za Brzezinę⁵⁰ opielić zagony kapusty. Dużo jej było i ładnie rosła. Babcia się cieszyła, bo chciała ją sprzedać na targu w Otwocku. Miała za nie kupić trochę soli i nafty. No i obiecała jakieś buciki na zimę dla mnie, bo te, co miałam, rozlatywały się, że aż żal... Słońce grzało w grzbiety, a myśmy z matką i babką cały dzień siedziały w grzędach i pielili. Na wieczór praca była prawie skończona, ale to, co zostało, miałyśmy dokończyć następnego dnia.

... Następnego dnia, tak jak zaplanowały, Katarzyna i Genia wróciły na poletko. Jednak ich oczom, zamiast dorodnych głąbów kapusty, ukazały się powyrywane korzenie, wyorane bruzdy, i gdzieś tam porzucane, popękane głąby. Zdawało się jakby w nocy jakieś duchy obrzucały się głowami kapusty dla żartu. Katarzyna nie mogła uwierzyć własnym oczom. Jeszcze raz przetała je, by się upewnić, czy aby nie śni. Nie, to nie był sen. Ktoś ukradł kapustę.

Katarzyna z rezygnacją przyklęknęła przy bruzdzie, aby dotknąć pozostałości po warzywach porzucane wokół. Po czym skierowała swą zmęczoną twarz ku niebu i jakby zwracając się ze skargą do samego Boga, zawołała:

- *A cóż to za piekielne nasienie to zrobiło! Złodzieje ukradli, zagrabili i zniszczyli moją kapustę!!... I za co ja kupię nafty? Za co na zimę kupię buty tej małej? Za co?*

Ale Bóg nie odpowiedział na wołania biednej kobiety. Tylko sosny patrzące z wysoka na poletko kiwały ze zrozumieniem swoimi iglastymi grzywkami, a ptaki zamilkły na chwilę, by wysłuchać skargi starszej kobieciny.

Fakt był faktem, całe poletko kapusty zostało okradzione. Całe miesiące pracy, doglądania i pielienia, jakie Katarzyna spędziła ze swoją córką i ukochaną wnuczką, wziął czart w jedną wrześnieją noc.

Ale Katarzyna nie zamierzała darować temu czartowi. Postanowiła, że ktokolwiek to zrobił, będzie musiał za to zapłacić. Nawet nie zajęło jej dużo czasu odkrycie sprawców tego niecnego czynu. Zaraz ktoś dał jej namiar, co to za łobuzy wywiozły kapustę do Celestynowa. Sprawcą był chłopak ze wsi, Tomek T.⁵¹ w zмовie z celestynowskimi drabami. Katarzyna poszła więc

na policję w Osiecku, by poskarżyć się dziesiętnikowi⁵², Aleksandrowi Strzeżyszowi. Dziesiętnik to był chłop z Reguta, spokrewniony. Był też chrzestnym Geni, więc łatwiej było prosić o pomoc. Okazało się, że łobuzerskie ręce nie ominęły też i pół dziesiętnika Olka. Jemu też sporo kapusty nakradli i gdzieś sprzedali.

- *Na Boga! Zrób coś s tym łolek!* – skarżyła się Katarzyna – *przecie to niemożliwe, żeby swoi ludzie tak człowieka okradali!*

- *Ech, co za draństwo! Zaraz wezwiemy ich na posterunek i damy im popalić!* - zapewnił funkcjonariusz.

Następnego dnia, na posterunku pojawili się trzej sprawcy kradzieży. Daleko nie trzeba było ich szukać. Zostali przydybani na targu w Otwocku i przywiezieni na komisariat w Osiecku. Jeden z policjantów, który się ich sprawą zajął, wszedł do pokoju dziesiętnika Strzeżysza. Zamknął drzwi i oznajmił:

- *No więc mamy złodziei. A teraz, panie komendancie, co z nimi zrobimy?*

Aleksander spojrzął na swojego kolegę, a następnie za okno izby, zastanawiając się nad odpowiedzią. Po ulicy przed komisariatem szła powolutku jakaś starowinka. W ręce miała świeczkę. Pewnie zdążyła do kościoła lub na cmentarz, by pomodlić się za dusze zmarłych bliskich. Czy zmarli oni ostatnio, czy jeszcze przed okupacją? Któż to wie? Dziesiętnik skierował swój wzrok z powrotem na stojącego przed nim kolegę i powiedział:

- *Wiesz, tak sobie myślę. Źle łobuzy zrobili kradnąc kobiecie kapustę. Ale jak my teraz na nich naskarżymy Niemcom, to ich zaraz rozstrzelają bez ceregieli. Szkoda by było młodych za kapustę zabijać. Ale nauczkę trza im dać. Weźcie ich na stronę, zlejcie ich tak dobrze, żeby im się odechciało kraść, i puśćcie wolno.*

- *Tak jest panie komendancie! Spuścimy im małe manto* – zsalutował policjant i odszedł.

Niedługo później, gdy Aleksander wyszedł na dziedziniec komisariatu na papierosa, z oddzielnej izby, służącej za areszt, dobiegały systematyczne świsty rzemiennego pasa oraz równie regularne pojękiwania chuliganów.

No dobra, pomyślał dziesiętnik, za parę minut z tymi trzema będzie kwita. Ale bardzo martwiło go to, że coraz więcej pojawiało się we wsiach bandytów. Okradali i szantażowali ludność wiejską, a do tego czuli się bezkarnie. Policjantów polskich na posterunkach wiejskich było niewiele i często też ginęli w akcjach. Do tego trzeba było bardzo uważać, co zgłasza się na wyższych szczeblach policji granatowej⁵³, nadzorowanej przez Niemców. Bo gotowi byli zaprowadzić porządek przez rozstrzelanie sprawców. Aleksander Strzeżysz wypalił papierosa, i wrócił do swojego pokoju, aby zająć się kolejnymi przypadkami wyłudzeń, bójek, kradzieży i podpaleń w okolicznych siołach.

Pół godziny później, dziesiętnik usłyszał trzask drzwi dochodzący z izby karnej. Trzej rabusie wyczłapali z izby, posiniaczeni i zbici jak dzikie gruszki uleżałki. Już nie byli takimi chojrakami jak wcześniej. Za nimi wyszedł zziązany policjant. Zapalając papierosa, popatrzył ostatni raz na zgarbionych dryblasów. Tamci powoli kierowali się w stronę bramy posterunku.

- *No, żeby już wam więcej takie głupoty nie chodziły po głowie!*
 - burknął za nimi policjant. Gdy ich sylwetki znikły za bramą, obok policjanta pojawił się dziesiętnik Strzeżysz z kolejnym papierosem.
 - *Widzę, że wybiłeś im z głów łobuzerkę* - pochwalił podwładnego.
 - *No niby tak, ale nie wiem, co w ich głowach siedzi. Szczególnie u tego Tomka T. Źle mu z oczu patrzy. Mogą być z nim jeszcze problemy.*

Policjanci tego nie wiedzieli, ale w tym momencie, Tomuś T. miał w głowie jedynie szum. Taki dziwny, bolesny szum. Było to jakby łomotanie młota, przerywane wspomnieniem świstającego pasa, którego razy chłopak czuł jeszcze na swoim grzbiecie. W gardle rosła mu gęła, w mózgu pulsowała krew. Opętała go żądza odwetu.

- *Nie daruję ścierwu!* - warknął do siebie. Nagle jakaś mgła przesłoniła mu oczy, kolana mu się ugięły i padł na ziemię. Zaczął się czołgać raniąc dłonie o wystające z duktu kamienie, a krew z ran mieszała się z kurzem i szarym piaskiem. Koledzy chcieli mu pomóc, ale zaczął ich lżyć od najgorszych. W końcu dali sobie z nim spokój i odeszli w stronę lasu. Tomuś został sam ze sobą. Gdy nieco ochłonął, pokuśtykał do niedalekiego brzózkowego zagajnika.

Znów upadł potykając się o wystający pień i stracił przytomność. Nad ranem, matka Tomusia T. usłyszała walenie do drzwi. Gdy je otworzyła, aż się wzdrygnęła, bo ledwie poznała własnego syna. Miał przekrwione oczy, obrzękłą i siną twarz, pokrwawione plecy i ręce, a jego koszula i spodnie były całe utyłane w krwi, błocie i piasku.

- *O Matko Święta, synuś! Kto ci to zrobił?*

- *Zbóje jakieś stały na drodze z Otwocka. Pobili nas, okradli wszystko co zarobiliśmy na kapuście ojca Mietka, co ją pomogliśmy zebrać – kłamał matce.*

- *Boże, co za niedola! – rozszlochała się kobiecina. - Zaraz ci synku okład zrobię, niech no jaką czystą szmatę znajdę.*

- *No już nie rycz matka, przecie żyję!* - Tomuś zirytował się ckliwością macierzy. Po czym z jękiem i postękiwaniem, położył się na lewym boku, na sienniku w izbie.

Gdy matka kwadrans później usiadła obok syna z czystą szmatką i miednicą ciepłej wody, Tomuś już spał. Jego długie, słomkowe kosmyki włosów zlepily się z brudem i krwią. Jednak gdy spał, Tomuś wyglądał tak niewinnie. Jako ten Janko muzykant, z noweli Henryka Sienkiewicza, był niecznie stratowany przez życie. Chłopak już, co prawda, dwadzieścia lat skończył, ale matka bała się, żeby czasem nie wpadł w jakieś złe towarzystwo. Choć zdarzyło się mu już nieraz wrócić do domu z guzem na czole, dla niej był nadal niewinnym chłopcem zagubionym w okrutnym świecie wojny. Tym razem sprawa wyglądała poważnie, ale kobieta nie chciała za bardzo się wypytować, bo czasem Tomuś robił się bardzo porywczy. Nie pytała więc syna, gdy co jakiś czas do stodoły z kolegami zwoził to jakąś kapustę, to ziemniaki. Czasami przywozili na wozie coś, co zakryte było płachtą.

O pięć lat młodszy Antek z podziwem patrzył na poczynania starszego brata. Ich ojciec został wysłany na front w czasie kampanii wrzesniowej i nigdy nie wrócił, więc biednie się żyło matce i dwóm synom. Pierworodny starał się jakoś zapewnić byt rodzinie, coraz częściej łamiąc prawo. Nie to niemieckie, bo to obchodzili bokiem niemal wszyscy, ale to ludzkie, polegające na zachowaniu przywoitości wobec bliźniego. Oraz to boskie, z dziesięciu przykazań.

Matce mówił, że u ojca kolegi zarabiał sprzedając ich towar w Otwocku. Zdarzało się też, że przywoził z targu a to trochę nafty, a to innym razem jakieś warzywa. Dlatego matka wołała nie drażnić syna zbędnymi pytaniami. Teraz modliła się, żeby syn wydobrzeł jak najprędzej.

Tymczasem Tomuś T. leżał tak i lizał rany. Był bardzo obolały, ale ciepłe okłady i pożywny krupnik, który mu matka podawała, pomagały w kuracji. Tydzień później chłopiec nabrał nieco sił i wstał z łóżka. Parę dni później czuł się na tyle dobrze, że postanowił wyjść z domu w jakichś interesach.

- *Polezałbyś synku jesce, wydobzał, nabrał ciała* - prosiła nieśmiało matka. - *Bogu dzięki, mamy co jeść i nafty starcy na jakiś cas, zostań jesce w domu.*

- *Juz wystarczy, Ile w ty chałupie można siedzić!* - burknął młodzik i wyszedł trzaskając za sobą drzwiami.

Zły był na to matczyne gadanie. Wszedł do stodoły i zawarł za sobą wierzeże. Uwalił się na snopku słomy, i tak sobie tam leżał i dumął jakiś czas. W ciszy mógł zebrać myśli. To wieczne gderanie matki wyprowadzało go z równowagi. W jego głowie buzowało i cały czas dusiła go ta okropna gula złości, że dał się tak sponiewierać. Zanurzył się jeszcze głębiej w słomie, aż dotknął dłonią klepiska. Zaczął macać wokół jakby czegoś szukał. Uff, odetchnął z ulgą, gdy wyczuł deskę. Uniósł ją nieco i odsunął. W schowku pod deską tkwiło metalowe pudełko. Wyjął je, wytarł rękawem wieczko z kurzu i paprochów, i otworzył. Sięgnął dłonią do wnętrza i wyczuł chłód schowanego tam przedmiotu. Powiódł po nim delikatnie palcami i ekstatyczny dreszcz wolności i siły przeszedł mu po plecach. W tej właśnie chwili w głowie Tomusia T. narodził się plan. Gula w gardle sflaczała, jak balonik, z którego uszło powietrze, i znikła, mógł normalnie oddychać, spadło z niego napięcie. Wyrostek zamknął wieczko pudełka, włożył je z powrotem do skrytki, nakrył ją deską, zamaskował słomą i znów położył się na słomie. Zmierzczało już, kiedy wszedł do domu. Matka czekała na niego z kolacją.

Po kolacji młodzieniec umył się w misce i wyjątkowo wcześniej położył się spać. Matka rada była, że syn odпочywa. Niedługo

również i ona, i Antek poszli spać, choć nie było jeszcze późno. Nie chciała krzątanią zbudzić dobrzejącego po skatowaniu syna.

Lecz Tomuś T. nie zamierzał spać. Ból głowy przeszedł. Gula zniknęła. Lecz nie mógł usnąć, bo w mózgu kołatały mu rozmaite myśli. Chłopak leżał więc bez ruchu przez kilka godzin. Ciszę w izbie przerywało tylko miarowe tykanie zegarka. Tik tak, tik tak, dziesiąta w nocy. Tik, tak, tik tak. Jedenasta. Tik tak tik tak. Północ. Tik tak tik tak... Tomek powoli zsunął się ze słomianki, ubrał się i bezszelestnie otworzył drzwi chaty. Wyszedł na podwórko i zaciągnął się haustem świeżego, wrześniowego powietrza. Było ciepło, księżyc świecił w niemal całej swej okazałości. - *Za dwa dni będzie pełnia* – pomyślał. Stodoła lśniła w srebrzystej iluminacji. Tomuś rozejrzał się po niebie, ani jednej chmurki. - *Trochę za jasno* – przebiegło mu przez głowę, gdy szedł w stronę stodoły.

Tomek delikatnie uchylił wierzeje, aby nie zaskrzypiały. Wsunął się do środka, odgrzebał skrytkę, pogmerał w niej i po chwili wstał z klęczek. Trzymał w ręku lśniący pistolet. Powolnym ruchem przyłożył sobie zimną stal do czoła. To przyniosło mu ulgę, ale też poczucie siły. Wielkiej siły, z której postanowił zrobić użytek. Ta broń była jego największym przyjacielem. Nigdy go nie zawiodła. Chłopiec sprawdził, czy spust jest zabezpieczony i nerwowym ruchem schował broń za pasek spodni. Wyszedł na podwórko, znów spojrzął w niebo. Miesiąc jarzył na bezchmurnej kopule. Pokręcił głową i ruszył w noc. Nogi go same niosły. Piaszczysta droga w świetle księżycy wyglądała jak złotodajna rzeka. Brodził w uciekającym spod stóp sykim piasku i parł do przodu jakby napędzany jakimś mechanizmem. Jedna ulica, przecznica, druga ulica. Przecznica. Cisza. Cichutki skrzyp drewnianej furtki. Szelest stóp Tomasza na trawie. Drewniane okno.

Dziewięcioletnią Genię obudził dziwny szmer za oknem. Dziewczynka miała bardzo lekki i niespokojny sen. Jednak nie ruszyła się ani nie odezwała, aby nie zbudzić matki śpiącej na łożku u jej boku. Nieopodal, w osobnym łożku spała babcia Katarzyna, a w sąsiedniej izbie - dziadek Piotr z kilkunastoletnim Staszkiem.

To, co działo się później, Genia pamiętała jak przez mgłę. Najpierw usłyszała mocne uderzenie w szybę, trzask i brzęk spadającego na podłogę szkła. Następnie – strzał i błysk, jakby piorun wpadł do izby. Wyłowiła uchem jęk babci Kasi. Poczwała jak mama Bronia raptownie zrywa się ze snu w trwodze i krzyczy. I znów strzał. Mama pada na łóżko w konwulsjach. Jej zakrwawiona twarz ląduje tuż obok kulącej się z przerażenia Geni. Na popielate włosy dziewczynki zaczyna spływać ciepła krew matki. Genia leży skulona, bez ruchu, zbyt przerażona, aby wydać z siebie jakikolwiek głos.

W kompletnej ciszy, która zapadła po wystrzałach, Genia słyszy tupot nóg uciekającego oprawcy. Do pokoju wpadają Piotr i Staszek. Młodzieniec podbiega do łóżka matki i tuli się do jej zakrwawionej twarzy. - Nie, mamó, nie możesz umrzeć!. Piotr doskakuje do Katarzyny, która nie daje znaku życia. Naraz słyszy cichutki szloch wnuczki, podbiega do łóżka i przytula ją do piersi: - Geniu, o dzięki Ci Boże, Staszek, Genia żyje! Po czym, z Genią w ramionach, jeszcze dygocącą ze strachu, siada zrozpaczony na brzegu łóżka, pomiędzy martwymi ciałami swej żony i córki. Chce coś powiedzieć, ale głos mu się załamuje i zmienia w głośny płacz....

Genia już nic więcej nie pamięta. Całe dzieciństwo jednym świstem kuli zostaje wymazane z jej życia.

Józef przycisnął mocniej swoją dłoń do drżącej dłoni żony. Za oknem słyhać było pierwsze pianie koguta. Do okna izby nieśmiało zaczął wpraszać się brzask, a za nim błysnął, rozświetlając izbę, pierwszy promień słońca.

- *Geniu, nie bój się, to są tylko koszmary. To już minęło, patrzaj tu. Już nie ma wojny. Mamy za to małą Danusię.*

Po czym pomógł żonie wstać i poprowadził ją za sobą na ganek domu.

- *Patrzaj na to wszystko* - powiedział. Obydwoje spojrzeli na złociste, jeszcze lekko zamglone słońce, które wychyliło się zza strzech domostw sąsiadów. - *To jest nasze życie. To jest nasza przyszłość. Patrzaj na tę oborę. Dopiero co ją wymurowaliśmy, żeby zwierzęta w niej bez-*

piecnie mieszkały. Potem pobudujemy stodołę, żeby siano i ziarno było gdzie przechować.

Józek wyszedł z ganku na podwórko i odwrócił się w stronę uboższego, drewnianego domu, w którym mieszkali. Popatrzył na żonę stojącą na ganku.

- Ten dom nosi w sobie tragiczne wspomnienia. Geniu, obiecuję, że jak już skończymy ze stodołą i oborą, to zburzymy ten dom i wymurujemy nowy. Tak, murowany dom zbudujemy! To jest nasza przyszłość. A ten drewniak naznaczony tragedią rozbierzemy. Będziem mieli drewna na rozpałkę na wiele lat – uśmiechnął się do żony. Odwzajemniła uśmiech, zeszła z ganku i mocno przytuliła się do męża.

Józek wskazał ruchem głowy niebo, przeżegnał się i szepnął:

- Genia, patrzaj. Twoja matka i babka w niebie siedzą i pewnie cieszą się, że nam się dobrze wiedzie. Na pewno nie chcą cię martwić koszmarami. To już minęło. Jest dziś. Będzie jutro...

Rozdział 12.

U PANA BOGA ZA PIECEM

Lata 1960-te i 1970-te

Pstryk.

Nagle cała izba Celińskich rozświetliła się w blasku czterdziestowatowej żarówki.

- *Ojej! Ale mocno świeci!* - zakrzyknęła czteroletnia Danusia, przecierając z niedowierzaniem oczy. Jej maleńki brat Rysiek jeszcze nie potrafił mówić ale przytaknął siostrze, wpatrując się w to dziwne światło. W porównaniu z lampą naftową, ta mała żarówka wyglądała jak słońeczko. Zwisiała z sufitu oświetlając wszechświat izby i pajęczyny w kącie, których nikt wcześniej nie widział. Nawet grzała, jak słońeczko, czego Danusia doświadczyła na własnej skórze. Weszła bowiem na krzesło by dotknąć żarówki i odskoczyła z krzykiem, z oparzoną palcem. Na szczęście bez bąbla na skórze, gdyż bańka nie była jeszcze mocno rozgrzana.

To był jeden ze szczęśliwszych dni w dotychczasowym życiu Józefa i jego rodziny. Regut został zelektryfikowany! Świętowano to wydarzenie hucznie, ale nie wszyscy mieszkańcy się cieszyli.

- *Teraz to dopiero Regut się robi nowoczesny!* - zataił ręce Józef. - *To jest postęp!*
- *Ale ile to trudów kosztowało, żeby w izbach pojawił się „pstryczek elektryczek”!* Wielu ludzi się sprzeciwiało, bało się elektryczności. I nie wszyscy zostali przyłączeni - dodała Genia, stawiając na stół miskę ze zsiadłym mlekiem i talerz parujących ziemniaków okraszonych pachnącymi skwarkami z boczku. Dzieci zaczęły pałaszować kolację, mrużąc oczy nieprzywykłe do elektrycznego światła.

- *Ano – przyznał Józef, przełknąwszy kawał gorącego ziemniaka*
- *niektórzy starzy ludzie bojeli się, że ich chaty się spalą od tej elektryki. No i nie wyłożyli tych dwu tysięcy na przyłączenie prądu. A tyraz siedzą po ciemnicy. Oj, niektóre ludzie to zupełnie nie rozumieją tej całej elektryczności i korzyści, jakie ona daje.*

- *Może i tak – przyznała Genia. – A może te ludzie nie mieli na to pieniędzy.*

Nie mogli wyłożyć dwa tysiące z kieszeni, żeby za przyłączenie zapłacić, bo to kupa forsy. Skąd mają wziąć tyle pieniędzy, kiedy państwo każe oddawać niemałe, obowiązkowe dostawy żywca i zboża? Do tego wykarmić rodziny trza, domy ludzie budują. Jak kto ma mało ziemi, a dużo gęb do wyżywienia, to nie jest łatwo, bo nie ma co sprzedać.

- Mamusiu, mogę troszkę chleba co upiekłaś dziś rano? Taki dobry jest!
- zapytała Danusia. - Popatrz jak ładnie zjadłam kartofelki – dodała, pokazując mamie wylizany talerzyk.

*- Dam ci małą kromeczkę, ale resztę trzeba zostawić na jutro. Bo w końcu to niedziela, dzień Pański. I jeszcze na cały przyszły tydzień musi starczyć – odpowiedziała Genia, po czym zwróciła się do męża:
 - No właśnie, Józek, trza pilnować ile mąki zużywamy, bo niedługo pszenicę trza będzie oddać w dostawie.*

Polska Rzeczpospolita Ludowa już od początku swojego funkcjonowania nałożyła na chłopów, nawet tych małorolnych obowiązkowe dostawy zbóż i ziemniaków po cenach stałych (zwykle niższych niż wolnorynkowe na jarmarkach). Później doszło do tego opodatkowanie gruntu płatne w naturze, głównie wieprzkami i ptactwem domowym. Pomimo wysokich kwot dostaw, polska wieś nie była w stanie pokryć kartkowego zapotrzebowania na żywność ludności miejskiej. Do tego dochodziło wykarmienie wojska. Żeby tylko Polskiego, ale przecież w Polsce stacjonowała Armia Czerwona. Sytuacja nie poprawiła się znacząco nawet po tzw. „odwilży” w 1956 roku, po której trzy lata później utworzony został Fundusz Rozwoju Rolnictwa. Miał on na celu wspierać finansowo kółka rolnicze, zrzeszające producentów rolnych, w zwiększaniu produkcji. Dopiero w 1971 roku, w czasie reformy rolnej przeprowadzonej przez ekipę Edwarda Gierka miały zostać zniesione obowiązkowe dostawy zbóż, ziemniaków i żywca⁵⁴ – 26 lat po zakończeniu wojny.

Jednak pomimo tych obciążeń, Józef i jego rodzina patrzyli z nadzieją w przyszłość. Jeśli lata 40-te dla Józefa były symbolem wojny i lęku, lata 50-te były czasem ciężkiej pracy przy odbudowie kraju oraz nadziei na lepsze jutro, to lata 60-te były realizacją tej nadziei.

Elektryczność po paru latach zdobyła zwolenników nawet wśród najbardziej opornych mieszkańców Reguta. Krok po kroczku, kolejne



**Genowefa, Józef, Rysiek oraz Danusia Celińscy
na tle starej stodoły pod strzechą, około 1960 r.**

technologiczne wynalazki również zaczęły wkradać się w życie wsi, ułatwiając pracę oraz zmieniając sposób spędzania czasu jej mieszkańców.

Najpierw, w latach 1960-tych w co niektórych gospodarstwach pojawiły się odbiorniki radiowe Syrena i Pionier. Danusia, miała wtedy sześć lat i ledwo brodą sięgała stołu, gdy tak wpatrywała się w to dziwne pudło, które dopiero co ojciec kupił w Otwocku. Miało plastikowe pokręta po bokach i oko w samym środku, powyżej pokręteł. A najdziwniejsze było to, że to pudło... gadało. Czasami, gdy tak obok zadumanej Danusi i równie zapatrzonego Rysia przechodził wujek Antek Cygan to straszyl ich:

- A patrzajta tam dobrze w to oko, to może zobaczyta w nim jakichś ludzi. Już nawet ich słycać!

Dziewczynka usilnie się więc wpatrywała, ale nie mogła nikogo zobaczyć. Jednak kilka lat później udało się jej wreszcie zobaczyć ludzi w gadającym pudle. Tym razem ludzie nazwali je telewizorem. Było dużo większe, niż Syrena i miało ekran. Pierwszy taki telewizor zakupiła rodzina Władzia Cygana z sąsiedztwa. Nie byli oni świadomi, że zakup tego luksusu zamieni ich dom na długi czas w kulturalne centrum wsi. Od tamtej pory, do ich domu około godziny szóstej wieczorem schodzili się mieszkańcy wsi, by odprawić codzienny rytuał.

Zaczynało się od oglądania wieczorynek. Nawet młodzieży i dorosłych nie zanudzały przygody „Misia z okienka”, „Jacka i Agatki”, a potem „Bolka i Lolka” albo „Reksia”. Wszyscy podekscytowani oglądali ruszające się, animowane, postaci na ekranie. Gdy dobranocka się kończyła, jeden z dorosłych wstawał, klaskał w ręce i - ku smutkowi młodszych widzów, głośno ponaglał - *Koniec dobranoczek. Dzieciakom dziękujemy. Idźta do domów spać!*

Po dobranocce zostawali już tylko dorośli i starsza młodzież. Teraz czas przyszedł na Dziennik, a potem – filmy, programy rozrywkowe, spektakle teatru telewizji albo wreszcie – pierwsze seriale. Hitem byli „Czterej pancerni i pies”, „Zorro” i „Bonanza”.

Gospodyni Jadźka Cyganowa, nie zawsze była zachwycona, że jej dom stał się ośrodkiem życia kulturalnego wsi. Czasami



Komunia Basi Celińskiej (poniżej).

Od lewej u góry: Ryszard, Danusia Celińscy, Zbyszek Sobczak oraz Krystyna Cygan (obecnie Witak) na tle murowanej stodoły, około 1970 r.

żartowała, że będzie zbierać składki za oglądanie tych wszystkich dobranocek i seriali.

Niebawem Regut zdobył kolejne instytucje kultury i oświaty: nowowytbudowaną szkołę⁵⁵ oraz tzw. Klub, który był ulokowany w budynku byłej szkoły niedaleko rynku⁵⁶. Ku uldze pani Cyganowej, do Klubu wkrótce zakupiono telewizor i od tej pory cwieczorne pielgrzymki mieszkańców wsi kierowały się właśnie tam. W owym czasie życie towarzyskie na wsi kwitło za sprawą innych społecznych inicjatyw, jakimi były Koło Gospodyń Wiejskich, Koło Młodzieży Wiejskiej⁵⁷, a także Ochotnicza Straż Pożarna⁵⁸.

Klub był przystanią, gdzie mieszkańcy Reguta mogli spotkać się ze sobą, napić herbaty, porozmawiać i pooglądać telewizję. Nieodzownym zadaniem Klubu i społecznych inicjatyw było organizowanie potańcówek, dożynek, zabaw: andrzejkowych, kar-

nawałowych, ostatekowych i innych imprez integrujących społeczność Reguta i pobliskich wsi.

Trudno sobie wyobrazić życie młodzieży wiejskiej w tamtych czasach bez zacnej instytucji sobotniej zabawy. Jednak zanim na tę zabawę młodzież mogła się udać, trzeba było odpracować całą dzień na roli. Tak było też w przypadku dorastającego syna Józefa, Ryśka - na przełomie lat 70-tych i 80-tych. Zanim młodzik udał się na zabawę do pobliskiej wsi, nie raz musiał spędzić całą sobotę z kosą w ręku, towarzysząc ojcu przy sianokosach lub innych robotach rolnych.

Którejś soboty ojciec i syn przerwali koszenie, by napić się mleka, bo zgrzali się od machania kosami.

- *A gdzie to na zabawę jedziesz tym razem Rysiek?* – zagadnął Józef, gdy zaspokoili pragnienie.

- *Ano, do Człkówki. Piskorze mają grać, dobrze muzykują więc dużo ludzi będzie.*

- *Teraz to te zabawy są wielkie, w remizach* – pokiwał głową Józef – *nie to, co kiedyś na dechach pod gołym niebem, albo w szkole. W czasie wojny też były potańcówki, ale na taką zabawę niebezpiecznie było jechać. Jednego razu pięciu kolegów z Ponurzycy wyszło z kościoła w Osiecku. Mieli udać się na zabawę w Grabiance. Ale ich Niemcy na drodze zatrzymali, zabrali i rozstrzelali. Cudem uchwalił się jeden z chłopaków, Felek Ćwiek, któremu kula przeleciała między policzkami. Leżał tam półprzytomny aż do odejścia Niemców⁵⁹.*

- *No tak, musiało być ciężko* – przytaknął syn. Ale jego myśli były gdzieś indziej. Rysiek zastanawiał się jak się zabierze na tę imprezę w Człkówce. Akurat jego kumpel kupił motor WSK, więc może się zgodzi, żeby zabrać Ryśka na pasażera? - kombinował. Motocykle były na wsiach coraz popularniejsze, głównie WSK i WFM, bo można je było kupić bez żadnych talonów czy asygnat: za gotówkę lub na raty w ORS-ie, ale trzeba było mieć stałe dochody. Zajechać takim motorem na zabawę, to było coś!

W końcu, poza rozrywką, taka wiejska sobotnia zabawa odgrywała rolę pocziwej swatki. Niejedna panna czy kawaler znaleźli na takowej imprezie swoją drugą połówkę. W 1976 r. Danusia miała



Wóz weselny w Regucie, lata 1980-te. Wesele Hanny oraz Henryka Piętki

wziąć ślub z Jurkiem Rendaszkiem: wysokim brunetem z wąsikami, który mieszkał na tej samej ulicy i był organizatorem niejednej zabawy w reguckiej remizie. Młodsza siostra Danki, Basia miała parę lat później na takiej zabawie w niedalekiej Podbieli poznać Bogdana Matoska, przystojnego bruneta z poczuciem humoru i lśniącą czarnym lakierem WSK-ą.

Podczas, gdy sobotni wieczór był czasem rozrywki młodych, to całotygodniowa praca w fabrykach, wokół domu i przy gospodarstwie wytyczała tryb życia mieszkańców wsi. Józef w ciągu lat 60-80-tych miał się różnych prac najemnych. Najpierw pracował w zakładzie produkcyjnym ZWAR⁶⁰ w Międzyzlesiu, a później dostał etat nastawniczego na stacji kolejowej Warszawa Wawer. Po fajrancie na Józefa czekała robota przy gospodarce. Celińscy trzymali konia, krowy, świnie, kury, kaczki a czasami nawet owce. Cena żywca w tych czasach była wysoka i z jego sprzedaży można było trochę zaoszczędzić na budowę, a było co budować.

Najpierw Józef zburzył starą oborę i postawił nową, murowaną. Potem uzbierał pieniądze na budowę stodoły. Największym kosztem było postawienie murowanego domu. Na ten wydatek rodzina oszczędzała pieniądze przez kilkanaście dobrych lat. Nowy dom rodziny Celińskich stanął dopiero w 1973 r. Oczywiście, tak jak większość domów wybudowanych w tamtych latach, przybytek Celińskich był stawiany sposobem gospodarczym, przy ogromnej pomocy fizycznej członków rodziny, sąsiadów oraz zaprzyjaźnionych członków społeczności Reguta.

Lata 1960-te i 1970-te były również czasem inwestycji w rolnictwo. W Regucie w tym czasie pojawił się SKR, czyli Spółdzielcze Kółko Rolnicze. Na końcu ulicy, gdzie mieszkali Celińscy (obecna Nowowiejska), chłopci zbudowali szybko kilka blaszanych garaży, do których wkrótce wjechały nowiutkie Ursusy⁶¹, kosiarki, grabiarki i inny sprzęt rolniczy. Państwo zakupiło maszyny dla kółka w celu wspierania produktywności małych gospodarstw. Józef był zachwycony. Nowoczesny sprzęt był wypożyczany przez chłopów za małą opłatą. Sianokosy i żniwa stały się dużo mniej uciążliwe, od kiedy rolnicy zaczęli zastępować kosę mechanicznymi kosiarkami. Od samego początku istnienia kółka, Józef aktywnie się udzielał przy jego organizacji, a potem zgłosił się na ochotnika, żeby być skarbnikiem.

Aktywność Józefa w Regucie nie ograniczała się tylko do kółka. Od 1973 r. Józef Celiński przez kilka kadencji był członkiem i wiceprzewodniczącym Gminnej Rady Narodowej Celestynowa, w której reprezentował Regut. W owych latach Regut był świadkiem budowy asfaltowej drogi, rozwoju Ochotniczej Straży Pożarnej oraz wielu innych ważnych dla życia mieszkańców inicjatyw i inwestycji.

Genia natomiast zajmowała się domem oraz zwierzyną. Szczególnie lubiła zajmować się kurami, kaczkami i gęśmi. Co piątek jeździła z wielkim koszem jajek, mlekiem i serami na targ w Otwocku. Gdy jeszcze dzieci były małe, Genia zabierała je w czerwcu do lasu na jagody. Zebrane owoce lasu kobieta sprzedawała na otwockim targu, a rozchodziły się jak świeże bułeczki. Coraz częściej piekarze i cukiernicy kupowali hurtem cały zbiór jagód, które przy-

wiozła na targ, bo popularne zaczęły być jagodzianki i gofry polewane musem jagodowym.

W wyprawach do Otwocka towarzyszyli matce Danka, Rysio i mała Basia. Nieraz przechodzili obok otwockich cukierni. Przeżykali tylko ślinę widząc na ladzie jagodzianeczki i wdychając ich słodki, drożdżówkowy zapach.

- *Te jagodzianki są zrobione z naszych jagód* – zażartowała sobie Danka.

- *Szkoda, że mamusia nie robi jagodzianek* – westchnęła pięcioletnia Basia przylepiając nosek i paluszki do szyby cukierni.

- *Oj tak, ale na pewno mamusia nam kupi po jagodziance na koniec dnia! Zawsze tak robi po sprzedaży* – znawczo stwierdził Rysiek – *no, ale chodźmy już na bazar, pomóc mamie zebrać graty.*

Jednak mała Basia nie dawała spokoju. Jeszcze raz spojrzała na panią w cukierni, która uwijała się w białym fartuszk i czepeczku zakrywającym skrzętnie jej złote włosy. Pani z uśmiechem podawała klientom pudełeczka z jagodziankami, eklerkami, kremówkami i innymi słodkościami, których smak dziewczynka czuła już w ustach. Danka i Rysiek zaczęli się już kierować w stronę targu, by pomóc mamie zebrać koszyki po dniu targowym. Basia oderwała się od szyby i dogoniła rodzeństwo, dodając stanowczym głosem:

- *Jak będę duża, to będę pracować w cukierni! Nauczę się robić jagodzianki!*

Dzieciaki, jak zawsze po dniu targowym, dostały po jagodziance. Jednak samej Geni nie jagodzianki były w głowie. Oprócz doglądania zwierzyny, co piątkowych wyjazdów na bazar, gospodyni miała wiele innych zajęć w domu. Hodowała na przykład owce, z których wełny robiła ciepłe swetry.

Proces robienia takiego swetra był bardzo złożony, trwał co najmniej rok. Najpierw trzeba było oczywiście mieć owcę, która przez okres zimy i wiosny dochowała się grubego runa. W czasie lata, związywało się nóżki takiej zdezorientowanej owcy i specjalnymi, dużymi nożycami obcinało się jej wełniane runo. Po takim zabiegu, owca mogła wyglądać nieco łyso, ale i tak była zadowolona. Już nie pocila się pod grubym futrem w czasie sierpniowych upałów. Następnie należało to runo uprać oraz okumać, czyli oczyścić ręcznie z zabrudzeń. Zwoje runa były teraz gotowe do przeczesania

nia czyli cechrania, do którego Genia używała grępla - deski z pobijanymi w nią metalowymi igiełkami.

W czasie późnej jesieni, gdy wszystkie prace przy wykopkach kartofli ustały, Genia i inne kobiety na wsi miały czas na kolejny etap: przędzenie wełny na kołowrotkach. Był to proces bardzo przyjemny i towarzyski. Kobiety ze wsi często spotykały się ze swoimi kołowrotkami i wełną u jednej z gospodyń. Oczywiście, zabierały też dzieciaki do pomocy i dobre humory. Przędki miały dużo czasu na ploteczki, rozmowy o sprawach codziennych wsi, a również śpiewy i przyuczanie córek do pracy na kołowrotkach. Po kilku sesjach zwoje wełnianego runa zamieniały się w delikatne lecz mocne motki nici wełnianej, które się następnie bieliło lub farbowało barwnikami zakupionymi w dziewiarskich sklepach w Otwocku. A bywało, że robiono swetry z naturalnej, szarawej wełny. Robiono je ręcznie, na drutach, też często w większym gronie gospodyń...

Mroźne zimowe dni oraz długie wieczory były wprost idealne by w największym pomieszczeniu domu rozłożyć krosno albo warsztat tkacki, na którym wytwarzano tkaniny. Genia na warsztacie tworzyła wszelkiego rodzaju narzuty na łóżka, kapy, oraz parciane chodniki. Tkanie było zajęciem pracochłonnym i wymagającym koncentracji. Dlatego wyprodukowanie jednej narzuty mogło trwać kilka miesięcy a nawet cały okres zimy i przedwiośnia. Gotowy produkt był jednak najwyższej jakości i mógł posłużyć rodzinie przez wiele lat. Gdy dzieci Geni i Józefa wychodziły za mąż i żeniły się, takie piękne narzuty stawały się częścią posagu dawanego nowożeńcom.

Inne produkty tkackie, na przykład parciane chodniki albo „gałganiarze”, miały bardziej codzienne zastosowanie. Były doskonałym przykładem pomysłowości, z jaką kobiety wiejskie wykorzystywały stare prześcieradła i obrusy, czy też ubrania, które się złachmaniły, albo z których dzieci wyrosły. Rwno je albo cięto na wąskie, jednocentymetrowe paski, a następnie zszywano w długą wstęgę. Takie „nici” były osnową parcianych chodników, tanich i praktycznych, które można było położyć na podłodze w kuchni, sieni⁶² czy, a nawet w pokojach. Wykonywano też tzw. gałganiarze – plecionki w formie narzuty które się

rozkładało na łóżku dla zachowania izolacji i dopiero na nich układało się prześcieradło. Na wsi nic się nie marnowało, a rodziny chłopskie, tak jak miały w zwyczaju, pracowały ciężko i po bożemu.

Życie rodziny Celińskich toczyło się spokojnie, wedle odwiecznych praw natury. To natura od zawsze dyktowała chłopu, kiedy miał pracować, kiedy odpoczywać, a kiedy świętować. To natura rodziła mu żywność i zwierzynę, które pozwalały chłopowi żyć, inwestować, dorabiać się. Ten porządek zdawał się być wieczny. To prawda, że Ursusy a później kombajny wjechały na pola i wywołały rewolucję w wiejskim gospodarstwie. Sprawily też, że koń nie był już tak zapracowany, jak wcześniej. Maszyny zastępowały pracę ludzkich rąk. W związku z tym coraz więcej chłopskich dzieci wyjeżdżało do miasta, do stałej pracy. Już nie musieli być chłoporobotnikami, maszyny pracowały za nich. Stawali się prawdziwymi robotnikami. Stopniowo klasa robotnicza w fabrykach zaczęła dostrzegać i odczuwać nieprawidłowości w zarządzaniu krajem. Coraz większy niedobór towarów na rynku oraz drożyzna i niskie zarobki stawały się zarzewiem protestów i długotrwałych buntów. W obiegu publicznym pojawiło się nieznane przedtem w PRL-u słowo: strajk.

Z czasem na wieś zaczęły dochodzić sygnały, że wielkie zakłady przemysłowe zamieniają się w nabrzmiałe lawą wulkany gotowe lada chwila wybuchnąć. Chłopi pracujący gdzieś w zakładach stolicy i większych miastach, zaczęli dostrzegać, że nadchodzą wiatry zmian. W lipcu 1980 roku w Lublinie odnotowano pierwsze poważne strajki robotnicze, miesiąc później stanęły stocznie, kopalnie, huty. Polska Ludowa zatrzęsła się w posiadach. Ten czas historia nazwała Festiwalem Solidarności, który trwał jednak niespełna półtora roku. Władza od pierwszych chwil robotniczego buntu szykowała narodowi niespodziankę.

Ta niespodzianka miała wkrótce zaskoczyć także rodzinę Józefa Celińskiego w małej wiosce Regut.

Rozdział 13.

STAN GRUDNIOWY*Noc, 13 grudnia 1981 roku*

Niedziela, 13 grudnia. Stacja Wawer, dochodziła godzina 22 w nocy. W nastawni stacji siedziało trzech mężczyzn. Grzali swoje zziębnięte ręce nad żelaznym piecykiem, w którym żarzył się koks. Dwaj ubrani byli w żołnierskie mundury polskiej Armii Ludowej. Trzecim był Józef Celiński, którego stan wojenny zastał na służbie. Miał na sobie kolejarską czarną kurtkę, spodnie z lampasem i kolejową rogatywkę na głowie. Za oknem tęgi mróz, silny wiatr i śnieżyca. Tory z godziny na godzinę pokrywały się coraz grubszą płachtą białego puchu. Nagle zadzwonił telefon, na którego dźwięk Józef poderwał się sprężysto. Cekał na jakiś telefon zdenerwowany, bo jego służba się kończyła, a zmiennika, który już od co najmniej pół godziny powinien być na nastawni, by przejąć obowiązki od Józka, nie było. W słuchawce kolejarz usłyszał głos swojego kierownika:

- Pociąg z Dębina opóźniony o dwie godziny. Cholerna śnieżyca, wszystko zasypane. Heniek siedzi w tym pociągu i nie dojedzie przed północą na swoją zmianę. Zostaniecie na służbie do czasu, kiedy Heniek dojedzie?

- Jak trzeba, to zostaną - odpowiedział przełożonemu Józef i usiadł nieco poddenerwowany. *- Co prawda pociąg z Warszawy w kierunku Celestynowa też nie przyjeżdża, więc i tak będę tu siedział i czekał.*

Spojrzał na mundurowych. Przyszli tu kilka godzin temu, tak na wszelki wypadek by sprawdzić czy na stacji jest porządek i by się ogrzać. W nastawni było dużo przyjemniej niż na zewnątrz.

- No i co będzie z tym stanem wojennym? - zagadnął Józef niepewnym głosem swoich współtowarzyszy.

W nocy, z soboty 12 grudnia na niedzielę 13 grudnia, zamilkły cywilne telefony i nadajniki radiowe i telewizyjne. Przystała działać poczta. Na ulice polskich miast wyjechały czołgi i skoty - pojazdy opancerzone produkowane w lubelskiej Fabryce Samochodów Ciężarowych. Na rogatkach miast ustawiono wojskowe patrole - każdy ruch był

kontrolowany. Ale to był dopiero początek. Wprowadzono zakaz opuszczania przez obywateli miejsc swego zamieszkania. Wiele służb publicznych zmobilizowano. Zamknięto redakcje prasowe - poza organem partii – „Trybuną Ludu” i organem wojska – „Żołnierzem Wolności”. Tak zaczął się stan wojenny, ponury okres w historii Polski.

Stan wojenny zawieszono dopiero z końcem 1982 r., a zniesiono 22 lipca 1983 r. Wielu obywateli nie wiedziało, co się dzieje. Jaka wojna, z kim, o co? Ale władze wiedziały, co robią. Tej nocy aż do 451 obiektów w całym kraju wkroczyły oddziały zbrojne. Wkrótce zaczęły się aresztowania i internowania działaczy opozycji i związkowców z „Solidarności”, domagającej się reform polityczno-ekonomicznych. Aresztowano w sumie ok. 10 tysięcy osób.

W niedzielę, 13 grudnia, od godz. 6.00 rano obywatele Polski mogli zobaczyć na ekranach telewizji i usłyszeć w radiu generała Wojciecha Jaruzelskiego, przewodniczącego Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, który ogłaszał wprowadzenie stanu wojennego i godziny milicyjnej na terenie całego kraju. Od tej pory, przez ponad półtora roku faktyczną władzę w państwie miała sprawować właśnie Rada wojskowa.

- Ano, słyszał towarzysz o tych wywrotowcach z „Solidarności” – zaczął odpowiadać na pytanie Józefa jeden z żołnierzy, zacierając dłonie i huchając w nie co i rusz. – Zaczęli od strajków w Stoczni Gdańskiej w 1970 roku. Potem w 1976 w Radomiu i w Warszawie. Ale miarka się przebrała, kiedy znów, latem 1980 roku znowu zaczęli strajkować, burzyć spokój i grozić wyjściem na ulice, budowaniem barykad, czyli powstaniem. Nie było wyjścia. Kraj był zagrożony, fabryki strajkowały, więc nie produkowały. Sam pan wie, że brakuje w zasadzie wszystkiego. Ktoś musiał zrobić porządek. A kto mógł to zrobić lepiej niż wojsko? Generał Jaruzelski, musiał ogłosić stan wojenny i wprowadzić godzinę milicyjną od 22.00 do 6.00 rano, żeby była karność w narodzie. Wojsko zostało zmobilizowane do ochrony kraju, i z tego te wszystkie patrole i kontrole, żeby wyłapać wywrotowców. Zwykli ludzie nie mają czego się bać.

- Ech, zachciało się burzycielom wywracać Polskę do góry nogami – dodał drugi żołnierz - co oni, na wojnę z państwem chcieli iść? Rosjan drażnić? Oni chętnie by u nas swoje porządki zaprowadzili. To chyba

lepiej jak to sami zrobimy, niż jakby wojsko radzieckie miało interweniować. Chciałby pan powtórki z Czechosłowacji w 1968 roku? Enerdowcy też się palili, żeby ze swoimi czołgami przekroczyć Odrę. Stan wojenny oszczędził nam tej „bratniej pomocy”, a może i wojny, kto wie. Za parę dni życie wróci do normy. Idą święta... - zawiesił głos żołnierz.⁶³ - Ano idą – mruknął Józef. – Niechby chociaż ten śnieg przestał sypać i mróz zelżał - dodał Józef dorzucając koks do piecyka.

Śnieg jednak nie przestawał sypać. Godzina milicyjna właśnie się zaczęła. Nie można było się poruszać po mieście do rana bez specjalnych przepustek. W ciągu dnia każdy miał obowiązek noszenia przy sobie dowodu osobistego lub legitymacji szkolnej. Ich brak mógł kosztować gapę aresztowanie na 48 godzin albo pałowanie. Wraz z godziną milicyjną żołnierze wyszli na patrol. Był sam w nastawni.

Józef teraz miał tylko jedno w głowie: jak dostanie się do domu w taką śnieżycę skoro noc dokoła i już nie kursują żadne publiczne środki lokomocji? Jako kolejarz dostał przepustkę na nocne przemieszczanie się. Patrzył w okno i nasłuchiwał tylko czy pociąg z Dębłina nadjeżdża, czy też będzie tu ślęczał całą noc.

Na szczęście krótko po północy przyjechał pociąg z Dębłina, a w nim Heniek, zmiennik Józefa. Wkrótce zadzwonił kierownik z informacją, że opóźniony pociąg w kierunku Celestynowa powinien wkrótce przyjechać. Po pół godzinie na peron wtoczył się zaśnieżony, niemal pusty, pociąg relacji Warszawa Zachodnia-Dęblin. Józef wsiadł do niego i telepiąc się z zimna, bo ogrzewanie w wagonie nie działało, jechał tak przez pięćdziesiąt minut, myśląc o tym stanie wojennym i jego konsekwencjach. Pociąg jechał coraz wolniej, wreszcie dotoczył się i stanął w Starej Wsi, stacyjce tuż przed Celestynowem. I to był koniec jazdy, zasy na torach uniemożliwiły dalszą podróż.

Gdy Józef wyszedł z pociągu, wiatr smagnął go suchym śniegiem po twarzy, aż zabolalo. Skulił się, postawił kołnierz, owinął twarz szalikiem i ruszył w drogę do Reguta, do domu. Wokoło głucho i ciemno. Latarnie wygaszone, w oknach domów też ciemno. Był samiuśki na drodze, jeśli nie liczyć żołnierzy przy koksownikach, którzy grzali się przed budynkiem Rady Gminnej w Celestynowie. Żołnierzy zdziwiło,

co tutaj robi. Odpowiedział szczerze, że idzie do domu w Regucie z takiego i takiego powodu. Żołnierze pogratulowali mu hartu ducha. Żałowali, że nie mają gazika, bo by go podwieźli.

Nikt go już nie niepokoił w dalszej podróży, ale musiał przedzierać się przez liczne zasy dysząc i co jakiś czas i zatrzymując się, by złapać oddech. Do domu dotarł późną nocą, padł na łóżko jak kamień i pogrążył się w głębokim śnie.

Obudził się późnym rankiem. Choć Regut pod kołdrą śniegu był jeszcze spokojniejszy niż zwykle, niepokój stanu wojennego dotarł aż do progu domu Celińskich. Józef usłyszał z pokoju obok ściszone głosy córek. Danka przyszła właśnie ze swoimi małymi dziećmi, Anią i Michałem. Danka mieszkała niedaleko, więc często przychodziła na herbatkę do rodziców i siostry Basi, by wymienić się nowinkami i ploteczkami.

Zawsze było o czym rozmawiać. Na przykład o narzeczonym Basi, Bogdanie Matosku. Basia poznała go na zabawie w Podbieli ponad rok temu. Na wiosnę 1981 r. Bogdan został powołany do służby wojskowej do jednostki wojsk inżynieryjnych w Ełku. Młodzi mieli wziąć ślub dopiero dwa lata później, po powrocie Bogdana z wojska.

Tym razem jednak obie siostry rozmawiały szeptem, z wyraźnym przejęciem. Danusia opowiadała Basi o sytuacji jej męża. Jerzy pracował w ZWAR-ze, w Międzyzlesiu, w zakładzie produkującym aparaturę wysokiego napięcia, który był jednym z największych zakładów pracy w okolicy.

- Basia, jest bardzo niespokojnie w ZWAR-ze. Związki zawodowe się aktywizują, a Jurek uczestniczył w tajnych spotkaniach związkowych. Zaczęli roznosić ulotki po zakładzie informujące o sytuacji w „Solidarności” i żądaniach politycznych i ekonomicznych opozycjonistów. Jurek tam zdaje się jakieś składki zbiera od związkowców. Po pięć złotych. Znosi do wyższych komórek i tam jakąś bibułę konspiracyjną i ulotki drukują.
- Ojej, Danko, nie boisz się o Jurka? Przecież Jaruzelski mówił, że biorą się za porządkowanie opozycji. Toć to wielkie ryzyko!

- No jak nie! Spać ostatnio nie mogłam przez to! A od wczoraj to już w ogóle. Jak Jurek idzie do pracy to się tylko modlę, żeby wrócił. Mówił, że wczoraj jego dwóch kolegów aresztowano. Ktoś ich zakapował,



Bogdan Matosek na czarnej WSC-e, 1980 r.

pewnie jakiś działacz partyjny był na oddziale. Jurek twierdzi, że ma zaufanie do ludzi, z którymi współpracuje, ale sama wiesz. W tej sytuacji nic nie wiadomo.. A co z Bogdanem w wojsku?

Basia spojrzała na wiszącą na kredensie pocztówkę z wojska. Na pocztówce widniało zdjęcie Bogdana w mundurze i wojskowej furazercie.
- No właśnie nie wiem. Gdy rozmawiałam z nim ostatni raz przed stanem wojennym to nic nie wspominał, był cały czas w jednostce w Ełku. A od czasu stanu to już w ogóle nie ma żadnego kontaktu⁶⁴. Boże, oby to się nie obróciło w coś poważniejszego!

- Wszystko będzie dobrze Basia. – Danką objęła swoją siostrę – Oby ten stan wojenny się wkrótce skończył. Jeszcze do szczęścia

człowiekowi wojny tu brakuje! I do tego ani telewizja, ani radio nie nadają normalnych programów. W telewizji tylko wiadomości, nic innego nie można obejrzeć. A jakie tłumy wyczekują w sklepach po towar. Nidy nie wiadomo jak długo to wszystko potrwa...

- Właśnie – dodała Basia – u mnie w sklepie od wczoraj jest makabra. Kilometrowe kolejki, a towaru jak na lekarstwo. Ludzie stali od piątej rano i wykupili wszystko, co było, nawet ocet. No mówię ci, puste półki zostały. Była spora dostawa cukru na kartki, to do siódmej godziny wysprzedalam co do grama. Skąd te ludzie biorą te kartki, że mają ich aż tyle? Nawet sobie kilo nie odłożyłam, a też mam kartkę. Ale ludzie i tak patrzą spode łba na ekspedientki, bo myślą, że coś pochowane mamy w magazynie. Nawet straszę, że NIK⁶⁵ na nas naślą jak nie damy więcej towarów. Ale co my mamy im dawać jak w magazynie pustka!? Jednemu, co najgłośniejsz gardłował, powiedziałam: - To wejdz pan i sam zobacz. Jak coś pan znajdziesz, to wez pan za darmo. Ale nie wszedł, o dziwo, ale się zamknął i potulnie czekał, bo chleb mieli przywieźć z piekarni.

- Nikt nikomu w tych czasach nie ufa. Każdy każdemu wilkiem – pokiwała Danką – A teraz to już w ogóle nic nie wiadomo. Jedni ludzie gadają, że ten cały towar ze sklepów to spekulanci wykupują i na czarnym rynku opylają po wyższej cenie. Z kolei inni prawią, że może państwo magazynuje prowiant na wypadek wojny domowej i do sklepów trafia tylko część produkcji. Bo jakby Ruscy weszli, to mogłoby dojść do zamieszek na większą skalę. Ale co my możemy zrobić?

Gdy tak Józef nasłuchiwał rozmowy swoich córek, nie zdawał sobie sprawy, że stan wojenny jest tylko preludium do większych zmian. Zmian, które za osiem lat dotkną wszystkich, nie wyłączając jego samego. Nie będą tylko politycznymi i ekonomicznymi reformami systemu, jaki Józef znał od zakończenia wojny, ale całkowitą zmianą ustrojową.

Tymczasem trwał stan wojenny. W Regucie życie toczyło się normalnym torem. Nie było tam czołgów, nie było opancerzonych skotów, nie było patroli, ani wojskowych posterunków, nikt nie przejmował się godziną milicyjną, bo milicji też nie było na miejscu.

W pierwszych dniach tej „wojny” Polski z Polską była blokada przy wjeździe do Otwocka, ale zatrzymywali do kontroli tylko jakieś wydające się wojskowym podejrzanym osoby. Już po kilku tygodniach stanu wojennego życie zwykłych ludzi wróciło do normy, z tym tylko, że niemal wszystkie towary kupowało się na kartki. Zaczęła się więc, handel wymienny. W cenie były papierosy i alkohol. Kto nie palił i nie pił kupował wódkę i papierosy i wymieniał z sąsiadami lub znajomymi na cukier lub wyroby cukiernicze i czekoladopodobne. Prawdziwa czekolada była dostępna tylko na czarnym rynku lub w pewexach – specjalnych sklepach z artykułami delikatesowymi, w których płacono się dewizami, czyli zachodnią walutą lub bonami dolarowymi.

Półtora roku stanu wojennego zleciało jak abecadło z pieca w wierszu Brzechwy. „Abecadło z pieca spadło i się rozsypało”, tak samo zaczęła się sypać komunistyczny ustrój. Pomogło w tym embargo Zachodu na sprzedaż Polsce surowców i technologii. Fabryki wprowadzały zamienniki surowcowe w swoich produktach, które były marnej jakości, więc reklamacje w okresie gwarancji pożerały zyski.

Znów wybuchały strajki „Solidarności”, która przetrwała jakoś stan wojenny, znów zaczęły się demonstracje uliczne. Starcia milicji i oddziałów ZOMO z demonstrantami zamieniały się w regularne, nie zawsze bezkrwawe bitwy. Czuło się intuicyjnie, że PRL długo nie potrwa, coś się w narodzie przebudziło. W czerwcu 1989 r. opozycja wygrała częściowo wolne wybory, obsadziła swoimi senatorami senat i przejęła faktyczną władzę w państwie. Komuniści zachowali jeszcze na krótko fasadową pozycję – Jaruzelski został na kilka miesięcy prezydentem Polski, ale faktyczne rządy sprawował solidarnościowy gabinet premiera Tadeusza Mazowieckiego. PZPR przestała się liczyć. Po kolejnych, już całkowicie wolnych wyborach, zniknął PRL, na głowie herbowego orła białego wróciła złota korona, nastąpiła III Rzeczpospolita Polska.

Tak jak stan grudniowy wkroczył niespostrzeżenie do izby Celińskich w 1981 r., tak i kapitalizm wkradł się za plecami przemian politycznych po 1989 r.: cichutko i bez pytania o zgodę. W życiu Józefa przewrócił on do góry nogami wszystko to, co on uważał za niezmiennie, bezcenne, wręcz święte.

Rozdział 14.

SIANOKOSY*Czerwiec, 1998 r. Reguta*

Wiosna w tym roku była dość ciepła, wilgotna i obrodziła soczystą trawą na łąkach. W czerwcowe popołudnie na ulicach Reguta słyhać było warkotanie traktorów wracających z łąk i ciągnących wozy wypełnione po brzegi sianem. Ze szkoły sunęły poboczem dzieciaki wymachując workami z kapturami. Jeszcze tylko kilka dni i będzie zakończenie roku. A potem dwa miesiące laby i biegania z piłką po boisku. I może trochę pracy przy roli, kiedy rodzice każą.

Tymczasem dwunastoletnia Marta, najmłodsza córka Basi, siedziała w pokoju rodzinnego domu w Regucie. Z rumieńcami na twarzy czytała książkę. Nie był to nadzwyczajny widok. Podczas gdy jej rówieśnicy ścigali się rowerami po ulicach Reguta albo spotykali się na przystanku autobusowym (przekornie nazywanym Klub Młodzieży Reguta), oczy Marty tkwiły w książkach. Wszyscy w klasie uznawali ją za nudną kujonkę. Miała okulary na nosie, krótko obcięte włosy na „boba” i same piątki w dzienniku. Marta umiała czytać już w zerówce. Nauczyła się razem ze swoim rodzeństwem: rok starszą siostrą Agnieszką i dwa lata starszym bratem Marcinem. Szczególnie zachwycone tą umiejętnością były nauczycielki. Dawały sześciolatce bajki do czytania rówieśnikom w klasie, a same w międzyczasie robiły sobie herbatę.

Marta była cichą, nieśmiałą dziewczynką. Nie lubiła wygłupiać się ani plotkować. Za to uwielbiała zaszyć się w kącie z książką, albo nawet spacerować gdzieś po lesie i w wyobraźni pisać swoje własne dzieła. Tym razem mała czytała „W pustyni i w puszczy” Henryka Sienkiewicza. Pochłaniała oczami i wyobraźnią przygody Stasia i Nell w odległych krainach Afryki: ich przeprawę przez upalną Saharę i suche sawanny, spotkania ze słoniem i odpoczynek pod olbrzymim baobabem. Wyobraźnia dziewczynki chłoneła suchość ciernistych krzaków sawanny, wilgotny zapach dżungli,

dźwięczność języka Kalego - suahili⁶⁶. Zamarzyła sobie, że kiedyś będzie podróżować po świecie. Że pojedzie do Afryki. A może nawet nauczy się tego tajemniczego języka Kalego.

W tym momencie jej mama, Basia, uchyliła drzwi do pokoju i przerwała wyprawę po afrykańskich bezdrożach słowami:

- Jutro będzie zbieranie siana. Po szkole przyjedziesz na Zapłocie⁶⁷ do pomocy? Będziemy tam z dziadkiem Józkiem.

Następnego dnia Marta wróciła do domu o czternastej. W kuchni na kwiecistej ceracie stołu leżała kartka-list do dzieci: „Jesteśmy na Zapłociu, przyjeżdżajcie, jak wrócicie ze szkoły. Zanim przyjdziecie, Marcin, nawieź drzewa. Agnieszka, pozamiataj w kuchni. Marta, daj siana królom. Mama”

Dziewczynka ukroiła pajdkę chleba i zrobiła sobie kanapkę z masłem, serem żółtym i keczupem. Spałaszowała ją, zastanawiając się jak smakuje chleb w Afryce, po czym przebrała się w starą bluzkę, spodenki i poszła nasypać owsa królikom siedzącym w klatce. Przed wyjazdem na łąkę, złapała jeszcze pięć papierowych ręczniczków i schowała je do kieszeni spodenek. Wiedziała, że się przydadzą. Następnie wskoczyła na swój czerwony rower i nieśpiesznie udała się na łąkę.

Na miejscu byli już dziadek Józef, tata oraz babcia Genia. Agnieszka i Marcin również już tam byli, bo wcześniej tego dnia skończyli zajęcia w szkole. Popołudniowe słońce nadal mocno świeciło na bezchmurnym niebie, zapowiadając kolejne dni upałów. W powietrzu unosił się typowy w tym czasie zapach pyłków traw, zmieszany z łagodną wonią rumianku. Lecz najintensywniej pachniało skoszone i wysuszone siano. Bo sianokosy w istocie zaczęły się znacznie wcześniej, teraz czekała rodzinę ciężka praca przy zbiorze tego siana i jego zwózka do stodoły.

Siano, niby to tylko zwitek ususzonych traw. Ale ta wiązka martwego ziela dla chłopca od zawsze była życiem. Stanowiła, bowiem pokarm i ściółkę dla krów, koni i innych zwierząt w czasie zimowych miesięcy. Siano było w pewnym sensie inwestycją na chudy czas. Jak każda inwestycja – wymagało pewnych poświęceń i oddania w czasie płodnych miesięcy lata. Było rezultatem

złożonego procesu 'sianokosów', w który zaangażowana była cała rodzina gospodarza, oraz, oczywiście, Matka Ziemia.

Pierwsze miesiące wiosny były czasem wzrostu i kwitnienia traw i bylin na łąkach. Gdy około maja- czerwca trawy osiągały 50-80 cm wysokości, przychodził czas na ich skoszenie. Dawniej do tego procesu używano zwykłej kosi, ale z czasem na wieś przyszedł kosiarki, najpierw ciągnięte przez konia, a później przez traktor. To właśnie taką kosiarką kilka dni wcześniej ojciec Marty skosił trawę na łące. Trzeba było poczekać parę dni, aż siano się ususzy, bacząc przy tym czy pogodynka w telewizji nie zapowiada deszczów. Następnie trzeba było te rzędkie pokosów rozrzucić, tak by siano ususzyło się równomiernie ze wszystkich stron. Proces takiego rozrzucania czasami był powtarzany by upewnić się, że siano jest wystarczająco suche. Do zgrabiania siana używano grabiarki, chociaż w dawniejszych czasach robiono to zwykłymi, drewnianymi grabiami. Grabiarz wyglądał zabawnie, ale i niebezpiecznie: długa rura z zakolem z przodu, do której umocowane było pięć okręgów z zębami. Jej zęby zbierały rozrzucone po łące siano w większe kępy.

Następnie przychodził czas na zbiór siana w kopki. Takie kępy siana babcia Genia, mama Basia, Marta oraz jej rodzeństwo ustawiali w 2.5- metrowe kopki. Dziewczynka czasami zastanawiała się po co wszyscy się fatygują z ustawianiem tych śmiesznych kopek. Czy nie można było wysuszonego na ziemi siana zwieźć od razu do stodoły? Otóż nie. Bowiem każdy proces na wsi miał swój głęboki sens i był przekazywany z pokolenia na pokolenie niczym bezcenna, ludowa mądrość. Ustawienie siana w kopki pozwalało na ostateczne dosuszenie go. Wilgoć to było ryzyko. W wilgotnym sianie zachodził proces chemiczny, który wytwarzał tak dużo ciepła, że mogło dojść do samozapalenia się siana!

Genia nieraz powtarzała staropolskie przysłowie: „Nie ciesz się chłopie, gdy masz siano w kopie, kiedy je masz w stogu, powiedz: chwała Bogu.” Bowiem siano w kopie musiało jeszcze odleżeć i przesuszyć się dzień lub dwa. Następnie rodzinna pielgrzymka na łąkę udawała się by zebrać siano w zwarty stóg, albo załadować na wóz

i przewieźć do stodoły. Właśnie do zebrania siana Marta przyjechała tego dnia na łąkę.

Na wozie z sianem siadała zazwyczaj Genia, babcia Marty. Od dawna bidulka cierpiała na reumatyzm i jej nogi były spuchnięte jak balony. Dlatego zadanie układania kępek suchej trawy na wozie należało do niej. Obok, koło kopek stali dziadek Józef i tato Bogdan z widłami. Nadziewali na widły kępy suchej trawy z kopek, a następnie wrzucali je na wóz albo podawali bezpośrednio babci. Wnuczkowie natomiast dograbiali siano do kopek lub nakładali je na wóz, upewniając się przy tym, by każda kępka znalazła się tam, gdzie jej przeznaczenie – na wozie.

W oddali, po łące sąsiada spacerowały sobie dumne bociany. Szukały pożywienia dla swoich małych bociątek, które zostały w gniazdach ze swoimi matkami. Bociany szczególnie chętnie odwiedzały łąki w czasie sianokosów i zbioru. Dużo łatwiej było złapać jakąś żabę, ślimaka, gryzonia czy węża prześlizgującego się po wyłysiałej łące.

Gdy Marta dotarła na miejsce, Genia siedziała już na całkiem wysokiej pierzynie siana. Marcin i Agnieszka niecierpliwie liczyli kopki, Józef i Bogdan machali równomiernie widłami.

- *Dobrze trafiłaś! Jeszcze dziesięć kopek do rozbrojenia* – skonstatowała Agnieszka.

Marta złapała za grabie pozostawione dla niej pod drzewem. Nie lubiła ich, bo były za wielkie dla niej. Gdy grabiła siano, co rusz uderzała się nimi przez przypadek w kostkę. Do tego robiły się jej odciski na dłoniach. Zresztą nie tylko tego nie lubiła. Zapachu siana też nie znosiła, bo zawsze przypominał jej o pewnej zdrowotnej uciążliwości. Marta miała dokuczliwą alergię na pyłki traw, zbóż, kwiatów i jeszcze kilka innych produktów.

Po kilku minutach zalewał ją katar i łzy. Marta wyciągnęła pierwszą chusteczkę i wytarła nią oczy i nos. Włożyła ją do drugiej kieszeni, po czym wróciła do grabienia. Wkrótce chusteczka była cała mokra, a potem druga i trzecia.

- *No nieźle, jeszcze tylko cztery kopki* – pocieszał zasmarkaną córkę tato. Następnie mruknął do siebie: - *To całe dzisiejsze grabienie to pewnie jest pięć złotych warte.*

Tymczasem katar sienny Marty się nasilał a jej oczy zaczęły piec. Ostatnia chusteczka. Dziewczynka spojrzała na brata. Trochę ją to pocieszało, że on też był alergiczny i również zmagał się z katarem. Jednak dzisiaj Marcin sobie nieźle radził. Widząc zasmarkaną siostrę, wyjął zmiętoszoną, ale czystą chusteczkę z kieszeni swoich spodni i podał jej mówiąc:

- *Masz Marta, bo zaraz będziesz musiała wycierać nos sianem.*

Słońce powoli zniżało się ku horyzontowi, rumianek kwitnący wokoło zaczynał roztaczać jeszcze intensywniejszą woń. Martę już mdliło od tych sielsko-wiosennych zapachów. Jej nos i oczy były całe czerwone. Gdy słońce przybrało odcień nosa dziewczynki, siano z ostatniej kopki znalazło się już na prawie trzy-metrowej sterce na wozie. Geni nie dało się już nawet zobaczyć z dołu. Wkrótce jednak znad sterty siana zaczął dobiegać jej łagodny, spracowany głos, kierujący w stronę niebios starą, ludową śpiewkę:

*„Zachodźże słońcecko skoro mas zachodzić
Bo mnie nóski bolum, po tym polu chodzić.*

*Nóski bolum chodzić, rącki bolum robić,
Zachodźże słońcecko, skoro mas zachodzić.*

*Zebyś ty słońcecko na dorobku było,
Tobyś ty słońcecko prędzej zachodziło.*

*Za las, słońko, za las, nie wyglundaj na nas,
Wróćis do nas jutro, jak bandzie raniutko.”*

Józef skierował swoje spieczone policzki w stronę wozu z sianem, potem w stronę szkarłatnego horyzontu. Uniósł czapkę maciejówkę, przetarł spocone czoło i zarządził:

- *Dobra robota! Jedziemy na fajrant. Jutro zrobimy sianokosy na Bieli⁶⁸.*

Rozdział 15.

DOŻYNKI*25 sierpnia 2002 r. Regut*

Na co dzień ta mała miejscowość, Regut, licząca ledwie pięciuset mieszkańców budziła się ze snu przy pianiu koguta. Niegdyś z rana na jej ulicach można było usłyszeć burczenie silników traktorów, które zmierzały na pola do żniw. Te odgłosy jednak z roku na rok zanikały, zastępowane cichszym warczeniem samochodów zmierzających do firm i zakładów pracy w Otwocku lub Warszawie, albo autobusu „gimbusa” zawożącego dzieci do nowo powstałego gimnazjum w Celestynowie. Jednak ten dzień był szczególny.

Był to dzień gminnych dożynek, które zostały zorganizowane przez społeczność Reguta po raz pierwszy od kilku dobrych lat. Dożynki, czyli święto zakończenia żniw były niegdyś organizowane przez mieszkańców Reguta co rok.

Tego dnia na placu przy remizie strażackiej ustawiona została scena, a naprzeciw rzędy ławeczek dla widzowie. Ławki szybko się zapełniły, za nimi stawali kolejni widzowie z Reguta i okolic ciekawi, co też przygotowano na ten specjalny dzień. Od wieków dożynki były praktykowane przez chłopów jako forma podziękowania Bogu za obfite plony i uczczenia zakończenia żniw, które były najbardziej wymagającym i ciężkim obowiązkiem rolnika. Dożynki były czasem radowania się z plonów, które pozwalały chłopom przetrwać srogą zimę.

Po mszy świętej w kościele w Celestynowie, orszak dożynkowy rozpoczął uroczysty przejazd do Reguta. Pochód otwierał siedzący w wozie furmańskim ówczesny wójt - Tomasz Atłowski – pięknie wystrojony w surdut na modłę dziedzica ziemskiego. W furmance dziedzica jechał również „gość specjalny” - wieniec dożynkowy. Zrobiony był ze wszystkich rodzajów zbóż uprawianych w okolicy, ozdobiony kwiatami polnymi, kolorowymi wstążkami oraz obrazem Matki Boskiej – patronki urodzaju. Za nim kolejno jechali starostowie i chłopci reguccy prezentujący maszyny rolnicze. Pokaz

otwierały brony i pługi, czyli sprzęt używany wczesną wiosną do przygotowania ziemi pod siew zbóż i sadzenia warzyw. Potem jechały kosiarki i grabiarki – niezbędne maszyny do sianokosów, kosiarki do zbóż, młockarnie, w których młóciło się zboża oraz koparki do ziemniaków. Nie obyło się również bez kombajnu. Kombajn zrewolucjonizował pracę przy żniwach, ponieważ jednocześnie kosił, zbierał zboże, młócił je, a słomę formował w kostki i wypluwał na rżysko. Teraźniejsze kombajny słomę rolują w wielkie złociste walce. Był on bardzo drogim sprzętem, nieczęsto widywanym na niewielkich, podcelestynowskich polach. W Regucie na początku XXI wieku taki kombajn miał tylko jeden gospodarz.

Po tym radosnym pochodzie, głos został oddany staroście i staroście dożynekowym. W te znaczące role wcielili się Wiktoria Koc oraz Józef Celiński: honorowi uczestnicy. Następnie pałeczkę przejęli gospodzina i gospodarz dożynek (Wanda Kałowska i Sławomir Jabłoński). Oni i wójt otworzyli święto plonów. Po tym wstępie nastąpiło uroczyste dzielenie chleba dożynekowego, wypieczonego z mąki z tegorocznych zbóż. Wielki bochen krojono na małe kęsy, aby każdy obecny na dożynkach mógł go spróbować. Po tej celebrze nastąpiła część artystyczna – radosne skecze, deklamacje, tańce i prezentacje mieszkańców wsi i dzieci ze szkoły podstawowej w Regucie.

Józef po oficjalnych występach zszedł ze sceny. Natychmiast dostrzegł swojego starego znajomego, Wieśka⁶⁹, który siedział na ławce nieopodal.

- *Ależ Józef dzisiaj galantny! Gratuluję występów* – zakrzyknął Wiesiek do kolegi i złapał go za ramię, by nie zginął gdzieś w tłumie
- *A siadaj tutaj obok, jest miejsce na ławce dla nas obu.*

- *A dziękuję Wiesiu, uff, ale gorąco dzisiaj, ciężko w tych frakach usiedzieć. Oj, dawnośmy się nie widzieli, dawno.*

- *Tak, na sesjach rady gminy się często widzieliśmy, jeszcze jak byłeś radnym Reguta. Radziłeś tam kilka dobrych lat, prawda?*

- *A tak, byłem radnym Reguta przez kilka kadencji od 1973 r. Ale już od jakiegoś czasu odpoczywam. Niech tyraz młodzi rzundzom* – odpowiedział Józef, przecierając czoło w spiekocie sierpniowego słońca.

- *Słusznie rzeczesz, Józef. Widzisz, bardzo się teraz zmienia nasza gmina i Regut.*

- *Oj zmienia się, zmienia – odezwał się siedzący obok sześćdziesięciopięcioletni Antek⁷⁰, który przysłuchiwał się rozmowie dwóch przyjaciół. - Dobrobyt idzie, a chłopci od ziemi odchodzą. Ot, co się zmienia.*

- *W sumie to trudno się im dziwić – pociągnął temat Wiesiek - przecież od początku transformacji polityczno-gospodarczej rolnictwo spadało na łeb na szyję. Pamiętacie jak to na początku 1990 r. ceny nawozów, benzyny i utrzymania maszyn poszły w górę wraz z inflacją? Milionami się płaciło, tak spadła wartość złotych. Pieniądz nic nie był wart, znów na parę lat wrócił handel zamienny, jak za okupacji niemieckiej. To były koszty tej transformacji. Upadało rolnictwo, upadał przemysł, upadało rzemiosło. Ale daliśmy radę przeżyć komunę, to i ten wybuch kapitalizmu daliśmy radę przeżyć.*

Józef pokiwał głową w zamyśleniu:

- *Właśnie, lata 90-te to była wielka bieda na wsi. Inflacja, reforma walutowa. Nowe sto złotych dostawałeś za stary milion. A do tego ceny żywca i zbóż obniżyły się, bo otwarto granice i tanie towary zapełniły jarmarki. W 1991 i 1992 ceny skupu żywca były tak niskie, że trzeba było dokładać do interesu!*

- *Dokładnie - przytaknął Antek - Nie dość, że zysk z rolnictwa był słaby, w porównaniu z czasami komuny, to jeszcze wielu ludzi potraciło pracę w zakładach i fabrykach. Iluż to ludzi było zatrudnionych w ZWAR-ze w Międzyzlesiu? Rano pociągami tysiące ludzi zjeżdżało z okolic do zakładu. Ale w latach 90-tych zaczęły się zwolnienia. Bo rozpadł się Związek Sowiecki i padł rynek wschodni, gdzie szedł głównie polski eksport maszyn i żywności. Wiele zakładów zamykało produkcję, bo dla zachodu te maszyny były przestarzałe. No, biednie było. Co niektórzy byli w tarapatkach bo pobrali kredyty, a później ciężko im było je spłacić. Odsetki poszły szalenie w górę. Moich dwóch synów straciło pracę, a mieli kredyty na budowę domów. Od całej rodziny się zapożyczali, żeby spłacić szybko odsetki, bo zaraz miały być wywindowane w górę. Pamiętam jak w 1990 r. znajomy kupił nowego Poloneza za niecałe 8 mln złotych. A od stycznia 1992 r. ten wóz kosztował już 40 mln. Takie*

podwyżki były. On tego Poloneza zaraz po podwyżce sprzedał na giełdzie za ponad 30 baniek i kupił sobie używanego Mercedesa za 20, jeszcze mu 10 baniek zostało, to nakupił spirytusu. Całą piwnicę miał w butelkach z zieloną kartką. I dobrze na tym wyszedł. Po denominacji złotówki spirytus zdrożał, jak cholera, a on miał z czego robić wódkę na trzy wesela swoich dzieci. Miał gość farta.

- Co prawda, to prawda - wtrącił Wiesiek – Fart był potrzebny przy tych przemianach ustrojowych. No, ale później jakoś gospodarka ruszyła. Młodzi poznajdowali nowe prace, a wielu starszych doczekało emerytury i jakiej takiej stabilizacji.

- Ale młodzi już nie chcieli tak robić na roli, jak wcześniej! - mruknął Antek, spoglądając niechętnie na scenę, gdzie artyści wiejscy prezentowali skecz o postępowym rolniku. - A zaraz zobaczyta. Jak Polska do Unii wejdzie to już wszystko się rozpadnie. Zaleją nas tanie produkty z Zachodu. A mały, polski rolnik nie będzie mógł sprzedać ogórka, bo krzywizną będzie odbiegał od unijnego. Przetrwają tylko najsilniejsi, a gospodarstwa takie jak nasze pójdą w zapomnienie. Zobaczyta, ziemia odłogiem będzie leżeć, chwastem porastać i krzaczorami. Koniec świata...

- No tak - przyznał Józef - dzieci moje tyż mi mówią, że na tyle, co się człowiek napracuje na gospodarstwie, to byle co z tygo ma. Do tego córka jedną operację miała, zięć niedawno miał dwie. Moja Genia też jakoś ledwo ciapirga⁷¹. Dzieci mówią mi: trza skończyć z tym rolnictwem, bo się człowiek zarobi na śmierć. Bo cały czas używamy starych maszyn. Nie opłaca się przecie małemu rolnikowi kupować kombajna.

- Ale z drugiej strony jak tu skończyć? - Antkowi aż chropowate dłonie zdrząły - przecie to grzech, żeby tak ziemia odłogiem leżała!

- Tobie grzech, a innym nie grzech – skwitował Wiesiek. – Chłopy domy i pola sprzedają miastowym, miastowi uciekają na wieś, a chłopy uciekają do miasta, do roboty. Ot co. Świat się wywraca na odwyrtkę.

Józef kiwnął smutno głową, spoglądając wokoło na rozbawione tłumy gapiące się na scenę i dzieciaki zajadające waniliowe lody na patyku.

- My w młodości z kosą szliśmy na pole robić zniwa, motykami kopaliśmy ziemniaki. I jakoś daliśmy radę. Też trzeba było dorabiać gdzieś u ludzi albo i w zakładach. Ciężko było żyć z samego rolnictwa.

- *No właśnie - dodał Antek - tyle wam powiem: młode teraz leniwe są! Nie chce im się na roli robić! My tu tej ziemi pot i krew oddaliśmy, a uni to tak byle robotę złapać w mieście i tyle! Chcą letko żyć!*

Wiesiek przez chwilę siedział w milczeniu, wsłuchując się w rozmowę dwóch kolegów. Po chwili spojrzął przed siebie i powiedział: - *No i jeden i drugi prawdy po trosze rzecze. Ale ja wam powiem tak. Każde pokolenie się rządzi swoimi prawami, które trza szanować. Historia lubi zataczać koło, może kolejne pokolenia zmęczone pogonią za pracą i pieniądzem dostrzegą we wsi jej wartość? Może to będą wnuki tych miastowych, co na wieś uciekają, a może nasze wnuki, kto to wie?*

Jego dwaj towarzysze siedzieli w milczeniu i słuchali. Wiesiek ciągnął: - *Po wojnie może lepiej się wiodło nam. W końcu i my dorabialiśmy w Warsiawie na robocie, bo niedaleko była. My mieliśmy swoje wyzwania i problemy. Teraz młodzi mają inne wyzwania, których my nie doświadczamy: bezrobocie, niestabilność pracy, reforma emerytalna. Tak czy siak, ja tam nie życzę swoim wnukom takich trudów życia, jakie my przeszliśmy. Choć ciężko się z tym wszystkim pogodzić, to trzeba się cieszyć, że choć trochę im jest lżej! A ta ziemia nie zniknie przecie, tylko zmieni swoją rolę. Jak tak miastowi uciekają na wieś, to przecie będą potrzebowali ziemi na swoje domy, wille, dworki, ogrody. Widzicie sami, jakie chałupy w Regucie stawiają, burząc stare chatki. Tu są łąki, tu są lasy, tu jest czyste powietrze, ptaki śpiewają, kwiaty kwitną, tu jest raj, chłopcy...*

Józef i Antek już nic nie odpowiedzieli. Na scenę właśnie zaczęli wchodzić młodzi tancerze z zespołu „Polesoki”. Był to ludowy zespół taneczny prowadzony przez państwa Powalków przy szkole w Regucie. Józef się uśmiechnął, widząc wchodzące na scenę dzieci odziane w tradycyjne kołbielskie stroje.

- *O tam po lewej tańczy moja wnuczka, córki Danusi, Paulinka - Józef z dumą wskazał kolegom na dziewczynkę z kędzierzawymi włosami.*

Była przyodziana w pasiastą spódnicę, kozaczki, białą bluzkę i kamizelkę. Właśnie zaczynała tańczyć żwawego Hajduczka w towarzystwie innych tancerek i tancerzy. Józef patrzył na ten radosny korowód, na roześmianą w radosnym tańcu wnuczkę i żyły szczęścia zabłyśły mu w oczach.

Rozdział 16.

GENOWEFA

2008, Szpital im. Stefana Batorego w Otwocku

Genowefa usiadła na twardym, plastikowym krześle na korytarzu szpitala. Obok niej przysiadł Bogdan, jej zięć. Wokoło panowała sterylna cisza, co jakiś czas przerywana skrzypieniem drzwi gabinetu, po którym następowało wezwanie pacjenta przez pielęgniarkę. W powietrzu czuć było zapach spirytusu salicylowego oraz środków sanitarnych do mycia podłogi. I jeszcze ten dziwny, duszący zapach niepewności i obawy, jaki przynosili tutaj ze sobą pacjenci. Co niektórzy oczekujący na badanie przerywali tę ponurą ciszę, dzieląc się swoimi nie mniej ponurymi bolączkami i problemami. Jedni opowiadali o operacji woreczka żółciowego, inni o reumatyzmie. Jeszcze inni rozmawiali o nowotworach, terapiach, chemii. Genia wołała tego wszystkiego nie słuchać. W głowie jej się kręciło a w piersiach czuła dziwny, kłujący ból.

Wzrok skoncentrowała na swoich dłoniach, które oparła o spuchnięte kolana. Jej dłonie były jak kawałki czerstwego chleba: zbrązowiałe od słońca, stwardniałe od pracy, pomarszczone od mijających lat. To właśnie te dłonie były wsparciem dla całej rodziny. To one opiekowały się gospodarstwem i domem. To te dwie dłonie doglądały gospodarstwa, wychowały dzieci, karmiły przez lata niezliczone kury, gęsi, krowy i ich cielęta, świnie i prosiaki.

Te dłonie niegdyś wyrabiały ciasto chlebowe i wkładały je w foremkach do wnętrza kaflowego pieca. Taki chleb, pieczony na żywym ogniu na drewnie sosnowym był najsmaczniejszy. Z wierzchu był bardzo chrupiący, wewnątrz niezwykle miękki i pulchny. Smakował wyśmienicie na ciepło, posmarowany własnoręcznie zrobionym masłem z tłustego mleka. Genia wyrabiała takie masło po nowoczesnemu: w plastikowej butelce po napoju gazowanym, którą potrząsała tak długo, aż mleko rozdzieliło się na maślanek i masło. Ręce Geni przygotowywały również przepyszne



**Wyrobienie masła śmietankowego
w butelce po coca-coli. Genia i Józef, 2011 r.**

placki ziemniaczane, takie smażone na smalcu. Posypawszy te chrupiące placki cukrem, Genia stawiała talerz z nimi przed wnukami, dziećmi Basi, Ryśka albo Danki. A miała ich w sumie dziesięcioro, choć tylko rodzina Basi mieszkała razem z dziadkami. Rezultat był zawsze jednakowy: placki znikły z talerza w zastraszającym tempie.

Choć przez lata dłonie Geni traciły siłę, nadal zachowały tę magiczną zdolność tworzenia. Tworzenia czegoś, co dawało szczęście, miłość, opiekę. Czy były to kulinarne przysmaki, czy też skarpetki, lub rękawiczki zrobione na drutach w zimowe wieczory. Czy też bańki ogniowe stawiane wnukom na plecach, gdy się przeziębily jesienną porą.

Często jesienią wnuki siadały na skrzypiącej ławce nieopodal pieca i słuchały opowieści Geni o dawnych czasach. Szczególnie lubiły historie o nocnych marach pojawiających się nad pobliskim stawem „Żółw”, o starym młynie, który ponoć nad tym stawem

kiedyś był wybudowany. Albo o duszkach, które pojawiały się jadącym do kościoła w Osiecku. Po chwili jednak, Genia kwitowała z typowym dla siebie uśmiechem: *„Ale te mary to często się ludziom pojawiały bo widzicie, jedna karczma była w Osiecku, inna w Celestynowie. To ludzie po wyjściu z tych karczm takie zjawy widzieli. Raz to jedna para nawet dziecko wiezione na chrzest zapomniała zabrać z takiej karczmy. Zorientowali się dopiero w kościele! I musieli wracać wozem do szynku! Ponoć dobry bimber tam dawali. To on te zjawy wywoływał”*. Dzieciaki chichotały a Genia wracała do dziergania na drutach kolejnej skarpetki z owczej wełny, zwiniętej w kłębek i leżącej na jej kolanach.

Kolana Geni, na których teraz opierała swe dłonie, nie były już aż tak sprawne. Od lat były chore na reumatyzm, od dzieciństwa cierpiały na krzywicę. Ponoć krzywica jest spowodowana ubogą dietą. Genia nie pamiętała zbyt wiele z dzieciństwa, ale pamiętała, że jadła głównie ziemniaki i kaszę. Do tego doszły jeszcze bóle i zwyrodnienia stawów. Na nic zdawało się smaganie tych pałkowatych nóg łydęgami pokrzyw zerwanych na łące. Nogi pokrywały się bąblami i piekły od pokrzywy ale ból nie odchodził.

Staruszka przypominała sobie te wszystkie dni, które spędzała klęcząc na ziemi, pieląc i kopiąc buraki, kapustę, ziemniaki. Jesienią ktoś musiał zebrać ziemniaki, ten dar natury wyrwany z wnętrzości ziemi. Jakby na znak wdzięczności i przeprosin wobec ziemi, trzeba było uklęknąć na zimnej glebie. Następnie trzeba było się pochylić i wrzucać do koszyczka ziemniak po ziemniaku, bacząc przy tym, by nie pominąć przez przypadek żadnego. Marnotrawienie darów natury to byłby przecież grzech.

Praca na roli dawała chłopu tak wiele: życie, jedzenie, środki do przetrwania. Ale też dużo od chłopu wymagała. Na przykład pełną gotowość by zebrał plony bez względu na zdrowie, wiek czy siłę. Genia pamiętała to upalne lato na początku lat 60-tych. Pola pszenicy, żyta i owsa tak pięknie obrodziły! Drugiego dnia żniw Genię złapały na polu dziwne bóle po prawej stronie brzucha. Kobieta złapała się za brzuch i skrzywiła. Ale nic nie powiedziała, bo przecież całe pole żyta było do ścięcia. Józef szedł z przodu z kosą

i regularnym ruchem ramion kosił łany zboża. Genia razem z małą Danką 'odbierała', czyli zbierała te łany żyta, owijała je powróstem⁷² i zawiązywała je w snopek. Takie snopki opierało się jeden o drugi kłosaми do góry. Następnie po kilku dniach wrzucano te snopki na wóz i zwożono do stodoły, gdzie były przechowywane aż do młocki.

- *Mamusiu, wszystko dobrze?* – Zapytała siedmioletnia Danusia, która stała obok, patrząc na skręcającą się z bólu matkę.

- *Tak już jest lepiej Danuś, brzuch mnie zabolął.*

Ale brzuch nie przestawał boleć a ten stan zaczął się nasilać przez kolejne dni. Któregoś dnia ból był już tak przejmujący, że kobieta nie mogła wstać z łóżka. Józef zawiózł żonę do szpitala w Otwocku. Okazało się, że Genia cierpiała już od dawna na kamicę woreczka żółciowego i teraz woreczek pękł. Genia była natychmiast operowana, bo groziło jej zapalenie otrzewnej.

Następnego dnia Józef poszedł z kosą na kolejne pole, tym razem w towarzystwie samej Danusi. Słońce gorąco piekło a Danusia uwijała się za tatą, który już zabrał się za koszenie żyta. Gdy dziewczynka zbierała skoszone zboża w snopki, kłujące igielki żyta raniły jej małe rączki. Z czoła dziewczynki spadały na żyto krople potu. Mała Danusia zastanawiała się kiedy mama wróci ze szpitala, bo bez niej było bardzo smutno.

- *Pani Genowefa Celińska?* – zdecydowanym tonem spytała stojąca obok pielęgniarka z plikiem dokumentów.

- *Tak, to ja.*

- *Proszę wejść do gabinetu, doktor już czeka z wynikami* – oznajmiła pielęgniarka, po czym skierowała się do siedzącego obok Bogdana

- *Pan też może wejść.*

Obydwoje niezwłocznie udali się do gabinetu i usiedli naprzeciwko doktora. Lekarz spojrzał najpierw na starszą kobiecinę, potem na plik badań i analiz, oraz wydeklamował łagodnym tonem:

- *Pani Genowefo. Dostaliśmy właśnie wyniki analizy badań krwi i prześwietleń. Muszę panią poinformować iż mammografia oraz prześwietlenia rentgenowskie potwierdzają moje wcześniejsze przypuszczenia. Zdiagnozowano u pani raka lewej piersi...*

Dziwny spokój i cisza ogarnęły Genowefę. Staruszka ścisnęła mocniej dłonie oparte na kolanach. Zamknęła oczy na ułamek sekundy i poczuła jakieś ciepło. Zdawało się, jakby była w starej, drewnianej izbie, którą ogrzewał żar drewna dopalającego się w piecu. Na ławce przy piecu siedziały dwie kobiety: staruszka i kobieta w średnim wieku. Rozmawiały ze sobą szeptem. Nagle kobiety zwróciły się w kierunku obserwującej je Geni. Starsza uśmiechnęła się, otworzyła szeroko ramiona, jakby chciała obserwatorkę przytulić do serca. Z jej ust zdawały się dobiegać słowa: „*Geniu, wnusiu kochana! Kiedy nas odwiedzisz? Mam dla ciebie nowe buciki..*”

Genowefę rozbudził z zamyślenia głos dobiegający z zewnątrz i klucie przy sercu. Dwie kobiece postaci zniknęły tak samo szybko, jak się pojawiły. Genia siedziała czołamy czas w sterylnej zimnym gabinecie w szpitalu. Głos, który ją rozbudził, należał do jej zięcia, Bogdana:

- *Mamusiu, wszystko będzie dobrze. Będzie dobrze, to jest do wyleczenia...*

Kobieta tylko pokiwała głową, spojrzała jeszcze raz po sobie, na dłonie i na opuchłe kolana. Przeżegnała się zgrubiałą od pracy prawniczą, uśmiechnęła się lekko do siebie i spokojnie wyszeptwała:

- Niech się dzieje wola Boża.

A wola Boża była taka, że Genia przez kolejne cztery lata miała dzielnie walczyć z rakiem piersi oraz przewlekłym stanem reumatycznym stawów. Zakończyła tę nierówną walkę 30 października 2012 roku, w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat.

Niestety, na pogrzebie Genowefy Celińskiej, babci Geni, nie mogła zjawić się jedna z jej wnuczek, Marta. W owym czasie znajdowała się w Kabulu, w Afganistanie. Pomagała afgańskim kobietom na terenach wiejskich tego kraju w rozwijaniu przedsiębiorczości.

Zanim się to jednak stało, dla Józefa sezon pożegnań nastąpił znacznie wcześniej... Minęło siedemdziesiąt lat od kiedy koniec dzieciństwa Józefa i okres przemian zaanonsowała wizyta dwóch żołnierzy w jego rodzinnym domu. I teraz przybycie gościa miało również zaanonsować zmiany i zamknąć pewien ważny okres w jesieni życia mężczyzny.

Rozdział 17.

ROZSTANIE*Lipiec 2009*

To był ciepły lipcowy dzień, tak bardzo podobny do poprzednich. Lipa na podwórku Józefa szumiła tak jak zwykle, a jej kwiaty jak zawsze w tym okresie nęciły swoją wonią roje pszczoł. Kasztanka, kobyłka Józefa skubała trawę na podwórku raz po raz machając ogonem i potrząsając głową by odpędzić się od chmary much. Na ławeczce pod lipą siedział Józef. Dla niego nie był to jednak zwykły dzień. Miał on wszystko zmienić.

Najwyraźniej Józef wyczekiwał gościa, bo co rusz wpatrywał się w bramę wjazdową. By urozmaicić sobie czas oczekiwania, gospodarz zerkał na Kasztankę. Kobyłka była łagodna, silna i pracowita. Kiedyś Józef pozwalał swoim wnukom dosiadać ją i jeździć po podwórku na oklep. Lecz teraz Basine wnuki dorosły. Marcin pracował w Warszawie, Agnieszka w Otwocku, a Marta wyjechała do Szkocji na studia. Teraz nikt oprócz Józefa nie interesował się Kasztanką, choć była ona niezawodna, jak zawsze.

W tym momencie Józef przypomniał sobie swoje poprzednie konie. Od czasów dzieciństwa mężczyzna wychował ich co najmniej paręnaście. Jego pierwszym koniem był Kary. Leciwe już zwierzę, bo służył w domu rodzinnym na Ponurzycy odkąd Józef sięgał pamięcią. To właśnie Kary obserwował tragedię rodziny Celińskich: zaślubienie ojca Józefa wiosną 1939 roku. To właśnie Kary zawiózł Heńka i sąsiada Andrzeja Szymczaka do Sobieni-Jezior po lekarza. Kary, co rusz poganiany batem przez Heńka, rychło przywiózł lekarza do niedomagającego ojca. Było to wszystko co pocziwy koń mógł zrobić dla swojego pana. Kilka dni później Kary wyświadczył swojemu panu ostatnią przysługę. Został zaprzęgnięty do wozu, na którym leżała olchowa trumna. Za wozem szedł płaczący orszak pogrzebowy: najbliższa rodzina Celińskich, sąsiedzi i inni mieszkańcy Ponurzy.

Kilka miesięcy później zaczęła się wojna a po wrześniowych bitwach, Józef znalazł na łące porzuconego ułańskiego konia - Kasztana. Spadł on jak manna z nieba, bo Kary był stary i po śmierci ojca Józefa również sam osłabł, jakby przygnębiony utratą ukochanego pana. Kasztan wysłużył się rodzinie Celińskich przez pierwsze lata wojny.

Później Celińscy kupili młodziutkiego Deresza. Był to wałach o ładnej, gniadej maści z domieszką szarych i białych włosów. Deresz szybko zdobył uznanie rodziny. Chociaż poruszał się powoli i statecznie, był on pracowitym i cierpliwym zwierzęciem. Deresz łatwo poddawał się przyuczaniu na pociągowego konia. Józef sam mu to szkolenie przygotował.

Wkrótce koń powędrował w ręce karczewskiego handlarza, a za uzyskane za niego pieniądze Józef kupił krowę od leśniczego Rusinka oraz źrebaka, Łysego. Podczas wojny wprowadzone przez Niemców kontyngenty były ciężkie do sprostania. Wtedy też Heniek i Józef zaczęli dostrzegać wartość wyuczania młodych koni na pracowitych towarzyszy chłopca.

Pewnego razu w czasie żniw przyszedł do Józefa gospodarz Jałocha z Ponurzyca. Miał on duże gospodarstwo i skierował się do pracowitego chłopca z prośbą:

- Józek, nie przyszedłbyś może do mnie na żniwa na kilka dni? Bo już się nie możemy obrobić z żoną. Jeszcze dwa pola pszenicy ostały się do zeżniwowania, a do tego jeszcze owies i gryka. Pot się leje, nie do przerobienia to wszystko.

- Wiecie panie Jałocha, pomógłbym wam, ale ja sam mam latoś dużo roboty przy żniwach.

- No tak, rozumim – zadumał się nieco mężczyzna, po czym kątem oka spojrzął na pasącego się nieopodal Łysego. - To może chociaż pożyczylbyś na jeden dzień waszego wałacha? Bo moja kobyłka stara już jest. Podupada na zdrowiu i też ledwo zipie ciągnąc kosiarkę przez pole.

- A to mogę dla was zrobić. Możecie wziąć Łysego jutro.

Następnego dnia Jałocha zabrał konia o świcie a wieczorem przyprowadził go nie szcędząc Łysemu pochwał. Mówił, że taki koń

silny, pracowity, a do tego usłuchany. Że przez cały dzień udało im się obrobić dwa pola, co byłoby niemożliwe z ich starą i powolną Gniadą. Później zapytał nieśmiało:

- *Józek, a nie chciałbyś mi odsprzedać tego Łyska?* Po czym widząc zadumaną minę chłopca, dodał: - *Przemyśl sobie to. Nie będziesz żałował.*

Józef przemyślał sprawę, skonsultował ją z matką i z bratem a następnie poszedł do gospodarza Jałochy z propozycją:

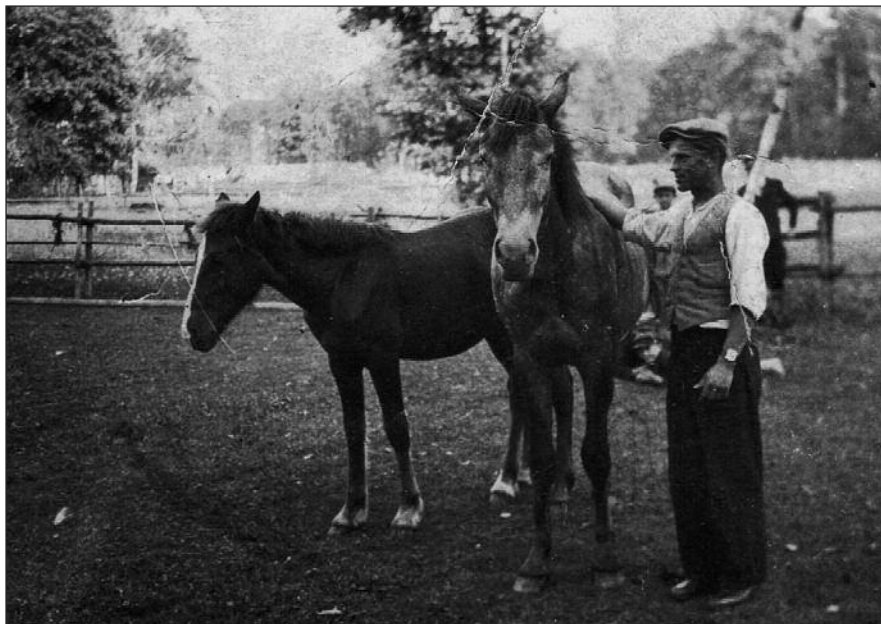
- *Widzicie, panie Jałochu, przemyśleliśmy sprawę i możemy wam sprzedać konia za 96 tysięcy.*

- *Dobra nasza, biorę go. Przyrowadź Łyska jutro rano* - bez namysłu odpowiedział gospodarz ku zdziwieniu chłopca. Józef oczekiwał bowiem, że będą się choć trochę targować o cenę.

Następnego dnia Józef przyszedł do Jałochy z Łyskiem. Trochę nieśmiało zaczął, że sobie jednak przemyślał sprawę. Dodał, że 96 tysięcy to jednak trochę dużo za wałacha, i że jest gotowy spuścić cenę o 6 tysięcy. Żeby było sprawiedliwie.

Ta reakcja zdziwiła tym razem Jałochę, który miał pieniądze i wiedział, że tak dobrze wyszkolony do roboty koń wart jest tej ceny. Kupiec ucieszył się bardzo na ten układ, ale od siebie podarował Józefowi owcę. Żeby było sprawiedliwie. Obydwaj handlarze rozeszli się, każdy bardzo zadowolony z transakcji jakiej dokonał.

Wyuczenie takiego konia nie było wcale łatwe. Wymagało dużo cierpliwości, której nie zawsze chłopci mieli w nadmiarze. Wszak ich życie uzależnione było od gotowego do pracy konia. Jednak Józef, który żartobliwie był zwany jako zaklinacz koni, miał swoje sposoby. Najpierw chłopiec przyzwyczajał takiego źrebaka do ciągnięcia lekkich narzędzi takich jak pług czy brony. Później przychodził czas na ciągnięcie wozu. Józef prowadził konia z pustym wozem po drogach polnych i leśnych. Później jeździł z nim do swojego lasu i nakładał trochę chrustu na opał. Z czasem na wozie ładowało coraz więcej i więcej chrustu czy siana. Po sześciu miesiącach taki koń był już wyuczony w swoim fachu i gotowy do każdej pracy na roli. A Józef już zaczynał nasłuchiwać czy jest gdzieś w okolicach jakiś chętny kupiec do nabycia wyszkolonego konia.



Józef z Siwką i jej źrebakiem



Józef z wizytą w Stajni Grand. Głina, kwiecień 2019

Po zakończeniu II Wojny Światowej końską wartość przy gospodarstwie Celińskich sprawował Siwek, który odegrał ważną rolę w ożenku Józefa z Genią. Siwek był wianem, które Józef wniósł w małżeństwo. A potem nastał sezon na kobyłkę – dla odmiany – Siwkę. Choć miała już 10 lat, gdy ją Józef nabył, na służbie u Celińskich była jeszcze przez kolejnych dziesięć lat. Przez te lata wydała ona na świat sześciu źrebaczków.

A potem nastąpiła Kasztanka.

Józefa z rozmyślań obudził hałas silnika samochodowego. Po chwili na podwórko wjechał kamion, mała ciężarówka przewożąca konie. Samochód zatrzymał się i wynurzyła się z niego postać starego znajomego. To był Andrzej, handlarz koni. Andrzej żwawo wyskoczył z samochodu i obdarował Józefa radosnym powitaniem. W tej chwili Józef zdał sobie sprawę, jak bardzo nie był w stanie odwzajemnić radości kupca. Tym razem tylko jeden z nich będzie zadowolony.

- *Witajcie Józefie!* - odezwał się Andrzej z iskierką w oku, i zażartował unosząc kaszkiet: - *Mam nadzieję, że jeszcze się nie rozmyśliłeś?*

Widząc pośępny wzrok sprzedawcy, Andrzej nabrał nieco poważniejszej postawy i dodał:

- *Pozwól tylko, że dokonam ostatecznych oględzin Kasztanki.*

Józef zaprowadził kupca w stronę kobyłki, a każdy jego krok wydawał mu się cięższy. Zdawało mu się, że jego stare, pobrudzone stajnianą gnojówką gumowce są z żelaza, a nie z gumy. Andrzej zajrzał do pyska Kasztance, by sprawdzić stan zębów i dziąseł. Następnie popatrzył w jej oczy by się upewnić, czy nie jest smutna i przepracowana. Potem pochylił się, by sprawdzić stan lewego i prawego kopyta.

- *Wszystko w porządku. Kobyłka zdrowa jak ryba! Czyli jestem wam winien to, co ustaliliśmy wcześniej?*

Widząc lekko dostrzegalne skinienie głowy Józefa, Andrzej sięgnął do kieszeni i wygrzebał swój zużyty, czarny portfel. Józef w tym czasie głąskał Kasztankę po pysku, tak jakby chciał po raz ostatni zapisać w swojej pamięci gładkość jej ciemnobrązowej sierści, jej stajenny zapach, oraz szorstkość jej długiej grzywy.

- Proszę, kwota na jaką się umówiliśmy. Proszę przeliczyć, czy się zgadza.

W rękach Józefa pojawił się szeleszczący plik banknotów stułotowych. Choć staruszek próbował jeszcze je policzyć, jego drżące i spocone ze zdenerwowania ręce odmawiały mu posłuszeństwa, jakby chciały utrudnić dokonania transakcji. By już nie przedłużyć, Józef zwinął zwitek pieniędzy, wsadził do kieszeni spodni i potwierdził: - *Wszystko się zgadza.*

Za chwilę Andrzej prowadził Kasztankę w stronę ciężarówki. Kobyłka, oddalając się za nabywcą, odwróciła łeb w stronę swojego byłego pana. Jej wielkie, czarne oczy wpatrywały się uważnie w staruszkę. Józef dostrzegł w nich zdziwienie i smutek, tak jakby chciały one zapytać, o co ten cały ambaras. Zanim Józef zdążył cokolwiek powiedzieć, Andrzej pociągnął konia w stronę wejścia do ciężarówki. Kobyłka znikła w samochodzie. Silnik zawarczał i kamion wyjechał za bramę podwórka. Chwilę później po ciężarówce nie było już śladu. Jedyne tuman kurzu unosił się jeszcze przy bramie, tańcząc przez chwilę w lipcowym powietrzu. Józef zaczął przecierać oczy. Czy chciał je oczyścić z kurzu, czy też upewnić się, że to, co przed chwilą się wydarzyło to jest jawa, a nie jakiś przykry sen?

To nie był sen. Józef powłócząc nogami skierował się w stronę drewnianej ławeczki pod lipą. Drzewo tak jak wcześniej roztaczało woń, pszczoły tak jak wcześniej bzycały upojone lipowym nektarem. W tym momencie w Józefie coś się złamało. Czuł się tak, jakby zdradził największego przyjaciela.

Koń, czy ten, czy inny, towarzyszył mu zawsze w doli i niedoli. Był nieodzownym towarzyszem chłopca, szczególnie w ciężkich czasach. A teraz, gdy te ciężkie czasy minęły bezpowrotnie, a dobrobyt rozpaszał się we wiejskiej izbie na dobre, koń stał się zbędnym, wielkogabarytowym gratem. W nowoczesnym świecie, który napędzały maszyny, samochody i traktory o mocy setek koni mechanicznych, nie było już miejsca dla konia z krwi i kości. Ech, westchnął Józef, dziwny jest ten świat i ciężko za nim nadążyć.

Józef usiadł ciężko na ławce. Z radio-magnetofonu ustawionego na parapecie okna dobiegała właśnie znana, melancholijna melo-

dia. Naraz spracowane oczy staruszka zwilgotniały, po jego policzku spłynęła kropla łzy. Józef wsłuchiwał się teraz w tęskne słowa piosenki:

*„[...] co wyliczę to wyliczę, ale zawsze wtedy powiem,
Że najbardziej mi żal:
Kolorowych jarmarków, blaszanych zegarków,
Pierzastych kogucików, baloników na druciku
Motyli drewnianych, koników bujanych,
Cukrowej waty, i z piernika chaty⁷³...”*

Józef to wiedział. Nie będzie już więcej sianokosów.

KONIEC

PRZYPISY

- 1** Ponurzyca: wieś w województwie mazowieckim (powiat Otwock, gmina Celestynów) położona ok. 40 km na południowy wschód od Warszawy.
- 2** Oficjalna mobilizacja powszechna wojska ze względów politycznych odbyła się dopiero 30 sierpnia 1939. Jednak wcześniej nastąpiła tzw. mobilizacja alarmowa („mobilizacja cicha”). Józef Celiński, mąż Anny miał stawić się do piechoty w Garwolinie 23 sierpnia 1939 roku. Zobacz: <http://phw.org.pl/mobilizacja-polska-w-1939-roku-mapy/>
- 3** Bronowanie: zabieg służący spulchnieniu gleby i zniszczeniu chwastów, wykonywany na wiosnę.
- 4** Sobienie Jeziory: miejscowość przy prawym brzegu Wisły, około 20 km od Ponurzycy.
- 5** Paweł Wlezień, 2018, *Mobilizacja polska w 1939 roku [mapy]*, artykuł internetowy: <http://phw.org.pl/mobilizacja-polska-w-1939-roku-mapy/>
- 6** Nie jest potwierdzone, czy to wydarzenie miało miejsce 1 września, czy kilka dni później. Szacuje się, że ten incydent wydarzył się pomiędzy 1 a 10 września 1939 r.
- 7** Polskie Radio, 2019, *Polskie Radio w 1939 roku - pożegnanie ze słuchaczami*, artykuł internetowy: <https://www.polskieradio.pl/39/246/Artykul/1245188,Pol-skie-Radio-w-1939-roku-pozegnanie-ze-sluchaczami>
- 8** Strzeżysz Bogdan, 2014, „Dzieje Osiecka”, wydanie 2
- 9** Towarzystwo Przyjaciół Otwocka, 1975, „Otwock”, rozdział: *Walki nad środkową Wisłą*, s. 32-51.
- 10** *ibid.*
- 11** Kompania: pododdział wojska liczący od 60 do 110 żołnierzy, podoficerów i oficerów.
- 12** Wydarzenie to upamiętnia zbiorowy grób dowódców i 11 żołnierzy pochowanych na cmentarzu w Osiecku na tyłach drewnianej kaplicy p.w. św. Rocha. Ciała pozostałych żołnierzy zostały zabrane przez ich rodziny. Nie wiadomo dokładnie ilu żołnierzy poległo w tej potyczce.
- 13** Wałach: wykastrowany koń, który przestaje być ogierem.
- 14** Na podstawie: Strzeżysz Bogdan, 2014, „Dzieje Osiecka”, wydanie 2, s. 65.
- 15** Sebastian Rakowski, *Historia Otwocka w latach II wojny światowej*, artykuł internetowy: <https://otwockhistory.wordpress.com/historia-otwocka-w-latach-ii-wojny-swiatowej/>
- 16** Aleksandra Zaprutko-Janicka, 2015, *Co można było kupić na kartki w okupowanej Polsce?*, artykuł internetowy: <https://ciekawostkihistoryczne.pl/2015/09/10/co-mozna-bylo-kupic-na-kartki-w-okupowanej-polsce/#3>

- 17** Duchówka: regionalne określenie piecyka, piekarnika.
- 18** Klępa: (gwarowo) tłusta, leniwa, ociężała samica (lub kobieta).
- 19** Szkolmak: dialektalna wersja nazwiska Skolmowski.
- 20** Doskonale tę atmosferę oddaje pierwszy powojenny film polski „Zakazane piosenki”.
- 21** Więcej informacji na stronie internetowej Fundacji im. Jakuba hr. Potockiego: <http://www.fpotockiego.org.pl/historia.html>
- 22** Kamil Janicki, 2013, *Gajowy. Najniebezpieczniejszy zawód II Rzeczypospolitej*, artykuł internetowy: <https://ciekawostkihistoryczne.pl/2013/11/15/gajowy-najniebezpieczniejszy-zawod-ii-rzeczypospolitej/#2>
- 23** Onucka: szeroki pas tkaniny do owijania stopy, zastępujący skarpetkę.
- 24** Rozdział napisany w oparciu o 1) relacje Józefa Celińskiego, oraz 2) Franciszek Zwierzyński, 2003, *Rybacki i inni*, „Rocznik Mińsko-Mazowiecki”, numer 10, 2003, s. 57-61.
- 25** Na podstawie Franciszka Zwierzyńskiego. Stanisław Całka w książce „Starogród. Wieś Mazowiecka” (2003) przedstawia Jana Rybackiego w bardziej umiarkowanych barwach.
- 26** Kurkiewicz W., Kurkiewiczowa W., 1994, „Celestynów. Kronika ważniejszych wydarzeń 1833-1994”. Wydanie drugie, Celestynów.
- 27** Franciszek Zwierzyński, 2003, *Rybacki i inni*, „Rocznik Mińsko-Mazowiecki”, numer 10, 2003, s. 57-61.
- 28** Wikipedia, Ofiary II wojny światowej: https://pl.wikipedia.org/wiki/Ofiary_II_wojny_%C5%9Bwiatowej
- 29** „19 sierpnia 1942 przeprowadzono akcję likwidacji getta w Otwocku, będącą częścią akcji „Reinhardt”. Na placu przy stacji kolejowej zgromadzono ok. 7 tysięcy Żydów. Do godziny 22 wszystkich załadowano na 50 wagonów, a następnie wywieziono do obozu zagłady w Treblince”. Źródło: Wikipedia, Getto w Otwocku: https://pl.wikipedia.org/wiki/Getto_w_Otwocku
- 30** Według Józefa, rodziny Mazków i Galasów pomagały Żydom kryjąc ich za stodołą i karmiąc. Gospodarz Mazek i gospodyni Galas zostali zabici. Domniema się, że tzw. ‘wygnańcy’, którzy przenieśli się tu spod Poznania donieśli władzom okupacyjnym w tej sprawie.
- 31** ‘Du bist ein mutiger Junger’: Niem. ‘dzielny z ciebie chłopiec!’
- 32** Od 1934 r. na mocy testamentu hr. Jakuba Potockiego, jego prywatny majątek ziemski w tym regionie (o łącznej pow. 2929 ha, w tym leśniczówka na Czarcim Dole) został przekazany Fundacji im. Jakuba Potockiego utworzonej na rzecz walki z rakiem i chorobami płuc. Po zakończeniu wojny majątki rolne należące do Fundacji zostały roz-

parcelowane i upaństwowione. Od 1945 do 1993 roku leśnictwo Czarczi Dół wchodziło w skład nadleśnictwa Kotwica (Garwolin). Od 1993 roku leśnictwo Czarczi Dół wchodzi w skład reaktywowanego Nadleśnictwa Celestynów. Źródła: <http://www.fpotockiego.org.pl/historia.html>, oraz <http://www.garwolin.warszawa.lasy.gov.pl/documents/18063/24019911/Rys+historyczny+Nadle%C5%9Bnictwa+Garwolin.pdf/2fc9564f-d209-467d-9925-a871c2b0ba1d>.

33 Scedować: przekazać prawa do czegoś lub obowiązki innej osobie.

34 PKWN: Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Samozwańczy, marionetkowy, tymczasowy organ władzy wykonawczej w Rzeczypospolitej Polskiej, działający od 21 lipca do 31 grudnia 1944, na obszarze zajmowanym przez Armię Czerwoną po okupacji niemieckiej.

35 Na mocy dekretu z 6 września 1944 roku tereny ziemiańskie powyżej 100 ha zostały upaństwowione. Podobny dekret w sprawie lasów powyżej 25 ha wydano 12 grudnia 1944 roku.

36 Anna Leszkowska, 2017, *Wyzwolenie Mazowsza*, artykuł internetowy: <http://www.sprawynauki.edu.pl/archiwum/dzialy-wyd-elektron/317-historia-el/3771-wyzwolenie-mazowsza>

37 Kamil Stepan, 2015, *II wojna światowa na kresach*, artykuł internetowy: <https://www.polityka.pl/pomocnikhistoryczny/1612051,1,ii-wojna-swiatowa-na-kresach.read>

38 Krysia: imię fikcyjne.

39 UPA: Ukraińska Powstańcza Armia, formacja zbrojna stworzona przez frakcję banderowską Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów pod koniec 1942 roku i przez nią kierowana. Celem UPA było powstanie niepodległego, monoetnicznego (jednonarodowego) państwa ukraińskiego. Źródło: Wikipedia https://pl.wikipedia.org/wiki/Ukrai%C5%84ska_Powsta%C5%84cza_Armia#UPA_w_Polsce

40 W wyniku tej akcji 20 maja 1943 członkowie AK odbili 49 polskich więźniów przewożonych z więzienia w Lublinie do obozu zagłady w Oświęcimiu. Historia ta opisana jest w książce „Kamienie na szaniec” Aleksandra Kamińskiego.

41 Tekst częściowo napisany na podstawie: Tomasz Leszkowicz, 2013, *Pochód pierwszomajowy, czyli propaganda PRL w pigułce*, artykuł internetowy: <https://histmag.org/Pochod-pierwszomajowy-czyli-propaganda-PRL-w-pigulce-7883>

42 PGR: Państwowe Gospodarstwo Rolne; SKR – Spółdzielnie Kółek Rolniczych.

43 „Sosna”: ludowa piosenka z okolic Kołbielszczyzny.

44 W kościele katolickim księża odprawiali mszę po łacinie i byli zwrócenii twarzą do

ołtarza od XVI wieku. Dopiero II Sobór Watykański (1962-1965) miał wprowadzić nakaz mszy w rodzimym języku wiernych i odwrócić księdza przodem do wiernych.

45 Maryśka: postać fikcyjna.

46 Tradycyjna przemowa „na wianek” powszechnie recytowana w Kołbielszczyźnie.

47 Elka: imię fikcyjne, wydarzenie prawdziwe.

48 Heńka: postać fikcyjna.

49 Podrozdział inspirowany tekstem w: Andrzej Kamiński, 2006, „Piołun i maciejka”, rozdział: *Kołbielskie święto dyszla*.

50 Brzezina: zwyczajowa nazwa pól pod Regutem.

51 Tomek T: postać realna, imię fikcyjne, inicjał prawdziwego nazwiska.

52 Dziesiątnik: dawniej, niższy funkcjonariusz policji lub milicji.

53 Policja granatowa: potoczna nazwa Polskiej Policji Generalnego Gubernatorstwa. Była to policja komunalna podporządkowana lokalnym komendantom niemieckiej policji porządkowej. źródło: Wikipedia https://pl.wikipedia.org/wiki/Policja_Polska_Generalnego_Gubernatorstwa

54 Nowa Historia, 2014, 25 października 1971 r. *Zniesienie obowiązkowych dostaw zbóż, ziemniaków i zwierząt rzeźnych*, artykuł internetowy: <https://nowahistoria.interia.pl/kartka-z-kalendarza/news-25-pazdziernika-1971-r-zniesienie-obowiazkowych-dostaw-zboz-nld,1541457>

55 Upřednia szkoła wiejska w Regucie istniała już w latach 20-tych XX w. Nowa szkoła budowana była w latach 1956-58, a została oddana do użytku na początku lat 1960-tych.

56 Obecnie jest to opuszczony budynek tzw. 'klubu' przy Placu Św. Floriana.

57 Kółko zorganizowane było w ramach Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej.

58 Ochotnicza Straż Pożarna w Regucie funkcjonowała już od 1927r. Działalność straży była od zawsze ważnym elementem życia społecznego i bezpieczeństwa Reguta. Przez wiele lat na początku działalności straży za wóz strażacki robił konny wóz z pojemnikiem wody, który zabierano do pożarów. Oprócz prowadzenia akcji ratowniczych, strażacy również pomagali organizować wydarzenia rozrywkowe, dożynki i zabawy. Ich działalność jest kontynuowana po dziś dzień przez kolejne pokolenia strażaków i strażaczek. Źródła: https://pl.wikipedia.org/wiki/Regut#Ochotnicza_stra%C5%BC_po%C5%BCarna oraz <https://www.facebook.com/pages/category/Community/OSP-REGUT-1358905027457812/>

59 Relacja Józefa Celińskiego o śmierci Kazika Szymczaka, Wacka Gniadka, Władka Gasa i Aleksandra Witaka w 1943r. Grób czterech zabitych chłopców znajduje się na cmentarzu w Osiecku.

60 ZWAR Zakłady Wytwórcze Aparatury Wysokiego Napięcia. Zakład założony został przez Kazimierza Szpotańskiego w 1918 roku. Zakład rozwinął się jako fabryka podzespołów i aparatów elektrycznych, które były również eksportowane za granicę. W 1997 Fabryka Zwar została zakupiona przez międzynarodową korporację ABB a jej produkcja ograniczona do śladowej produkcji.

61 Traktory firmy Ursus.

62 Sień: dawniej korytarz.

63 Groźba interwencji ZSRR jaką przedstawiał Wojciech Jaruzelski była bezpodstawna, co potwierdziły 30 lat później tajne dokumenty NATO. Źródło: <https://bliskopolski.pl/historia-polski/stan-wojenny/wprowadzenie/>

64 Basia wtedy tego nie wiedziała, ale Bogdan w pierwszych dniach został przydzielony do ochrony osiedla wojskowego w Ełku.

65 NIK: Najwyższa Izba Kontroli.

66 Suahili: język z rodziny bantu używany w Afryce Środkowej i Wschodniej (Tanzania, Kenia, Demokratyczna Republika Konga, Uganda).

67 Zapłocie: zwyczajowa nazwa własna określonego zbioru łąkowo-polnego niedaleko Reguta, blisko krajowej trasy 50-dziesiątki („grójeckiej”).

68 Biel: zwyczajowa nazwa własna określonego zbioru łąkowo-polnego pomiędzy wsiami Podbiel, Taborem i Całowanie, blisko krajowej trasy 50-dziesiątki („grójeckiej”).

69 Wiesiek: postać fikcyjna

70 Antek: postać fikcyjna

71 Ledwo ciapirga: (gwarowo) ledwo chodzi.

72 Powrósło: pasmo słomy rozdzielone na dwie części i skręcone kłosami, służące zwykle do przewiązywania snopków zboża; przewiąsło.

73 „Kolorowe Jarmarki”, piosenka wykonana przez Janusza Laskowskiego.

SPIS TREŚCI

Recenzje	6
Przedmowa	7
Od Autorki	8
Podziękowania	9
Mapa Gminy Celestynów	10
Rozdział 1. <i>Pożegnanie dzieciństwa</i>	11
Rozdział 2. <i>Idzie wojna</i>	17
Rozdział 3. <i>Ślady po walce</i>	21
Rozdział 4. <i>Byle do wiosny</i>	29
Rozdział 5. <i>Wiejscy władcy ciemności</i>	41
Rozdział 6. <i>Obława na Rybackiego</i>	51
Rozdział 7. <i>Wiatry niespokojne, idzie koniec wojny</i>	60
Rozdział 8. <i>Strażnica 164</i>	69
Rozdział 9. <i>Józef szuka żony</i>	80
Rozdział 10. <i>Jak wesele, to wesele!</i>	92
Rozdział 11. <i>Widma przeszłości</i>	103
Rozdział 12. <i>U pana Boga za piecem</i>	112
Rozdział 13. <i>Stan grudniowy</i>	123
Rozdział 14. <i>Sianokosy</i>	130
Rozdział 15. <i>Dożynki</i>	135
Rozdział 16. <i>Genowefa</i>	140
Rozdział 17. <i>Rozstanie</i>	145
Przypisy	152



Marta Matosek

Absolwentka afrykanistyki na UW, studiów biznesowych w Wielkiej Brytanii i nauk politycznych na amerykańskim uniwersytecie na Węgrzech. Z profesji ekspertka pomocy rozwojowo-humanitarnej, a prywatnie podróżniczka poszukująca tego, co znaczące i piękne. Refleksje o ludziach, ich kulturach i wyzwaniach Marta zapisuje od 2012 r. na blogu (roshanmarta.wordpress.com). Jej dziennikarskim debiutem był reportaż o chłopcach-żebrakach w Senegalii („Dzieci Zeusa” w miesięczniku *Poznaj Świat*, Lipiec 2018). „Jutro sianokosy. Wspomnienie z mazowieckiej wsi” jest jej literackim debiutem.

„Jutro sianokosy”

To saga o życiu jednej rodziny na wsi mazowieckiej od przedwojnia do czasów współczesnych. Jest to opowieść o niezmożonej, choć szorstkiej miłości do drugiego człowieka, natury i Ziemi. Jest to uniwersalny przekaz o postępie i nieufności do niego, o konflikcie tradycji z nowoczesnością, o potrzebach starszych pokoleń oraz dążeniach i marzeniach tych młodszych.

Wartki język, liczne dialogi - nawet gwarą, sporo zdjęć - to wszystko sprawia, że „Jutro sianokosy” czyta się z ogromną przyjemnością.

Zbigniew D. Skoczek,
dziennikarz, b. Redaktor naczelny „Linii Otwockiej”

